

AMERYKA-POLSKA

MIESIĘCZNIK ARCTA

№ 4. Rok III Zł. 2.50.

AMERYKA-POLSKA

Miesięcznik Ilustrowany Literacko-Ekonomiczny

ROK III KWIECIEŃ 1925 Nr. 4

VADE MECUM

POZNAJ POZNAŃ!—oto naczelny drogowskaz naszego kwietniowego Vade Mecum. — Z głębin zamierzchłych wieków średnich wyrosła ta twierdza polskości. Szturmowali ją zaciekle Prusacy. Całą nawałą potężnego Reichu dusili w niej ducha polskiego. „Ausrotten" — wrzeszczeli, a głos ten tysiącem sztyletów przygważdżał świadomość i ambicję naszą do ziemi polskiej, by nigdy, pod działaniem żadnej siły nie mogły się już od niej oderwać. Daremne były ich nieludzkie wysiłki. Poznań, ta nasza z krwi i kości i z dziejów kilkunastowiekowych twierdza polska, wytrzymała szturm historyczny pangermanizmu, i oto teraz, jak nowa, dziewicza wyspa, wyłoniona naraz z fal oceanu, zdradza niczem niehamowany pęd, jakiś metafizyczny nakaz bytu i trwania, potężną wolę do życia, do pracy i twórczości. I co najwięcej napawa radością w tym zdrowym rozwoju miasta, to głębokie zrozumienie nowoczesnych podstaw gospodarki społecznej i narodowej. Poznań buduje przedewszystkiem trwałą, granitową podstawę pod swój byt — ugruntowuje przemysł, rozwija handel. Mając zaś zapewnione tak silne podstawy materjalne, wykwita z nich już sama przez się kultura duchowa — ten ostateczny cel wszelkiego rozwoju ludzkiego. Widzimy też z zamieszczonych w numerze niniejszym artykułów, z jakim nakładem energji i pracy organizuje Poznań tegoroczne Międzynarodowe Targi, które się odbędą w okresie 3—10 maja; jak umiejętnie i ekspansywnie prowadzi propagandę na terenie międzynarodowym; jak poucza świat cały, że Polak w Poznaniu nie gorzej od Niemca w Posen prowadzi swój interes, swoją gospodarkę miejską i państwową. A jednocześnie ukazuje nam przedziwny obraz swego stanu kulturalnego, odzwierciadlonego w dwu krótkich szkicach historycznych, obejmujących zaledwie pięcioletni okres rozwoju teatru dramatycznego i opery poznańskiej.

MAHARADŻA—opowiadanie, w którem czytelnik(czka) usłyszy stare, jak miłość, tony duszy kobiecej, tak doskonale ułowione i odtworzone przez O. Wilde'a w Kupcu Florenckim. Gdy kupiec ten przyłapał żonę na jawnej zdradzie i tuż na miejscu potężną pięścią wygrzmocił zbłąkanego księcia-pana, ona w zachwycie rzuca mu się w ramiona z okrzykiem: „Dlaczegoś mi nie powiedział, żeś ty taki mocny?" — Takim maharadżą w pewnej chwili jest każdy mężczyzna, biorący czy to pięścią, czy podstępem swoją cudną panią Renę. Pan de Bondy, jakby w zastosowaniu jednakich środków do tych samych celów, wykazał dar i talent w niczem nieustępujący Wilde'owi.

PEKAO — ten znany dźwięk w nieznanym wyrazie — to Skarbonka Narodowa. Każdy obywatel polski wiedzieć powinien, że dopóty będzie mu ciężko, dopóty nie będzie miał mieszkania, dobrych dróg i własnych samochodów, dopóki nie zasili tej skarbonki swojemi złotemi, dopóki nie będzie miał książeczki P. K. O. z wykazanemi w niej oszczędnościami. Artykuł „W wirze czeków i gotówki" poinformuje go o działalności P. K. O.

CUDOTWÓRCA — tak nazwaliśmy T. Edisona, największego wynalazcę w historji i na kuli ziemskiej. Wielkość swoją zawdzięcza on głównie zasadniczej cesze amerykańskiej — zdolności organizacyjnej. Edison w ten sam sposób organizował swą pracę inwencyjną w wielkie laboratorja doświadczalno-wytwórcze, jak Rockefeller organizował swą działalność filantropijną, jak Morgan swe trusty przemysłowe, jak Harriman — koleje etc. Właściwa organizacja pracy, to już do połowy praca wykonana.

DROŻYZNA — to nie żywioł, wobec którego ręce ludzkie się opuszczają. To zjawisko, od woli ludzkiej zależne. Dr. Dzieduszycki kreśli nam szereg faktów, żywcem z naszego życia wziętych, które jak najdobitniej mówią nam o tem, że walka z nimi, przy większem uświadomieniu i odrobinie woli ku temu, doprowadziłyby nas do dobrych rezultatów, do usunięcia drożyzny.

SZCZEGÓŁOWY spis treści na ostatniej stronicy.

WYDAWNICTWO T-WA POLSKO-AMERYKAŃSK. I AMERYK.-POLSK. IZBY HANDL.-PRZEM. W POLSCE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA N-ŚWIAT 72 /PAŁAC STASZICA/

NAKŁADEM ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH M. ARCTA W WARSZAWIE N-ŚWIAT 35.

Maharadża

Władysław de Bondy

Autor dramatów „Splątane nici", „Po burzy" i in.

Pani Rena siedziała przy swej gotowalni, polerując paznogcie. Była już prawie gotowa na bal, brakowało jeszcze tylko toalety, którą miała włożyć w ostatniej chwili. To istne arcydzieło kunsztu krawieckiego—jedwab o tonach spłowiałego heljotropu aplikowany złotemi kwiatami z hiszpańskiej koronki — wisiało tuż obok na wieszaku, cierpliwie oczekując radosnej chwili swego triumfu. Oczy pani Reny spoczęły na tem kosztownem cacku ostatniej mody. Zapaliły się w nich złośliwe chochliki pustej radości i dumy.

Poczciwi rodzice, jak oni myślą o niej, jak robią wszystko, co mogą, by zapomniała. Akurat dzisiaj minęło pół roku. Och, ten wieczór! Ogniki w oczach przesłoniła mgła, szybkie ruchy polissoiru zwolniły tempo. Głupia kłótnia małżeńska w parę miesięcy zaledwie po ślubie. No, cóż z tego, że była trochę kapryśna—tak już ją wychowano. Pieszczono ją — jedynaczka. A Kazik... żeby się tak unieść! No, prawda, była trochę winna, była przykra. Odszedł: tak mu to łatwo przyszło. Dla takiego głupstwa. Widocznie nie kochał prawdziwie. Ach, ta ostatnia chwila! Toć prosił ją: „Opamiętaj się, wróć do mnie... Rena... źle ci będzie beze mnie, przyjdź, wróć..." I te jej ostatnie słowa, rzucone mu w odpowiedzi w wybuchu próżnej pychy, ambicji, rozdrażnionej miłości własnej kobiety: „Nawet choćbym konała z trądu, a ty jeden mógłbyś mnie uratować — nie przyjdę do ciebie... Słyszysz? Nigdy!..." Spojrzał na nią. Och, jak spojrzał! Jak on musiał cierpieć wtedy. Potem wzruszył ramionami i spokojnie wyszedł, starannie zamykając drzwi za sobą. Od tej chwili nie widziała go więcej. Podobno w trzy dni później wyjechał gdzieś daleko. Staś twierdzi, że do Indyj, a to przecie jego najbliższy przyjaciel. Musi otrzymywać od niego wiadomości.

Polissoir zatrzymał się zupełnie. Zamyślenie. A jednak zaimponował jej wówczas. Mężczyzna mocny, silny — prawdziwy mężczyzna. To był jej Kazik. Jakie on miał oczy. Jaki był piękny, dzielny. Życie im się zaczęło układać tak cudnie, słonecznie. A teraz — ich dawne mieszkanie stoi samotne, zamknięte, puste jak serce, z którego skradziono szczęście. A ona tu — po dawnemu w swym panieńskim pokoiku u rodziców. Ech! Trudno — stało się. Teraz wie, co to jest świat. Podłe kumoszki, co plotkując opowiadają o niej niestworzone androny i szkalują jej dobre imię. Szakale! Polissoir zaczyna znowu swój szybki pęd po paznogciach. Oczy wracają do modelu Paquina, a chochliki tańczą w nich znowu shimmy. Poczekajcie, podłe baby! Niech tylko wejdzie w tej sukni na salę — pootwieracie usta, lecz tym razem ze zdumienia i zazdrości. Czekajcie! Na złość im otoczy się co najwybrańszą młodzieżą, będzie się bawić, flirtować, zbierać triumfy! Młoda jest, całe życie przed nią. Rozwód — głupstwo w dzisiejszych czasach. A choćby ten Pawełek. Szaleje za nią, chłopak zgrabny, bogaty, z dobrej rodziny...

Spojrzała w lustro. Z pienistej kaskady koronek cudownego dessous wyjrzała para śnieżno-białych ramion, jak dwa rozwarte kielichy lilji, przedziwnych w kształcie dziewiczych prawie piersi, jak jabłka wykute z różowego marmuru i popielatozłota w modnej fryzurze główka z buzią, od której buchała kwitnąca wiosna. Z przyjemnością, z zalotnym uśmiechem przyglądała się swej twarzy. Jak ona lubi swoją twarz! Jak kocha swoją cudowną cerę, te delikatne pastelowe tony, te prawidłowe rysy, te urocze jameczki, te równe brwi, te długie rzęsy, te głęboko oprawione ciemne oczy, te ramiona, piersi, figurę, ciało. Ona nie potrzebuje żadnych farb ani kosmetyków. Tylko troszeczkę... Usta. To zawsze niezbędne. Dotknęła ołówkiem ust. Już. Z za drzwi dobiega głos matki: „Renko, panowie już przyjechali po ciebie". Dzwonek. Pokojowa troskliwie, aby nie dotknąć kunsztownej fryzury, wkłada jej suknię przez głowę. Jeszcze jeden, ostatni rzut oczu w lustro. Cudo! Cudo! Czekajcie, baby! Głowa ginie w pajęczynie koronki. Sobolowy płaszcz na ramionach. Jej szoferem jest dziś nie byle kto. Pawełek. Przyzwoliła. Niech się wysługuje! „Jedziemy!"...

Sala wibruje perlistemi jak szampan tonami rozszalałego weselem muzyki jazz-bandu, gorącemi oddechami zbliżonych ze sobą w tańcu ludzi, oślepiającą powodzią świateł, gamą subtelnych zapachów podniecających perfum, gwarem rozmów, szmerem słów słodkich, pieszczotliwych, szeptanych w upojeniu, tajemnie. Pani Rena weszła otoczona bukietem wybranej młodzieży. Lwy, stołeczne tuzy. „Aaa..." płynie przez salę zdumiony pół-szept, pół-okrzyk. Na sekundę przycicha wszystko. „Baby", owe „podłe kumoszki", zielenieją nagle jak letnia trawa po deszczu. Pani Rena różowieje jak niebo przed jutrzenką. Widzi, rozumie wszystko. Nawet jazz-band przycicha na błysk sekundy, bo kapelmistrz uniósł się na palcach i usta otworzył. „Aha — macie... Poszczekajcie teraz na mnie..."

Pani Rena płynie już w tańcu przytulona do piersi Pawełka, lśniącego dumą, jak słońce południowe. Od czasu do czasu lekkie schylenie głowy. Dumny, chłodny ukłon: „Kłaniacie się teraz pierwsze, baby, poczekajcie!..."



Nagle wzrok pani Reny zatrzymał się na wysmukłej postaci człowieka w białym jedwabnym zawoju na głowie. Co za bajeczna cera, co za cudne, głębokie, duże oczy. Kto to jest? Pawełek nie wie. Musi się zaraz dowiedzieć. Jakiś Indus zapewne. Skąd się tu wziął? Cudowna sylwetka. Strój — jak ostatni żurnal Londynu. Ręce skrzyżowane zwyczajem wschodnim. Na śnieżystym turbanie, w spince gorsu lśnią oślepiające brylanty, przyciągające wzrok grające tęczą blasków, fascynują. Stoi wyniosły, zimny, spokojny. Patrzy na nią badawczo. Patrzy?! Przy nim le petit prince. Jules. Pani Rena teraz już wie, co ma robić. Gdzie jest Staś? Skoro z nim jest le petit Jules, to Staś będzie wiedział na pewno. Pawełek biegnie po Stasia. Pani Rena tymczasem siedzi, wachlując się olbrzymiem piórem koloru blado-lila, pod palmami zimowego ogrodu i zbywa niechętnie dokuczliwy rój dążących ku niej szeregiem, z zachowaniem kolejki, eleganckich danserów. Po chwili Staś wyrasta przed nią, popychany przez zdyszanego Pawełka. Ucałowanie rączek opuszczonej żony przyjaciela. Kto jest ten obcy? Ależ wie, naturalnie. To jest Maharadża induski, potomek możnych władców Dakaru. Wychowany w najbardziej arystokratycznych zakładach Francji i Anglji. Gentleman pierwszej klasy. W podróży po Europie zaczepił z ciekawości o naszą stolicę, zabawi tu parę dni. Czy się z nim zapoznał? Ależ tak, długo rozmawiał, zaprzyjaźnili się nawet. Dlaczego nie tańczy? Nie chce zawierać nowych znajomości, aby nie mieć później obarczających w podróży obowiązków towarzyskich. Nikim się tu specjalnie nie interesuje. Zresztą... — przed chwilą zapytał Jules tylko o nią. Pani Rena drgnęła. Gorąca łuna wybucha na jej czoło, zwolna spływa na drgające powieki, policzki, szyję i rozlewa się pieszczotliwie falą purpury po piersi. Duma pewnej siebie kobiety. „Aa... pokazać się z tym obcym władcą, z tym wyniosłym zimnym przybyszem, który się tu z nikim nie chce znajomić, któremu tu nikt nie imponuje... Przejść się z nim pod rękę wśród tego tłumu plotkarek... Pokonać je... Zamknąć im usta na zawsze... Co za okazja!" Pierś pani Reny wzdyma się rozkoszą bezmierną, fizyczną prawie. Pulsa biją w skroniach. W głowie leciuchno się kręci. Jak po szklance szampana. Maharadża ją interesuje. Owszem — chciałaby go poznać. Pozwala! Po twarzy Stasia przelatuje coś jakby cień wesołości. Ledwo dostrzegalny, leciuchny uśmieszek. Nie widzi tego ani pani Rena, ani Pawełek. Dlaczegóżby nie? Zaraz przyprowadzi tu udzielnego księcia Dakaru. Jeśli o nią jedną tylko zapytał...

Staś znika. Pani Rena przemocą panuje nad sobą, lecz nie może zawładnąć nerwami, rozszalałemi w przeczuciu nowych, nieznanych dotąd, a upojnych wrażeń. Patrzy na salę. Teraz im pokaże! Gdy Maharadża staje przed nią, zatapiając w jej oczach swe stalowe, płonące wewnętrzną mocą źrenice, pani Rena jest napozór spokojna. Staś dokonywa królewskim gestem ceremonji prezentacji i dyskretnie usuwa się na bok, rzucając w ukłonie Maharadży żartobliwe: „Bonne chance — seigneur". Pani Rena wskazuje Maharadży ruchem pełnym godności miejsce na wygodnej kanapce obok siebie. Rozmowa się zaczyna.

Przez szerokie podwoje zimowego ogrodu zaglądają z sali twarze. Na męskich maluje się ciekawość i zainteresowanie, na kobiecych zawiść, rozdrażnienie, ale i pewien szacunek. Pani Rena rośnie w próżną pychę, ale maleje w pewności siebie. Brylanty i oczy Maharadży ją fascynują. W zimowym ogrodzie pływa dyskretny półmrok, olbrzymie palmy otaczają egzotyczną atmosferą, pachną perfumy i kwiaty. Głos Maharadży, pełny, metalowy, brzmi jak przyciszony daleki dzwon. Mówi o swej ojczyźnie z czułością i tęsknotą. W pewnej chwili pani Rena dlaczegoś wspomina, że były jej mąż właśnie wyjechał do Indyj. Sama nie wie, dlaczego to powiedziała. Po ciemnej, kamiennej twarzy Maharadży przebiega coś jakby szybki ruch. Ożywia się nieoczekiwanie. Były mąż? Tak. Pani Rena informuje krótko o tem, że

mąż ją porzucił. Porzucił? „Tiens — quitter une belle femme..." szepce wyniosły książę, ślizgając się oczyma po jej przepysznej sylwetce. Jeszcze chwila, jeszcze parę chwil i pani Rena czuje, że wszystko, co się tam na sali dzieje, przestaje ją interesować. Interesuje ją tylko on. Ten obcy, nieznany przybysz o potężnych oczach. Jest w jego władzy. Zaglądający trwożnie co chwila do zimowego ogrodu Pawełek wydaje jej się w tej chwili tak nieznośnym, iż chętnie powiedziałaby mu, że jest natrętny głupiec. Coraz głębiej zapada w tajemniczy nastrój zbliżenia z tym pięknym, chłodnym człowiekiem, coraz słabiej rozumie, co się dookoła niej dzieje, coraz namiętniej słucha tego głosu, co dzwoni jej pieśń o dalekiej przepięknej krainie klejnotów, słońca i miłości...

Nagle Maharadża wstaje. Co to, — chce się żegnać? Budzi się nagle, szarpnięta rzeczywistością, jakby z czarownego snu. Maharadża, niestety, musi już odjechać. Nie wypada mu długo pozostawać tutaj. Jaka szkoda, że jej więcej nie zobaczy. Pojutrze wyjeżdża. Pani Rena nagle wstaje również z kanapki pod wpływem jakiegoś postanowienia. Zostać tu teraz po tym nastroju, po tym śnie przecudnym, wśród tych zwykłych małych ludzi, skarlałych lalek towarzyskich? Nie, nie... — nie może. A ponadto zwycięstwem ostatecznem nad temi babami będzie właśnie wyjście z balu z Maharadżą pod rękę. Triumfalne wyjście królowej... Cha... cha! Zwraca się do zdziwionego jej widocznem jakiemś wahaniem Maharadży: „Proszę mi podać ramię. Wyjdę razem z księciem. Mam dość tego balu..." Znowu przelotny ruch na twarzy Maharadży. Tym razem już coś jakby błysk uciechy lub triumfu. Zaiste królewski widok. Ta piękna para, idąca majestatycznie przez salę między rozstępującym się mimowoli tłumem. Ona jasne oddanie, on — ciemna namiętność. Na twarzach ludzkich zachwyt, zdumienie, zawiść, — lecz pani Rena, ryzykując, wygrała. Nagle urosła w oczach tego tłumu. Jutro cała stolica mówić o niej będzie z podziwem, z szacunkiem. A przedewszystkiem „podłe kumoszki!"

Na ostatnim stopniu marmurowych schodów pani Rena przystaje nagle, zakłopotana. Nie wie, który jest numer jej futra w szatni. Och, drobnostka! Maharadża podchodzi bez wahania do portjera w szatni i mówi dobitnie: „Czterdzieści pięć", jednocześnie podając mu swój numer. Pani Renie robi się nagle słabo. W oczach ciemnieje. Maharadża podtrzymuje ją troskliwie i otula futrem. Wszak jest synem ziemi wiedzy tajemnej. Odgadnąć taką drobnostkę przy promieniowaniu sympatycznej sugestji — to takie proste! Odwiezie ją, ma tu swoje auto. W ostatniej chwili dopada jej zgnębiony, zatrwożony Pawełek. „Pani Reno, na litość Boską, co ludzie powiedzą... Pani... pani się kompromituje..." Nagły błysk jakiejś dzikiej energji. Kto śmie ją uczyć? Jest pełnoletnią, wie co robi, opieki nie potrzebuje, — tem bardziej opieki dzieci! Zrozumiane! Jeśli kiedy, to teraz wszyscy o nią będą zabiegać i szukać jej. Krótkie: „Żegnam", — jak uderzenie szpicrutą po twarzy. Łoskot zamykanych przez wygalowanego lokaja drzwi. Koniec.

Wspaniałe auto mknie rozpływającemi się w nocnem pół-świetle ulicami. Maharadża, tonąc w półmroku, siedzi tuż przy niej, wtulony w poduszki wygodnego, wklęsłego siedzenia. Jest gentlemanem. Nie dotyka prawie do niej ramieniem. Tylko przy wstrząsach resorów ramię jego przytula się chwilami do jej piersi i wówczas targa nią krótki, ostry dreszcz. Jakieś dziwne ciepło płynie od niego. Ciepło znane. Czuje to. Na pewno. Dlaczego znane? Ach tak... — Kazik. W jego mocnych męskich ramionach odczuła wówczas po ślubie po raz pierwszy taki sam dreszcz. Czyżby ten nieznany mężczyzna, którego ujrzała po raz pierwszy w życiu i którego może nigdy już nie zobaczy, miał nią owładnąć? Pani Rena czuje, że całe jej jestestwo wewnętrzne już się oddało temu człowiekowi, że właściwie już należy do niego. Jedno jego słowo... Tylko jedno słowo. Wzrok pani Reny pada przypadkowo na jego rękę, obciągniętą czarną rękawiczką. Przypomina sobie, że przez cały czas na balu widziała tę czarną rękawiczkę na jego lewej ręce, podczas gdy prawa, brunatna, wypieszczona ręka o długich palcach artysty była bez rękawiczki. Pani Rena nie może się powstrzymać. Mimowoli pyta. Czemu? Do domu zostaje parę dzielnic. Maharadża uśmiecha się i nagłym ruchem zdziera rękawiczkę. Jest w tej chwili straszny. Okrutny uśmiech jego ma coś z tygrysa i coś ze żmii. Błyszczą mu z pod purpurowych warg równe jak perły zęby. Pani Rena boi się go. Ogarnia ją niewytłumaczony lęk, co rękami histerji porywa ją za gardło i dusi. Czuje, że za chwilę stanie się coś. Maharadża podnosi do samych jej oczu swą lewą rękę. Wśród falującego pasmami światła od mijanych w pędzie latarni, widzi na niej straszną, ohydną narośl... Coś jakby olbrzymi, krwawiący grzyb. Jedna olbrzymia rana — cała górna część dłoni przeżarta do głębi potworną jakąś zgnilizną Pani Rena rzuca się nagle wtył. „Co to jest?"— pada drżące pytanie z jej ściśniętych strachem warg. Maharadża wybucha śmiechem. Jest to śmiech triumfującego szatana. „To... — trąd..." — pada jak gwizd kuli krótka odpowiedź, a stalowe oczy Maharadży zatapiają się w rozszerzonych zwierzęcą grozą źrenicach pani Reny. I wówczas ręce Maharadży podnoszą się ku jego twarzy i zaczynają powoli a metodycznie błądzić po niej. Z głowy usuwają się kruczo-czarne, kędzierzawe włosy wraz ze zdjętą peruką. Opadają czarne wąsy i lśniąca czarna broda, w klin wschodnim zwyczajem ścięta. Twarz wytarta naprędce chustką traci swą ciemną barwę i z pod pokładu farby widać naturalną jasną cerę. Wszystko to trwa jeden krótki błysk sekundy. Lecz błysk ten wydaje się pani Renie wiekiem. Czuje, że ginie, ginie... Morderca? Awanturnik? Handlarz żywym towarem?

Jeszcze gorzej. Rozwarte lękiem oczy pani Reny teraz nakoniec poznają. Zemsta — zginęła: to Kazimierz! Auto jest już niedaleko domu. Głos Kazimierza brzmi jak dzwon pogrzebowy, jak hymn zwycięskiej, upojnej zemsty. Szaleństwo!... Tym razem mówi po polsku, swym własnym głosem, szybko, szybko: „Rzuciłaś mi niegdyś nieopatrzne słowa. Równały się niemal przekleństwu. Masz, czegoś chciała. Dowiedź-że teraz swego hartu. Przywiozłem ci z Indyj hojny upominek, specjalnie dla ciebie poń jeździłem. Twoja piękna wiosenna twarz, twoje białe ramiona, twoje cudne ciało pokryją się za kilka dni takim samym grzybem, jaki mam na ręce. Widzisz?! Za parę tygodni będziesz jedną cuchnącą masą, rozkładającą się, gnijącą. Ty, piękna, ubóstwiana przez ludzi, będziesz konała powoli w męczarniach, samotna, przemocą oddzielona od wszystkich innych, w pustej celi. Tak chciałaś. I ja, ja tylko jeden mam moc i siłę wyleczenia cię z tej piekielnej zarazy. Miesiące strawiłem na tę naukę w Indjach — a dziś tylko jedyny tutaj posiadam sekret uzdrowienia!" Zajrzał nagle w jej oczy, gdzie pomimo błędnego strachu, paliło się pytanie. „Ja?"...—mówił dalej— ...„ja już jutro będę zdrów najzupełniej... Dziś w nocy użyję swego sposobu na wyleczenie siebie. Dotąd czekałem z tem, aby dowieźć żywy rozsadnik. Zawdzięczając memu sekretowi, nie dałem zarazie opanować mego organizmu"...



Dotknął lekko jej dłoni swą lewą ręką. Oszalała, nieprzytomna, instynktownym odruchem rzuciła się całem ciałem ku drzwiczkom auta i wydzierając mu swą rękę, targnęła za klamkę. Auto podjeżdżało pod jej bramę.

— Za późno — wyrzekł spokojnie — byłaś przeze mnie zarażona tam jeszcze, na balu, gdyś mi na powitanie podała rękę.

Drobne, szybko biegające mrówki przeleciały po ciele pani Reny od głowy do końców palców u nóg i z powrotem. Usta zasznurował jakiś ostry skurcz, zęby, nakształt jazz-bandu, wystukiwały sucho, febrycznie jakiegoś fokstrotta. Chciałaby mówić, krzyczeć, rzucić mu w oczy kim jest... Nie może. Nie może wymówić słowa. Zwierzęcy, błędny strach skuł ją całą żelaznemi kleszczami. Lęk zeszpecenia, lęk męki, lęk śmierci. Ona, co tak kochała swą powierzchowność, siebie, życie. W oczach deszcz złotych, sypiących się iskier. Nic nie widzi...

Eleganckim ruchem pośpiesznie otworzył drzwiczki auta, wyskoczył, uniósł ją w ramionach jak dziecko i, otuliwszy płaszczem, postawił przed bramą. Teraz nie broniła się. Była już zmartwiała, bezwładna. Ujął jej rękę i podniósł pod światło.

— O, mówił—na ręce masz już charakterystyczną czerwoną plamę. To początek. Radzę nie wzywać doktora, nikomu nie mówić nic—inaczej natychmiast ilzolują cię od świata. Radzę również nie dotykać nikogo. Żadnego zbliżenia — byłabyś bowiem źródłem zarazy dla innych. Jeśli chcesz być uzdrowioną, czekam cię o jakiej porze zechcesz do jutra w południe — później nie będę mógł już nic zrobić...

Zgrzytnął pieśnią rdzy klucz w zamku. Wskoczył do auta. Maszyna zacharczała i szybko ruszyła.

* * *

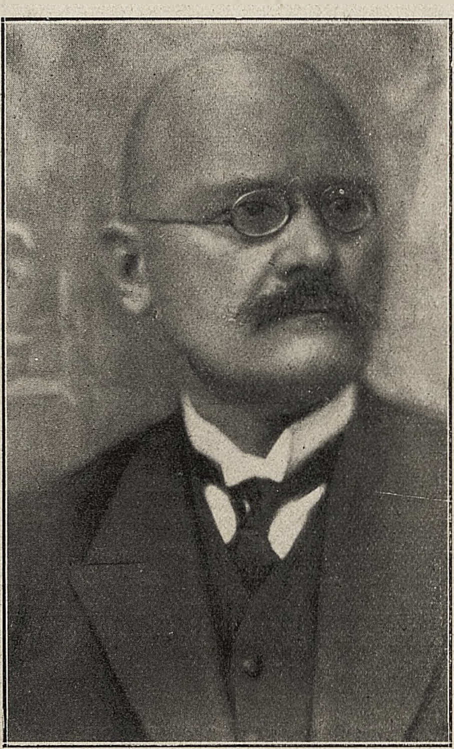
Biedna pani Rena. Przez tę jedną noc przeżyła cud kwiatu rozwijanego i więdnącego w ciągu kilku minut pod prądem elektrycznym lub pod magicznem dotknięciem rąk potężnego joga. Kapryśne, nieopatrzne dziecko, które mogło przez całe życie pozostać tem samem dzieckiem, — w ciągu jednej nocy dojrzała, stała się nagle myślącym w obliczu grozy potwornej śmierci człowiekiem, człowiekiem rozsądnym, co zdaje sobie wyraźnie sprawę ze swych wad, ułomności, słabości, grzechów, przewinień. Wchodząc na uginających się kolanach, chwiejąc się i zataczając po schodach, pamiętała wyraźnie tylko ostatnie słowa mściwego męża. To też cichutko otworzyła kluczem drzwi mieszkania i jak mysz prześlizgnęła się do swej sypialni. Nie obudzić tylko nikogo, nie ujrzeć nikogo! Ostatnim wysiłkiem opadła, jak stała w fu-

(Dalszy ciąg p. na str. 78)

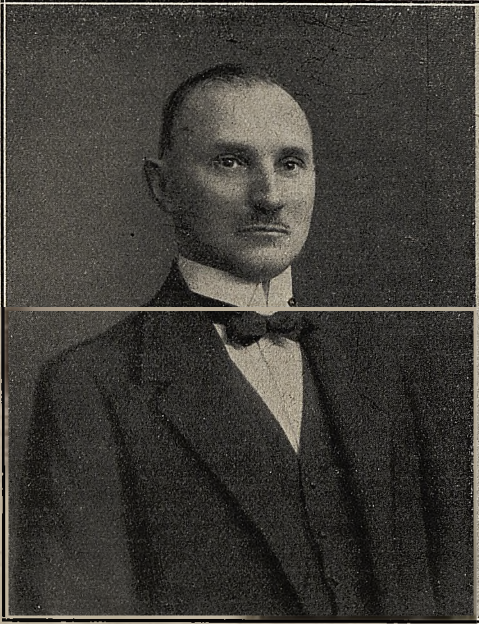
Organizacja Pracy

Komitet Organizacyjny Instytutu Organizacji Pracy (ob. styczniowy zeszyt „Ameryki-Polski"), którego członków Czytelnikom przedstawiamy, ukończył pracę i odbył dnia 24 marca r. b. ostatnie posiedzenie, zdając dalsze prowadzenie sprawy nowowybranemu Kuratorjum Instytutu. Instytut jest więc faktem dokonanym, posiada podstawy prawne, pomieszczenie i pomoc Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, przygotowaną kampanję finansową. Komitet Organizacyjny znakomicie wywiązał się ze swego zadania, przypuszczamy jednak, że członkowie nie spoczną na laurach, lecz nadal będą współdziałali w tej najżywotniejszej sprawie „Usprawnienia Polski".

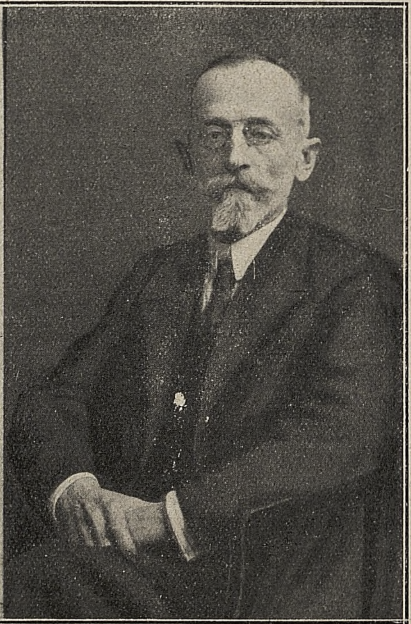
Została dokonana w Polsce wielka rzecz: powstał Instytut Organizacji Pracy. Wysiłki do usprawnienia życia naszego, do podniesienia wydajności rolnictwa i przemysłu, do obniżenia kosztów produkcji przy zwiększeniu dobrobytu pracowników, słowem, cała praca nad stworzeniem Polskiego Bogactwa, Bogactwa całego Narodu, całego Państwa, Bogactwa w najszerszem słowa tego znaczeniu, opartego o potęgę Ducha Polskiego a ugruntowanego na naszych zasobach naturalnych,— otrzymuje instytucję kierowniczą. Zadaniem jej — odnalezienie najlepszych metod, zastosowanie ich do naszych warunków, a następnie ułatwienie wszystkim wprowadzenia tych metod pracy i zarządzenia w życie z jak najmniejszym wysiłkiem a jak największą korzyścią.



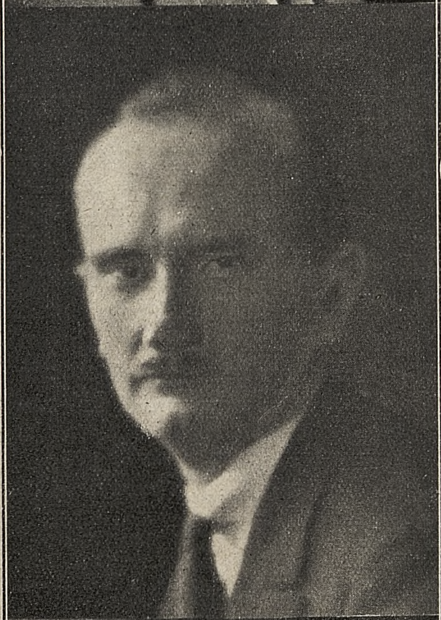
Instytut Organizacji Pracy nie będzie miał łatwej roboty: przecież my wogóle nie jesteśmy zorganizowani, metody są przestarzałe i mało wydajne; nasz robotnik zarabia znacznie mniej niż amerykański, a pomimo to przemysłowiec nie może końca z końcem związać i towar zagraniczny jest tańszy od krajowego. Podatki płacimy w stosunku do przeciętnej zamożności znacznie większe niż inne państwa, otrzymujemy zato znacznie mniej, czy to w urządzeniach miejskich czy państwowych, czy nawet w obsłudze urzędniczej. Lokale mamy pół darmo, a lepiej nawet nie wspominać o niekomforcie naszych mieszkań. A ile czasu marnujemy przez to, że każda dziedzina żyje sobie odrębnie, każdy jada w innych godzinach, o innej porze spać chodzi, a gdy

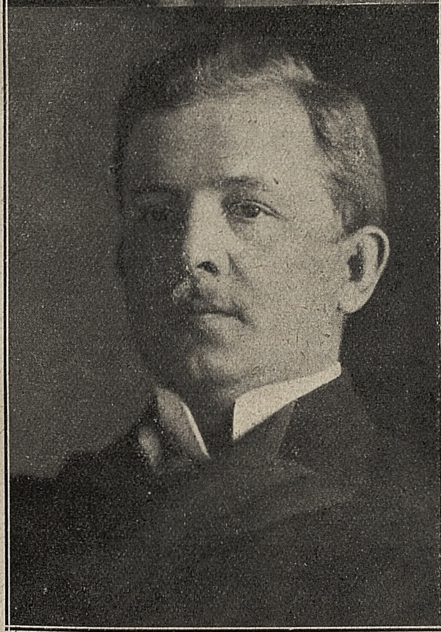












chce coś załatwić w biurze czy urzędzie, to na pewno okaże się, że to akurat nie wtedy, kiedy przyszedł.

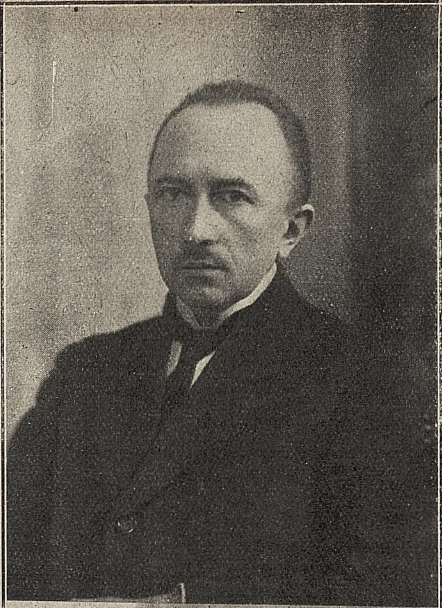
Zdawałoby się, że kiedy powstaje Instytut Naukowej Organizacji Pracy—to wszystkie wysiłki organizacyjne powinny się w tym jednym kierunku ześrodkować. Ale u nas jak co pilne, to już się pali! Więc i „organizować" trzeba wszystko naraz. Bezmała każde ministerstwo zamyśla o utworzeniu własnego Instytutu, rolnicy sobie, przemysł sobie,—każdy sobie rzepkę skrobie. Minimalne dotąd fundusze i kilkudziesięciu ludzi mających coś w tych sprawach do powiedzenia, zamiast zejść się w jednej silnej instytucji—zaczęli się rozchodzić do kilkunastu różnych poczynań.

Trzeba sobie jednak powiedzieć, że jeżeli inaczej nie można, to i tak jest dobrze. Lepiej, że jest nadmiar zainteresowania sprawami zorganizowania życia i pracy, niżby go miało wcale nie być. Należy tylko dążyć do tego, żeby te wszystkie drobne strumienie organizacyjne „zorganizować", a w tym wypadku znaczy to: uniknąć dublowania pracy, każdej instytucji określić zakres lub teren działania, wszystko razem złączyć ewidencyjnie, a przedewszystkiem, w porozumieniu i jednolicie występować nazewnątrz wobec obcych i zagranicy.

St. A.

Fotografje do niniejszego artykułu na str. lewej u góry: Prof. I. Radziszewski—prezes Komitetu Organizacyjnego, u dołu zaś: Dyr. St. Leśniowski, Inż. P. Drzewiecki i Prof. K. Adamiecki, wybrani również do Kuratorjum. St. Arct i St. Łubieński—sekretarze Komitetu, Poseł W. Korfanty, Inż. W. Hauszyld, Inż. J. Mokrzyński, Gen. Insp. M. Klott — członkowie.

Portrety kooptowanych członków pp. Marszewskiego i Wasilewskiego zamieścimy w następnym numerze.







Cudotwórca amerykański

Tomasz Edison

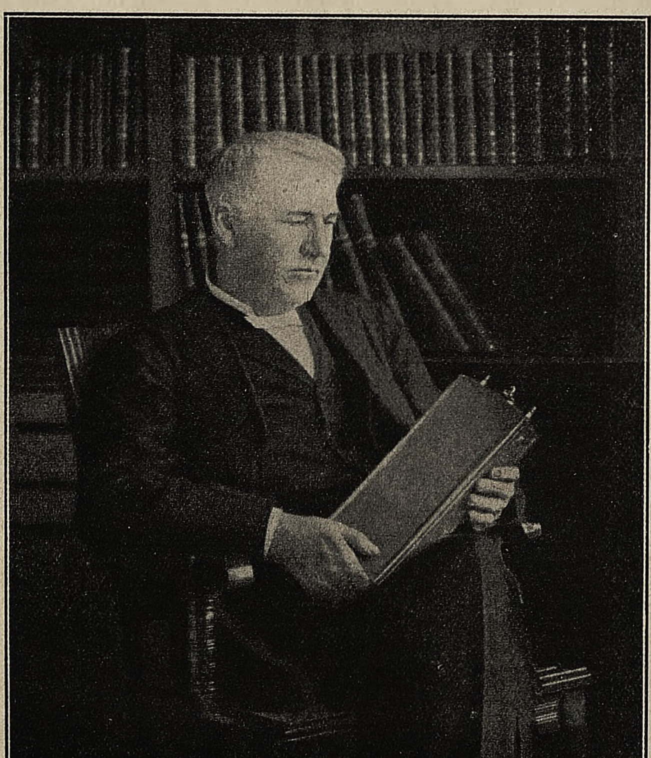
Do najpopularniejszych Amerykanów, tak w swym kraju jak i zagranicą, należy słynny wynalazca, Thomas Alva Edison. Człowiek, który jako zawód obrał — robienie wynalazków. Który jest właścicielem tysięcy najrozmaitszych patentów. Niema roku, by nie opatentował on coś nowego, lub nie ulepszył jakiegoś starego patentu. I wszystko to — zdaniem jego — nie jest rezultatem genjuszu, lecz pracy. „Genius is one percent inspiration and 99% perspiration" — węzłowato i dobitnie twierdzi ten największy wynalazca.

I rzeczywiście napocił się dużo. Dla jednego wynalazku, dla odkrycia czasem małego ulepszenia, przeprowadził on tysiące, dziesiątki tysięcy prób, i nie spoczął, choćby te próby kosztowały go cały majątek, trwały całe lata, (w jednym wypadku okrągłe 10 lat!), dopóki nie doprowadził do rezultatów... lub też się nie przekonał, że pomysł jego jest stanowczo niemożliwy. Edison jest niezmordowany w swych doświadczeniach. Nie znamy w historji również drugiego wielkiego człowieka, którym tak ciężko pracował bez przerwy, jak Edison. Sen jego trwa najwyżej pięć godzin na dobę, bywały jednak noce zupełnie bezsenne. I tak, pracując nad swym fonografem, pięć dni i pięć nocy nie zmrużył on oka!

I dzięki właśnie jego niezmordowanej pracy, ludzkość zawdzięcza tyle dobrodziejstw. Edisonowi zawdzięczamy światło elektryczne, tramwaje. On w czyn wprowadził innych pomysły niewykonalne: kinematograf, gramofon. Ulepszył telefon i telegraf, udoskonalił baterje elektryczne. Wiele rzeczy było już „odkryte", ale Edison był tym, który przeniósł je z laboratorjów do fabryk i sklepów. Dał ludzkości, On, nie kto inny. Bo inni, zniechęceni próbami bez rezultatów, przestawali, a Edison z zapałem prowadził badania dalej. On jedynym był, który po tysiącach prób, po wyrzuconych na marne setkach tysięcy dolarów, po zmarnowanych latach, był gotów do dalszej pracy, niestrudzony i niezniechęcony. Gdy pomocnicy jego przeklinali stracone dni i żalili się przed nim na bezskuteczne próby, Edison z całkiem filozoficznym spokojem tłumaczył: „Nasza praca nie była daremną: nauczyliśmy się dużo. Dowiedliśmy nadto, że jest niemożliwością wykonanie naszego pomysłu. A przecież to coś znaczy".

I ta praca szalona, ten zapał do eksperymentowania, jest czynnikiem, który konserwuje tego starca. Te dni spędzone w laboratorjum, noce przespane na stołach z książkami za poduszkę, bo nie miał on czasu rozbierać się i kłaść do łóżka, zachowały tego siedemdziesięcioletniego twórcę w pełni sił dotychczas. Niedawno jeszcze Edison oświadczył:

„Już przygotowałem sobie plan na lata całe. Do siedemdziesiątego piątego roku życia będę pracował normalnie, jakkolwiek nie tak ciężko, jak dotychczas. Od 75 roku zacznę nosić modne kamizelki jak i kamasze. W 80 roku nauczę się grać w bridge'a i flirtować z paniami. W 85 roku będę codziennie wieczorem do obiadu ubierał się we frak, a w 90 roku — ach prawda — ja nigdy nie układam planów na więcej niż trzydzieści lat naprzód".



Jak widać z jego oświadczenia, nie należy on do świata eleganckiego. Całym światem dla niego to jego pracownia, towarzyszami współpracownicy, a ubraniem dziennem robotnicza odzież. I dlatego jest on słynnym w Stanach ze swej obojętności na rozmaite ubrania, formy towaskie i zaszczyty. Godność honorowego doktora jednego z amerykańskich uniwersytetów przyjął telefonicznie. Nie miał czasu na jazdę. Jeden z największych uniwersytetów angielskich musiał zrezygnować z nadania Edisowi honorowego tytułu, bo nie miał on czasu na jazdę po „głupstwa".



Gmach bibljoteki prywatnej słynnego finansisty amerykańskiego J. P. Morgana, ofiarowanej obecnie przez syna jego stanowi Nowego Jorku. Wzmiankę o tej bibljotece podaliśmy w Nr. 1 naszego pisma.—Jest to pałac wzniesiony z marmuru białego w stylu klasycznym. Osobliwością pałacu są drzwi frontowe z XVI-go wieku, wykonane z bronzu przez mistrzów włoskich. Zmarły J. P Morgan był znany z tego, że z całego świata zwoził do Ameryki dzieła sztuki, nie zatrzymując się nawet przed przewiezieniem oryginalnego i ogromnego obeliska z Egiptu. Dziwić się trzeba, że dotychczas żadna z piramid egipskich nie znalazła się w nowojorskim Central Parku.

Raz w Nowym Jorku otrzymał wielki złoty medal i... w jeździe promem do New Jersey zgubił go. Wogóle wielki wynalazca o złocie ma małe pojęcie i do genjuszów finansowych wcale nie należy. Słynny jest jego sposób załatwiania rachunków w swych pierwszych latach. Wszystkie rachunki razem z podatkami nadziewał na drut i, zajmował się swą pracą. Dopiero gdy przychodziły wyroki sądowe, Edison ściągał je z drutu, płacił podatki i rachunki, plus koszty sądowe i ...nakładał je na drugi drut. Pewnego razu jednak Edison był przezorniejszy: miał do zapłacenia podatek, dość wysoki i który w razie zwłoki podwyższony miał być o 12%. W ostatni więc dzień płatności zjawił się Edison w biurze podatkowem i stanął cierpliwie w ogonku. Gdy po dłuższej chwili zjawił się przed okienkiem, tak był zamyślony nad swemi problemami, że zapomniał zupełnie swe nazwisko. Poszedł więc na nowo na koniec „ogonka", przypomniał sobie wkońcu jak się nazywa, nie zapłacił jednak podatku, ponieważ godziny biurowe się w międzyczasie skończyły.

Genjuszem więc Edison w sprawach handlowych nie jest. Nauczyciel jego twierdził nawet, że mały Edison „najgłupszy uczeń jego klasy" jest stanowczo idjotą i wyrzucił go ze szkoły po trzech miesiącach. Tyle wszystkiego trwała edukacja szkolna człowieka, który stworzył światło, ustępujące tylko słońcu. Wogóle mały Edison był „nieudanem" dzieckiem i niejeden kłopot sprawił swym rodzicom. Razu pewnego zginął on: znaleziono go wkońcu, siedzącego na jajach gęsich. Próbował on, czy nie uda mu się ich wylęgnąć. Gorzej było, gdy podpalił raz stodołę i przypatrywał się spokojnie płomieniom. Za karę został obity w swej rodzinnej wiosce na placu przez władze dla odstraszenia innych „boyów" od podobnych doświadczeń. Niemniej jednak eksperymentował dalej. W jednem z tych doświadczeń nakarmił swego przyjaciela dwuwęglanem sody, przypuszczając, że proszek w żołądku zamieni się w gaz i przyjaciel... pofrunie. Zczasem jednak się „ustatkował" i został sprzedawaczem gazet. „Interes" zaczął prosperować i Edison zorganizował brygadę sprzedawaczy

pod swą komendą. Zaczął nawet wydawać dziennik, pisany w pociągu „Weekly Herald". I możeby wszystko dobrze szło, gdyby Edison nie był Edisonem. Obok drukarni zainstalował sobie w wagonie laboratorjum. Pewnego dnia jednak kawałek fosforu spadł na podłogę i wagon zaczął płonąć. Pożar ugaszono, ale konduktor wyrzucił z pociągu Edisona z całem jego laboratorjum i drukarnią. Nadomiar złego tak obił go, że Edison stracił słuch na zawsze. (Może dlatego wynalazł fonograf!)

Niezrażony tem, zaczął Edison wydawać drugi dziennik, w którym jednak zanadto krytykował sobie niemiłe osoby, aż wkońcu jedna z jego ofiar napadła go i wrzuciła do rzeki. To ostudziło Edisonowski zapał do dziennikarstwa i eks-redaktor wrócił do domu. Zajął się teraz telegrafem. Po rozmaitych znów przygodach został telegrafistą. Naprzód w Port Huron, później w Stratford Junction w Kanadzie. Pierwszy raz został wyrzucony za zaniedbywanie służby, gdyż zamiast zajmować się wysyłaniem depesz, pracował nad udoskonaleniem telegrafu. Drugą posadę sam opuścił, uciekając co żywo za granicę kanadyjską, bojąc się kary za katastrofę, która się zdarzyła podczas jego służby telegraficznej. I znów w Stanach wiódł żywot włóczęgi, aż nareszcie w 1869 szczęście zaczęło mu służyć: naprawia aparat telegraficzny w biurze telegraficznem i zostaje mianowany urzędnikiem mechanikiem z pensją 300 dolarów miesięcznie.

Teraz wynalazca może spokojnie zajmować się swemi doświadczeniami. I rzeczywiście w kilka lat później sprzedaje swój patent z dziedziny telegrafji potężnej Western Union Telegraph Co, za $ 40.000. Później znów dostaje za swe wynalazki sto tysięcy dolarów, trzydzieści tysięcy funtów. Za otrzymane pieniądze buduje warsztaty w bliskim Newark, fabrykuje maszyny telegraficzne, a zarobione pieniądze wydaje na nowe badania, nowe doświadczenia i nowe wynalazki. Ulepsza więc maszynę do pisania, która z niezgrabnego instrumentu staje się praktyczną maszyną, bez której obecnie żadne nowoczesne biuro obejść się nie potrafi. Tak samo w swych pierwszych latach stwarza maszynę powielającą: mimeograf. Wynalazkiem jednak największym z owych dni, który Edisona uczynił sławnym odrazu, był fonograf, zbudowany w 1877. Gdy robotnicy w warsztatach Edisona usłyszeli po raz pierwszy głos ludzki, wydobywający się z obracającego się cylindra, przypuszczali, że Edison żartuje z nich: przypuszczali, że Edison, zawsze skłonny do żartów, zrobił się tym razem brzuchomówcą i opowiada tylko o „mówiącej" maszynie. Dopiero po dokładnem obejrzeniu maszynki, skonstatowaniu o braku połączenia jej z ukrytemi drutami jak i usunięciu „brzuchomówcy" Edisona, uznali, że rzeczywiście Edison wynalazł maszynę, imitującą głos ludzki. Od tego czasu jednak upłynęło lat dziesięć, nim Edison zdołał fonograf tak udoskonalić, i oddać go publiczności do użytku.

Największym jednak wynalazkiem Edisona było światło elektryczne. Wynalazek ten kosztował go dziesiątki tysięcy prób, setki tysięcy dolarów i całych lat pracy. Cały glob ziemski przeszukał on za odpowiedniem włóknem, któreby, umieszczone w pozbawionej powietrza gruszce szklannej, żarzyło się najjaśniej i stosunkowo najdłużej. Przeszło 6000 najrozmaitszych roślinnych włókien, zebranych z całego świata, było badanych w jego laboratorjach. Z początku zwęglona nić bawełny była najlepszem włóknem świecącem, zczasem zastąpiono bawełnę zwęglonemi pręcikami pewnego rodzaju bambusu, które zkolei ustąpiły miejsca drucikom metalowym, dotychczas najlepszemu materjałowi świetlnemu w lampach elektrycznych. Edison miał nie tylko trudności z wynalazkiem światła, ale z wprowadzeniem go do użytku publicznego. Obawiano się powszechnie tych tajemniczych drutów, drutujących domy i przypuszczano, że tak odrutowany dom każdej chwili może paść ofiarą pożaru czy eksplozji. Edison więc po zbudowaniu pierwszej elektrowni na Pearl Street, w Nowym Jorku, przez trzy miesiące ofiarowywał bezpłatne dostarczanie światła elektrycznego tym domom, które zgodziły się na instalację światła. Ale takich śmiałków, nie obawiających się pożaru, było mało: po jednym roku wszystkiego 225 domów, w tem jednak i biuro J. P. Morgana, który stał się odtąd administratorem i przyjacielem wielkiego wynalazcy. Gdy jednak po roku żaden z domów nie spalił się, ani wyleciał w powietrze, światło elektryczne zaczęło się z szybkością rozpowszechniać. Dziś niema zakątka na globie, gdzieby światło elektryczne Edisona nie było zaprowadzone lub przynajmiej znane.

Wynalazek tramwaju elektrycznego był następnym wielkim wynalazkiem Edisona. W Menlo Park, w stanie New Jersey, w roku 1880 powstała pierwsza kolej poruszana prądem elektrycznym. Wynalazek, który przyciągnął całe gromady inżynierów ze świata, dla podziwiania nowego „cudu".

Nie wszystkie jednak wynalazki Edisona udawały się. Jednym z wynalazków, który zrujnował Edisona zupełnie, był sposób magnetycznego wydobywania rud żelaznych. Wynalazek ten, kosztujący miljony dolarów, okazał się wkońcu niepraktyczny, gdy odkryto bogate złoża rud żelaznych w Messaba Range. Edison stracił nie tylko cały swój majątek, ale znalazł się w długach. Wspólnicy jego byli zrozpaczeni. Jedynie on zachował swój spokój: „Co się tyczy mej osoby — oświadczył filozoficznie — to mogę każdej chwili dostać zatrudnienie jako telegrafista z pensją siedemdziesięciu pięciu dolarów na miesiąc i to wystarczy zupełnie na pokrycie mych osobistych wydatków". Oświadczenie, dowodzące prostoty życia tego wielkiego człowieka.

O. L

Chałupeczka niska...

w Nowym Jorku

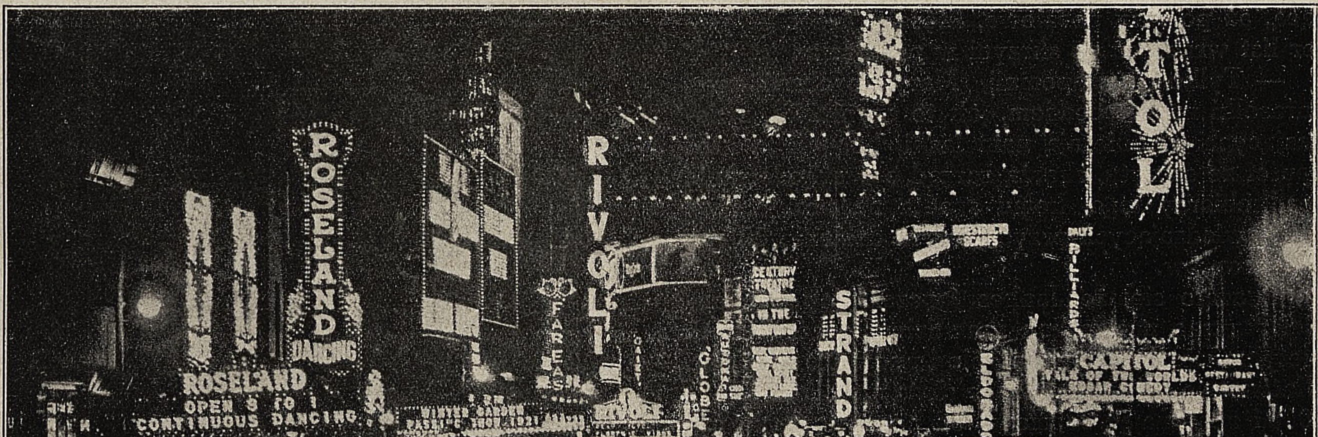
Spostrzegam się, że chcąc pisać o najwyższym budynku w New Yorku, może niezupełnie właściwie zatytułowałem to „Chałupeczka niska". Uczyniłem to z myślą powiedzenia, przy sposobności, czegoś bardzo mądrego, o owej chałupeczce. Co to było? Narazie nie pomnę. Niewątpliwie nasunie mi się, nim rzecz skończę.

W najbardziej gwarnej, tłocznej i ciasnej części dolnego miasta wznosi się ten potwór, zwany Woolworth Building, będący najwyższym budynkiem w New Yorku i zapewne — na kuli ziemskiej. Są ludzie, co od 20 lat przechodzą codziennie tuż obok i nie widzieli go nigdy, jak nie widzieli i księżyca: nie wpadło im na myśl zadzierać głowę tak wysoko. Gdy przechodzisz wąwozem między kilkunastopiętrowemi domami, niebardzoś ciekawy, czy tam coś jeszcze sterczy nad niemi. Otóż ten potwór sterczy ponad wszystko, bo nad ziemię wznosi się 60 piętrami 592 stóp, nie licząc dalszych 150 stóp, któremi zanurza się w ziemię. Zauważyłem go przypadkiem, przechodząc opodal w dzień wietrzny. Natknąłem się bowiem na grupkę, stojącą w miejscu z zadartemi nosami:

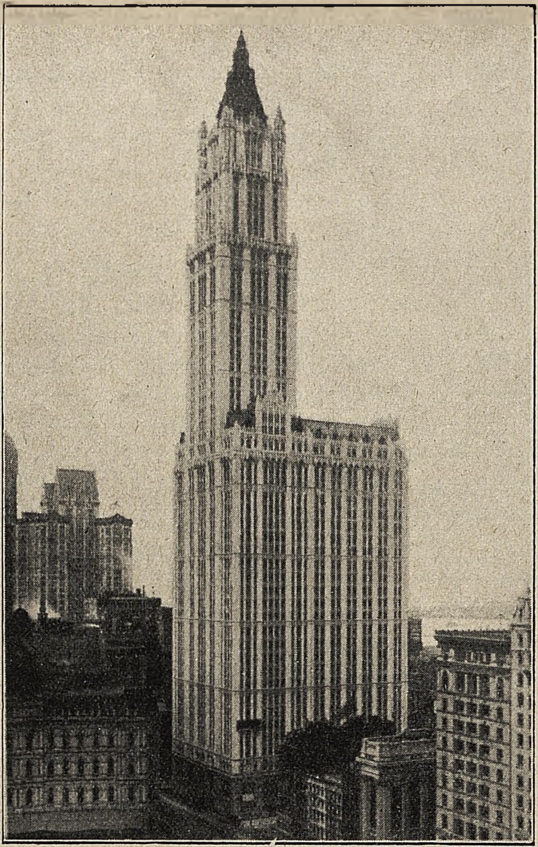
— Widzisz, Mary, jak się kiwa? Powiadają, że w wietrze odchyla się najwyżej 4 cale od pionu, a dziś, widzę, że 4 i pół cala. Prawda, Mary?

— Sure (pewnikiem) — odparła młoda i urodziwa osóbka czysto amerykańskim zwrotem. Jej towarzysz, rosły dryblas, miał twarz ogoloną i iście po amerykańsku uśmiechniętą. Gdym wyraził podziw dla jego wzroku, gdyż ja żadnego kiwania nie mogłem się dopatrzeć, miss Mary spojrzała na swego Jankesa takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „on zawsze wszystko widzi". A że ten fenomen był i towarzyski i rozmowny, zaczęła się pogawędka, w której zgodziliśmy się, że ten potworny drapacz nieba nie był wcale potwornym, lecz sprawiał wrażenie czegoś lekkiego i harmonijnie strzelistego, zapewne dzięki wieży, wytryskającej kilkunastu piętrami z jego szczytu, a wydającej się cienką i smukłą, choć obszerne mieszkania zawiera w swem tułowiu. Razem wybraliśmy się na zwiedzenie gmachu.

We wnętrzu kazano nam laski i parasolkę zostawić w szatni. Uprzejmy Jankes wykonał to za całą trójkę, dając nam czas rozejrzenia się po ogromnej hali, urządzonej z okazałością i przepychem: grube kobierce, marmury, bronzy, złocenia,



„Broadway w Nowym Jorku wieczorem!—pisze M. H. Szpyrkówna w swych „Gwiazdach i Dolarach" (Ameryka-Polska" Nr. 1).—Królestwo świetlnej reklamy, doprowadzonej do poziomu sztuki. Snopy świateł tryskają w pomysłowych rozplotach, mienią się i nikną, wykwitają i mierzchną znów wysoho ponad dachami w postaci reklamy świetlnej—specjalnie i nieraz bardzo artystycznie, a zawsze pomysłowo skombinowane napisy, figury, postacie i rzeczy. Wygląda, jakgdyby w nieogarnionej wysokości odbywała się mistyczna, świetlna feerja, wyczarowana laską magc na szafirowo-czarnej opończy nocy."



ziemi na szczyt w 20 minut. Wieża stanowi w środku budynku gmach osobny, wznoszący się od fundamentów na własnym szkielecie ze stali.

Na jej szczyt wiodą dwie windy, najszybsze w świecie, bo w jednej minucie przebywające 60 pięter. Był tu jeden wypadek samobójstwa: skok z wieży; jeden ślub na jej szczycie wbrew zakazowi: nim dozorca doskoczył, rabin, raz—dwa—trzy, dokonał ceremonji; jeden też był wypadek strajku, który trwał 7 minut: gdy służba od wind powróciła z wojny, wydalono niewiasty, które ją zastępowały, lecz zachowano ich adresy; gdy więc służba zastrajkowała, stelefonowano niewiasty, które w 7 minut objęły windy i do dziś dnia w nich pracują ku zadowoleniu ogólnemu. 14 pomywaczy zwija się ostro i snać nie bywają karani za pracowitość, skoro każde z 6.500 okien budynku jest wymyte co tydzień i nadto po każdej ulewie. Czynsze mieszkań rosną wraz z wysokością gmachu: najwyższe są na szczycie. Z 13.000 ludzi, zajmujących 4.000 pysznie urządzonych mieszkań, ani jeden nie ma łóżka: nikt tu zgoła nie sypia, jedni pracują we dnie, drudzy w nocy, inni, jak ajencja detektywów, 24 godzin na dobę.

Ponieważ cały gmach, od góry do dołu, zajmują biura, zwiedzanie pięter jest nużące jednostajnością: wszędzie jednakowe kurytarze z jednakowe-

(Dalszy ciąg p. na str. 76)

rzeźby, mozaiki — czego tam nie było! Zbytek cię oślepia i odwraca uwagę od wspartych o szkielet stalowy ścian betonowych, tętniących, rzekłbyś, własnem życiem, tyle w nich rur kaloryferowych, wentylacyjnych, ścieków, kabli, telefonów, rur rozprowadzających po 60 piętrach wodę zimną i gorącą, aż po rury pocztowe, któremi przez 60 pięter list wrzucasz do skrzyni w podziemiu.

— Tylko nie zapomnij, Mary, odebrać swej parasolki na wychodnem, jak to czyni $25^0/_0$ zwiedzających. Odbierają nam laski, bo, jak ją ktoś upuści ze szczytu, skarżą zarząd o odszkodowanie spadkobiercy tego, komu spadła na nos. Prócz 1100 zwiedzających przychodzi tu dziennie 50 tys. interesantów.

Okazało się, że Jankes (puszczający swą angielszczyznę nosem, jak prawdziwy Amerykanin), nietylko wszystko widział, ale i wszystko wiedział. Ułatwiał to sobie, zagadując służących (jest ich tu 400) i zaczynając rozmowę od poczęstowania cygarem. Ale też tak nas olśniewał erudycją, że miss Mary patrzyła nań z widocznem zdziwieniem, że taki mędrzec się uchował. Com od niego posłyszał, powtórzę zwięźle w nadziei, że znajdzie się jakaś (ile możności dorodna) czytelniczka, co też zawoła: „jaki ten Przekora mądry!"

Wybudowanie tego gmachu kosztowało 7 miljonów dolarów, a utrzymanie 700 tys. rocznie. Obsługuje go 28 wind, pośród których są lokalne, zatrzymujące się co piętro i ekspresy co 10 pięter, oraz schody, któremi ktoś o zakład wybiegł z pod-

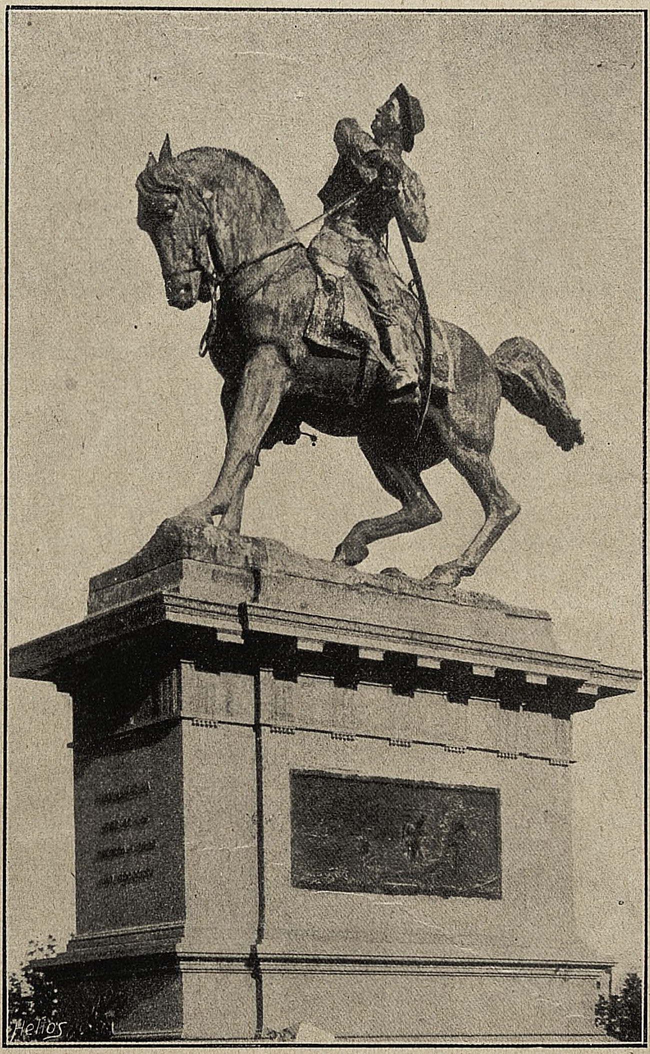


Urugway-Rio de la Plata-Paragway

(Szkic historyczny)

Odkrywcą Urugwaju i pierwszym Europejczykiem przybyłym do ujścia Rio de la Plata, był Hiszpan Don Diaz de Solis. Wysłany przez króla hiszpańskiego do odkrytej już przez Kolumba Ameryki, Solis popłynął ku południowi i w roku 1516 w styczniu dwie barki jego zawinęły do Rio de la Plata. Wylądował z załogą na jednej z wysp La Plata, którą nazwał Martin Garcia (od imienia zmarłego tam marynarza). Uważając olbrzymie ujście Parany za odnogę morską chociaż ze słodką wodą, nazwał ją Mar Dulce (Słodkie Morze). Również i krajowcy uważali Rio de la Plata za jakieś morze, zwąc ją w narzeczu guaranijskiem „Parana-Guazu", co po polsku znaczy „rzeka jak morze". Nazwa rzeki Parana i stanu Parana w Brazylji pochodzi tedy z języka Guaram. Nie powiodło się pierwszemu odkrywcy Urugwaju i Argentyny. Zaledwie wysiadł z załogą na ziemi urugwajskiej, wypadła z ukrycia horda krajowców Czarrua, zasypując oddział chmurą strzał. Padł Don Solis i kilku towarzyszy — reszta zaś z trudem schroniła się do barki i z wielkim pośpiechem opuścili to wybrzeże, uciekając do Europy. Ci uciekinierzy nazwali Mar Dulce imieniem swego wodza — więc Rio Solis (rzeka Solisa).

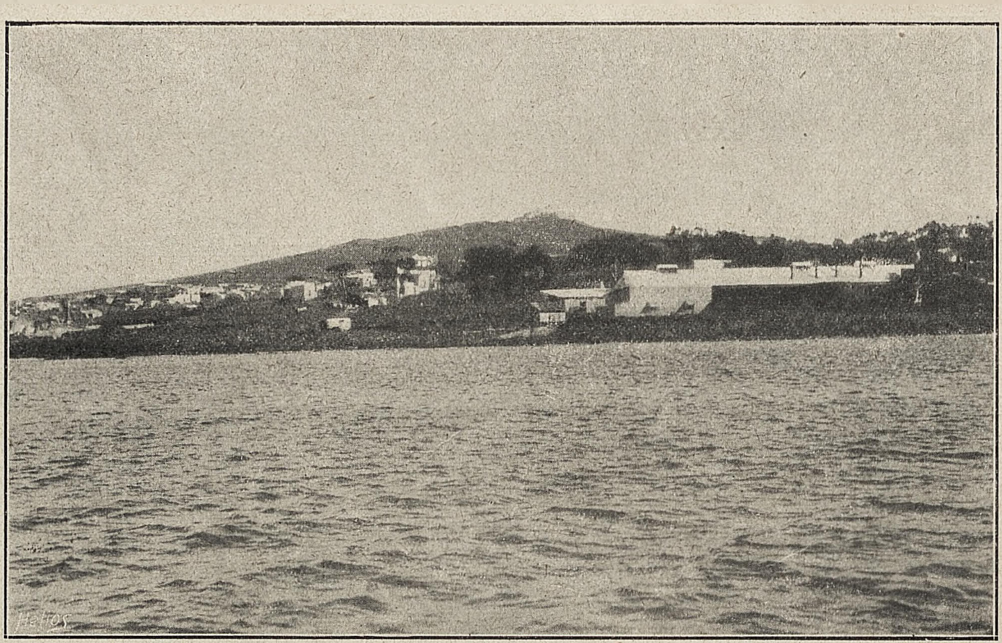
Drugim Europejczykiem był tu Portugalczyk Magellanes. Ten wypłynął z Europy na Zachód z zamiarem okrążenia kuli ziemskiej. Kiedy statek Magellanesa „Victoria" płynął koło wybrzeży Urugwaju, zdarzyło się, że z „bocianiego gniazda" marynarz-obserwator, zauważywszy ląd i górę — krzyknął „Monte-vide-eu" (górę widzę!). Od tych słów powstała później nazwa uroczej stolicy Urugwaju, Montevideo. Magellanes krótko bawił nad Rio Solis i wypłynąwszy dalej na południe ku Ziemi Ognistej, okrążył w roku 1520 Amerykę Południową, wypływając cieśniną swojej nazwy— na ocean Spokojny i udał się do wysp Filipiny, gdzie też zginął w obronie kacyka tamtejszego Rajá Cebú, dnia 21 kwietnia 1521 roku. Statek „Victoria" przybył jednak do Europy, opłynąwszy wokoło kulę ziemską. Trzeci przybył nad La Plata Wenecjanin Gaboto, wysłany przez króla Hiszpanji na wyspy Molukas. W drodze spotkał on resztki wyprawy Solisa i od nich dowiedział się niestworzonych rzeczy o bogactwach Rio Solis i wybrzeży Urugwaju. Wiedziony chciwością Gaboto popłynął wprost do ujścia Parany. W roku 1527 wylądował na wyspie San Gabriel na Rio Solis i bezpośrednio potem założył forteczkę San Salwador na wybrzeżu urugwajskiem. To był pierwszy budynek europejski na tej ziemi, ale prędko zburzyli go Czarruasi. Gaboto w poszukiwaniu owych tak wielkieh bogactw (jak to słyszał od towarzyszy Solisa) udał się w górę rzeki Parany i dopłynął do rzeki Paraguay (w dzisiejszym Paragwaju). Tam został przychylnie potraktowany przez Indjan paragwajskich, którzy obdarzyli go sporą ilością srebra, przyniesionego z Peru.



Pomnik gen. Lavalleja w Minas.

Gaboto, sądząc, że srebro pochodzi z rzeki Solisa — zmienił jej nazwę na Rio de la Plata (rzeka Srebra). Zkolei wysłano z Hiszpanji nad Plata

ekspedycję większą z Don Mendorą na czele. Ekspedycja wylądowała na wybrzeżu południowem rzeki La Plata. Pierwszy oficer, stanąwszy na lądzie, krzyknął: Que buenos aires son—los de este suelo!" (co za dobre powietrze na tej ziemi). Tu też założono pierwszą w Argentynie osadę, zwąc ją Buenos Aires — dzisiejszą stolicę Argentyny i największe miasto w Ameryce Południowej. Było to w roku 1535. Osada Buenos Aires zbudowana została z błota i domki kryte długą trawą, jak słomą. Mury były z błota. Osada liczyła kilkudziesięciu mieszkańców. Indjanie Kierandies z początku przyjaźnie się odnosili do przybyszów i nawet znosili dla osady żywność, ale zapewne przez kogoś obrażeni, wkrótce wypowiedzieli walkę Europejczykom. Zmierzył się z nimi w otwartem polu brat Mendory Don Diego. Zwyciężyli Hiszpanie, lecz Don Diego padł od zatrutej strzały. Sam Mendora zniechęcony wrócił do Europy, zostawiwszy osadę niejakiemu Ayolas. Ten, wyruszywszy w górę rzeki Parana, dotarł do dopływu tejże — do rzeki Paraguay i tam założył osadę Asuncion w roku 1536. Osada ta jest dzisiaj stolicą republiki Paragwaj. Buenos Aires zaś w tym czasie napadli Kierandiesi i zapalonemi strzałami spalili — zmuszając załogę do ucieczki — aż do owego Asuncion w Paragwaju. Wkrótce potem zginął Ayolas w Paragwaju, przeszyty strzałą indjańską.

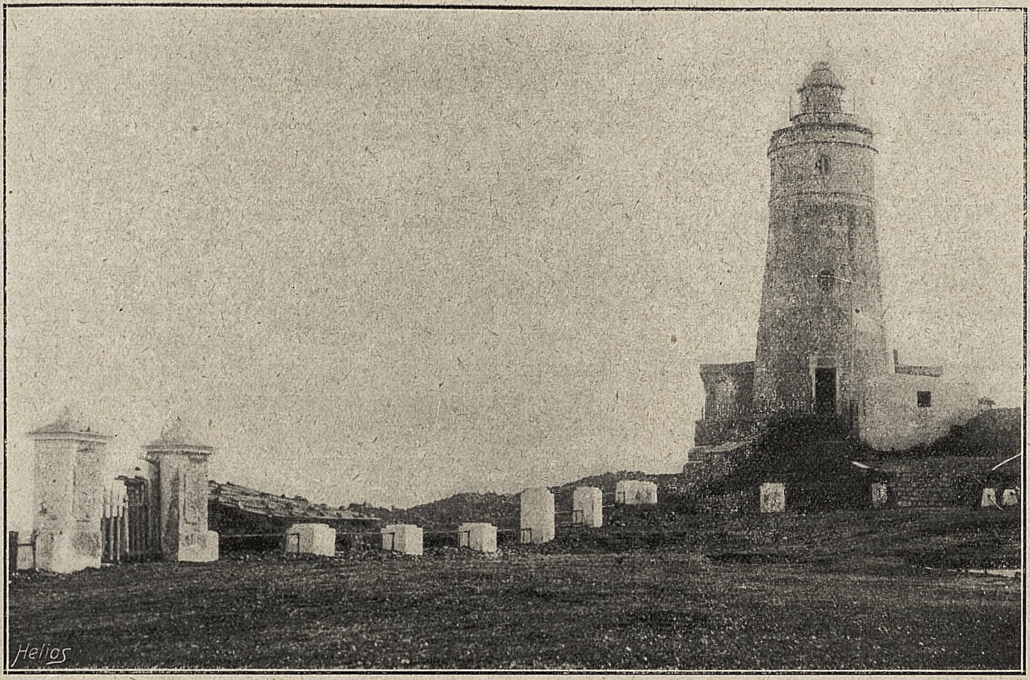


Montevideo. Przedmieście Cerro z fortecą Artigasa na szczycie.

Po jego śmierci obwołali osadnicy tymczasowym gubernatorem Irala. Niedługo przybył wysłany z Hiszpanji gubernator Alwar Nuniez Kavesa de la Waka (krowia głowia). Od czasu zburzenia forteczki San Salwador w Urugwaju przez Czarruasów nikt nie próbował osiedlać się na lewym brzegu La Plata ze strachu przed krwiożerczymi krajowcami. Irala wysłał zatem z Asuncion kapitana Juan Romero ze 120 żołnierzami do Urugwaju i ten w dzisiejszym departamencie urugwajskim Kolonia założył osadę San Juan (św. Jan). Osadnicy wówczas wzięli



Widok ogólny portu Rio de Janeiro w Brazylji. W głębi widać górę Pao de Assucar.



Latcrnia morska na wysepce kwiatów (Isla de Flores) w Montevideo.

(Avaziuwa). W tej walce padło wielu Hiszpanów, lecz Czarruasów Garay pokonał i zmusił do ucieczki. Ten sam Garay odnowił później Buenos Aires, zburzone przez Kierandiesów. Historja Argentyny, Urugwaju i Paragwaju łączy się tak z sobą w początkach, jak historja Chile z historją Peru i Boliwji lub Kolumbji, Venezueli i Ekwadoru.

Wł. Wójcik.

się bardzo energicznie do uprawy roli. A kiedy owoce ich pracy były widocznemi, zboże dojrzewało — spadli, jak dzikie zwierzęta, na osadę Czarruasi i, zniszczywszy dorobek kolonistów, uciekli w góry. I druga próba osadnictwa w Urugwaju nie udała się, bo koloniści, wciąż przez krajowców prześladowani, nie mogąc dochować się niczego z swej pracy — opuścili osadę, udając się do Paragwaju z powrotem. W roku 1573 przybyły z Hiszpanji gubernator Zarate też został pobity przez Czarruasów w Urugwaju i cofnął się do Argentyny. W tym czasie w Paragwaju rządy objął Garay, Kreolczyk (urodzony w Ameryce). Dzielny ten wojownik ruszył do Argentyny i założył miasto Santa Fe (św. wiara). Potem, stanąwszy na ziemi urugwajskiej w pobliżu zburzonego fortu San Salwador, wydał bitwę Czarruasom. Czarruasami dowodził słynny z okrucieństwa dziki kacyk Zapican i młodziutki „tygrys urugwajski" syn jego Abayuba

Przebywa obecnie w Warszawie p. Władysław Mazurkiewicz, Chargé d'Affaires w Buenos Ayres, a przedstawiciel Polski na Argentynę, Urugway, Paragway, Chile. Pan Mazurkiewicz zainteresował się naszym miesięcznikiem i obiecał pomóc nam na znanym mu doskonale terenie swej działalności przez zasilanie nas informacjami i fotografjami, oraz przez skomunikowanie nas z tamtejszem wychodztwem polskiem. Pan Mazurkiewicz ma szerokie i sympatyczne plany na zapropagowanie Polski w krajach południowej Ameryki, co mu się niewątpliwie powiedzie i na co mu życzymy: szczęść Boże!



„Głowa Cukru" w Rio połączona z miastem kolejką wiszącą. I Brazylja się „amerykanizuje".

Gdy Cię gnębi drożyzna...

Czytelniku, przeczytaj i napisz nam, co o tem myślisz

Artykuł poniższy stanowi wstęp do wychodzącej właśnie z druku książki Dr. T. Dzieduszyckiego. „U podstaw uspawnienia pracy i państwowości naszej". Rozważania Autora zaznajamiają nas z podstawowemi zagadnieniami naszej gospodarki narodowej, przedstawionej w barwach nader ciemnych. W dalszym jednak ciągu książka otwiera przed nami jasne drogi, wiodące Polskę do lepszej przyszłości. Celem zainteresowania polskiej opinji publicznej powyższemi zagadnieniami załączamy ankietę z prośbą o wypowiedzenie się naszych czytelników w tych sprawach. W ten sposób wspólne nasze usiłowania przyczynią się do skonsolidowania opinji publicznej na podstawie zdrowej i zbawczej dla nas ideologji gospodarczej. — Redakcja.

„Jedynie fakta mają moc rozwiązywania wielkich zagadnień", uczył już Mickiewicz. Zdala od jakichkolwiek uprzedzeń, czy animozyj rozważmy garść faktów i ich logikę konsekwentną. O pracy mowa, jej organizacji i owocności.

Jest powszechnie znanym fakt, że społeczny „standard of life", jako kryterjum owocności pracy, w takiej np. Ameryce, dziś jest wielokrotnie wyższy, gdyż robotnik lub inteligent nie tylko otrzymuje czterokrotnie większą niż u nas płacę i znacznie naogół lepsze warunki higjeny, komfortu i bezpieczeństwa pracy, ale jednocześnie wytwarza i kupuje dobra konsumpcyjne po cenach w ich sumie znacznie niższych niż u nas. Mniej znaną natomiast jest rzeczą, że ów stan dysproporcji między pracą a jej rezultatem i cała rozbieżność stosunków naszych a amerykańskich nie tylko utrwala się, ale stale powiększa, na naszą niekorzyść. Dziś już nie o porównanie idzie siły nabywczej pracy amerykańskiej w Ameryce, a pracy polskiej w Polsce, ale wręcz o to, że praca polska w Polsce staje się gospodarczym anachronizmem, niezdolnym do konkurencji na własnym gruncie i do obrony swego stanu posiadania bez sztucznych paljatywów polityki celowej, zjadania dawnych oszczędności etc.

Dla krótkiej ilustracji przytoczę kilka wymownych cyfr. Jako wzorca (standardu) porównawczego można użyć ceny samochodu „Ford", gdyż ideologja gospodarcza i organizacyjna, warunkująca ten bieg produkcji, w której zyski są w ścisłym związku ze zniżką cen, pożytkiem ogółu i polepszaniem dobrobytu robotnika, barwnie i głęboko ujawnia pamiętnik Forda, szeroko w kraju naszym kolportowany i omawiany ostatnio.

Samochód „Ford"

w roku	kosztował	przy wyrobie rocznym
1910	950 dol.	18.664 wozów
1913	600 „	168.200 „
1916/17	360 „	785.432 „
1919	575 „	996.660 „
1921	355 „	1.250.000 „
1924	300 „	około 2.500.000 „

Jakość wozu, t. j. trwałość, użyteczność etc., stale rosła przy jednoczesnym spadku cen. Płaca robocza, oparta na systemie premjowym, również stale rosła, a najniżej kwalifikowany robotnik nawet bez zarobienia premji otrzymywał ostatnio 6 dolarów dziennie, wraz z premją zaś mógł zarobić miesięcznie cenę wytwarzanego przez się automobilu.

Charakterystyczne jest, że bezpośrednio po wojnie w 1919 roku, gdy stosunki gospodarcze w Ameryce uległy silnemu wstrząśnieniu, cena „Forda", mimo dalszego wzrostu fabrykacji (zasadniczego czynnika tanienia produkcji), znacznie podniosła się dzięki drożyźnie i nierównowadze całego „milieu économique" w Stanach Zjednoczonych. Po zastosowaniu organizacyjnych zabiegów społeczeństwa i rządu amerykańskiego cena szybko mogła dosięgnąć bezkonkurencyjnego poziomu 355 — 300 dolarów i stać się ważnym czynnikiem eksportu narodowego. Relatywna taniość pieniądza w Ameryce tem bardziej uwypukla wpływ organizacji i wydajności pracy w kosztach produkcji tak rekordowo zniżkujących. W Polsce natomiast relatywna dziś drożyzna pieniądza tem bardziej uwypukla stan złej organizacji i znikomej wydajności pracy w porównaniu ze standardowym jej poziomem w świecie obecnie, lub nawet z poziomem przedwojennym u nas.

Całą kopalnię faktów przynoszą „Wiadomości Statystyczne", sprawozdania „Biura Badania Cen" i t. p. źródła bezstronne, niestety, nie znajdujące dotąd należytego dostępu, do opinji publicznej i nie wywołujące reakcji, stosownej do przerażających braków i konsekwencyj, jakie ujawniają się tu na polu pracy wytwórczej.

W numerze 20 W. St. z d. 18 października 1924 r. czytamy:

Gdy wskaźnik (rok 1914 = 100) cen hurtowych skóry surowej bydlęcej wynosi (wrzesień 1924) 69.1, a podeszwianej 94.7, to tenże wskaźnik dla półfabrykatu (zelówki) wynosi 219.4 i dla fabrykatu (kamasze męskie) 218.1. Podobnież surowce i materjały włókiennicze wskaźnik 151.9 a dla koszuli męskiej 350.9, dla garnituru 239.5—Wieprz żywej wagi (grudzień) 112.3 a kiełbasa 227.1, słonina 161.3 (oczywiście sto jednostek wskaźnika ceny detalicznej czy fabrykatu obejmuje już zysk, uważany przed wojną za normalny i odpowiednio przewyższa sto jednostek wskaźnika hurtowego lub surowca).

W Ameryce cyfry ilustrują obraz odwrotny. Naogół im produkt przechodzi wyższe koleje obrotu wytwórczego lub handlowego, tem bardziej

uwidocznia się tendencja spadku ceny, w ścisłym związku z polepszającą się wydajnością pracy ludzkiej. Oficjalny organ Departamentu Handlowego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej „Survey of Current Business" z grudnia 1924 r. podaje następujące wskaźniki (r. 1913 = 100): Bawełna surowa (październik 1924) 193, półfabrykat (przędza) 181, fabrykat (materjał) 168. Wełna surowa 260, przędza 225, sukno 184 i t. d.

Federal Reserve Bulletin (luty 1925) generalizuje powyższe charakterystyczne zjawisko, że w Ameryce wskaźniki (rok 1913 = 100) płodów rolnych, jako stosunkowo trudno dostępne udoskonalonym metodom pracy, podnoszą się (zgodnie z tanieniem pieniądza i z ogólnym ruchem płac i poziomu życiowego):

		Płody rolne ogółem	Żywność ogółem	Zboża	Produkty zwierzęce
Rok	1922	133	138	145	125
Grudzień	1923	145	146	181	115
Grudzień	1924	157	158	186	129

Natomiast wskaźniki fabrykatów i surowców łatwo dostępnych udoskonalonym metodom pracy maleją w ostatnim okresie:

		Wyroby metalurgiczne	Wyroby tekstylne	Materjały budowlane	Materjały drzewne	Opał i światło	Kopaliny
Rok	1922					218	207
Grudzień	1923	142	203	178	191		
Grudzień	1924	133	191	175	187	165	169

W Polsce widzimy obraz odwrotny, a specjalnie w stosunku do rolnictwa naszego wielce symptomatyczny. Tu zauważyć należy, że metoda obliczeń wskaźnikowych naszego Urzędu Statystycznego pozostawia dużo do życzenia i łagodzi obraz faktycznych przeciwieństw, istniejących u nas między cenami surowca a fabrykatów. Urząd Statystyczny jako jednostki wskaźnikowej używa obrazu cen stycznia 1914 roku, a nie przeciętnej kilku lat przedwojennych, przytem uwzględnia wyłącznie ceny b. Kongresówki. Ponieważ z 3-ch dzielnic, w Kongresówce ceny surowców, zwłaszcza rolniczych, były stale najniższe, a fabrykatów najwyższe, więc oparte na owych cenach wskaźniki, powodują przy uogólnieniu na cały obszar dzisiejszego gospodarstwa narodowego, wspomniane złagodzenie w cyfrach Urzędu Statystycznego faktycznie istniejących przeciwstawieństw.

Z analizy statystycznej, szczegółowo przeprowadzonej w książce, wynika, że stosunek siły kupna najważniejszego u nas, t. j. rolniczego, rynku zbytu, wobec produktów przemysłowych, ilustruje w styczniu b. r. (przy klęsce nieurodzaju) nie wskaźnik 238.3 (żyto) wobec 133.5 (węgiel) i 98.1 (żelazo), lecz raczej wskaźnik 166.7 (żyto) wobec 161,1 (węgiel) i 114.6 (żelazo). Uogólniając powyższe cyfry jako charakterystyczne, możemy przyjąć, że niedokładność w wypośrodkowaniu ceny przeciętnej, miarodajnej dla całej Polski w 1914 r. dla węgla i żelaza, w stosunku do odnośnej konsumcji dzielnicowej, jako bliżej nie określonej cyfrowo, zostaje z nawiązką skompensowane faktem, że przy wszelkich niemal fabrykatach, opartych na węglu, żelazie i t. p. surowcach, rozbieżność cen przedwojennych między b. Królestwem a Małopolską i Poznańskiem przewyższała odnośną różnicę cen węgla i żelaza. Wobec tego przyjąwszy stosunek wskaźnika G. U. S. dla żyta 238.3 do średniej wskaźnika G. U. S. dla węgla i żelaza $\left(\frac{133.5+98.1}{2} = 115.8\right)$, jako równy sto, otrzymujemy przez porównanie z analogicznym stosunkiem tychże wskaźników, skorygowanych w powyżej podany sposób, cyfrę porównawczą 58.7% i możemy z dużem prawdopodobieństwem mniemać, że dla ogółu stosunków kupna—sprzedaży na rynku rolniczym cyfra ta nie jest zbyt niska.

Widzimy tedy z powyższego pobieżnego zestawienia, że siła nabywcza rynku rolniczego względem towarów przemysłowych, w cyfrach wskaźnikowych G. U. S. jest w porównaniu do stanu z 1913 r. stale zbyt optymistycznie przedstawiana, a w poszczególnych konkretnych wypadkach nawet blisko dwukrotnie lepiej, niż to faktycznie na terenie naszego gospodarstwa narodowego ma miejsce.

Nie zapuszczając się dalej w głąb rozważań metodologicznych, widzimy z powyższego, że faktyczna przeciwstawność dzisiejszych cen ziemiopłodów, wobec cen innych towarów, zostaje w cyfrach wskaźnikowych G. U. S. łagodzona, lub nawet odwracana. W ten sposób pierwszorzędny powód obecnego wielkiego przesilenia gospodarczego, jakim jest podcięcie rolniczego, głównego w kraju naszym, rynku zbytu dla towarów przemysłowych, nie uświadamia się należycie w opinji światłych sfer społeczeństwa.

Konstruując zestawienie analogiczne do metod amerykańskich, wprost z cyfr źródłowych (zebranych przy pomocy Wydziału Społeczno - Ekonomicznego Związku Polskich Organizacyj Rolniczych i Generalnego Konsulatu St. Zj. A. P.), dochodzimy do jasnego obrazu wspomnianej odwrotności rozwoju naszej gospodarki, wobec tego, co wykazuje statystyka Stanów Zjednoczonych.

Ruch cen najważniejszych surowców pokarmowych, licząc dla Polski, podobnie jak dla Ameryki, średnią dla całego kraju (w stosunku do produkcji brutto każdej dzielnicy) i licząc lata gospodarcze, zgodnie ze zwyczajem rolniczym, od 1-go sierpnia do 31 lipca W ten sposób ceny ostatniego sezonu, wygórowane w Polsce wyjątkowym nieurodzajem, odpadają, tak się przedstawia:

Pszenica za 100 klg.

	Polska		Ameryka	
	Cena	wskaźnik	cena	wskaźnik
r. 1913	21.30	100	17.31	100
r. 1923	21.41	100.5	22.25	128.5
r. 1924	19.37	90.9	21.44	123.8

		Żyto za 100 klg.			
		Polska		Ameryka	
		Cena	wskaźnik	cena	wskaźnik
r.	1913	16.17	100	11.76	100
r.	1923	13.00	80.3	15.53	132.0
r.	1924	10.54	65.1	13.99	118.9
		Jęczmień za 100 klg.			
r.	1913	17.21	100	12.02	100
r.	1923	11.62	67.5	14.34	119.3
r.	1924	11.35	60.1	14.82	123.3
		Owies za 100 klg.			
r.	1913	17.15	100	13.63	100
r.	1923	13.45	78.4	15.14	111.0
r.	1924	11.50	67.0	15.58	114.3
		Bydło za 100 klg. ż. w.			
r.	1913	78.20	100	[3]) 90.31	100
r.	1923	[1]) 42.03	53.8	[3]) 104.50	115.7
r.	1924	[1]) 69.41	88.7	[5]) 115.50	127.8
		Trzoda za 100 klg. ż. w.			
r.	1913	119.35	100	[4]) 91.85	100
r.	1923	[2]) 85.64	71.7	[4]) 83.05	90.4
r.	1924	[2]) 85.91	72.0	[5]) 78.65	85.6

Zjawisko odwrotnego kierunku ruchu cen wskaźnikowych u nas i w Ameryce, odnośnie surowców, przejawia się również w całej pełni w przebiegu procesu wytwórczego, powodującego w Ameryce wspomniany spadek wśkaźników, t. j. naogół niższy ich poziom przy fabrykatach, niż przy surowcach, mający przytem wyraźną dalszą tendencję zniżkową, mimo tendencji zwyżkowej przy większości surowców.

W Polsce wprost odwrotny obraz, jaki zarysował się już w cyfrach, przytoczonych dla przemysłu skórniczego, tekstylnego i masarskiego, rozszerzać można na dowolne dalsze dziedziny przemysłu.

Aby niepotrzebnie nie mnożyć cyfr, wyrażających te same zjawiska, dodajmy jako nowe „pendent" przytoczonej statystyki amerykańskiej, że wskaźniki fabrykatów u nas naogół mają stałą tendencję zwyżkową:

Wskaźniki:

Towar	Styczeń 1924.	Czerwiec 1924	Luty 1925
Kamasze męskie	207.0	217.5	219.1
Zelówki	164.3	209.1	250.7
Koszula męska	236.1	306.3	350.9
Garnitur męski	156.7	237.6	239.6
Suknia kobieca	236.5	334.6	282.2

Jednocześnie odnośne surowce w cenie stoją lub spadają, a półfabrykaty nieznacznie podnoszą się:

Ceny hurtowe w złp. za 1 kg.			
Skóry surowe	1.02	0.76	1.07
Juchty tłuszczone	7.06	8.00	9.20
Skóry podeszwiane	4.19	4.20	4.85
Bawełna amerykańska	4.20	4.09	3.39
Przędza bawełniana $^1/_{32}$	5.72	6.33	6.33

Powyższe zgrupowanie cyfr przykładowych ilustruje dwie zasadnicze przyczyny przeżywanego obecnie, tak silnego u nas wstrząsu i przesilenia gospodarczego.

Pierwsza przyczyna, to słaba wydajność pracy, zwłaszcza w przemyśle i odpowiednia zwyżka cen wszelkich dóbr, t. zw. kulturalnych.

Druga przyczyna to spowodowane odpowiednią polityką cen, podkopanie wewnętrznego rynku zbytu, czyli wyniszczenie największego konsumenta, jakim jest rolnik, najmniej umiejący u nas bronić swych doraźnych i stanowych interesów. Wskaźniki Urzędu Statystycznego wprawdzie w obecnym sezonie mówią znacznie korzystniej o cenach płodów rolnych, ale (pominąwszy nawet wspomnianą tendencyjność użytej dla obliczeń u nas jednostki wskaźnikowej) Nr. 2 Wiad. Stat. z d. 18. I .1925 r. uwidocznia katastrnofalną klęskę tegoroczną, która dała rolnikowi naszemu z 1 ha: pszenicy 8.2 q, żyta 8.3, jęczmienia 9.9, owsa 9,3. Analogiczne cyfry roku ubiegłego były jako normalne o przeszło 50% wyższe, t. j. pszenicy 13.3 q, żyta 12.8, jęczmienia 13.8, owsa 14.0. Zbieg okoliczności sprawia, że w tymże Nr. W. St. wskaźnik pszenicy (styczeń 1925) wynosi w Warszawie 187.1, żyta 190.3, w Poznaniu analogicznie pszenica 122.3 i żyto 128.8, a w Chicago lub w New Yorku, przy pięknych plonach, widzimy: pszenica 200.2 i żyto 256.9.

Jaką niepomierną rolę, paczącą normalny bieg i rozwój życia gospodarczego i wywołującą jego niezdrowie, wywierają w Polsce względy polityczne, w szczególności silna obrona danych interesów klasowych, objaśnia cytowany już Nr. 20 W. St. z d. 18. X. 1924.

U nas, gdy wskaźnik za list wynosi 80.6, depeszę 46.8, bilet kolejowy III kl. 100, mieszkanie 36. 5, to przy usługach nic ze zjadaniem oszczędności państwowych lub prywatnych nie mających wspólnego, widzimy jednocześnie: strzyżenie 375.9, pranie 244.4, lekarz (z wizytą) 375.9, wpis szkolny 205.1, gazeta 283.0, kino 376.0 — że tylko wymienię niektóre konieczności życiowe z budżetu człowieka kulturalnego.

Analogiczne wskaźniki w St. Zjedn. są: list lub depesza 100, bilet kolejowy (w różnych Stanach różnie) przeciętnie 130, mieszkanie 184, strzyżenie 160, pranie 150, lekarz (z wizytą) 150, gazeta 200.

Uderza, że w Polsce „zorganizowany" lekarz, którego dwie najważniejsze pozycje rozchodowe wynoszą (wrzesień 1924) mieszkanie 36.5, a ży-

(Dalszy ciąg p. na str. 58)

---

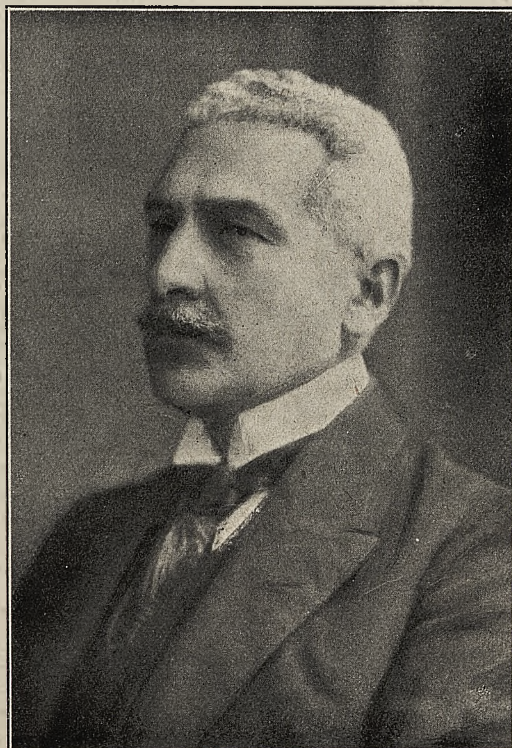
[1]) 1—2 gatunek (średnia) rynek poznański.
[2]) 1—2—3 „ „ „ „
[3]) Agriculture Yearbook 1923 U. S. Dep. of Agr. str. 902. Ceny na rynku w Chicago.
[4]) Agriculture Yearbook 1923 U. S. Dep. of Agr. str. 964. Ceny na rynku w Chicago.
[5]) Crops and Markets U. S. Dep. of Agr. Nr. 4, 24.I 1925, Ceny na rynku w Chicago w styczniu 1924.

W wirze gotówki i czeków

Pocztowa Kasa Oszczędności i jej znaczenie gospodarcze

Na zasadzie rozmowy z Twórcą i Prezesem PKO p. H. I. Lindem, b. Ministrem Skarbu

Nazwisko p. H. I. Lindego powinno przejść do historji z przydomkiem Budowniczy. Gdy bowiem cały stan posiadania polskiego topniał w gorączkowym procesie dewaluacji, gdy przedsiębiorstwa przemysłowe traciły swe aktywa, banki zaś swe kapitały zakładowe — jedna tylko Pocztowa Kasa Oszczędności, mając powierzone sobie pieniądze najszerszych sfer ludności, nie roztrwoniła ich, a w porę przemieniła na wartości rzeczywiste, na budowę gmachów zarówno dla potrzeb swej instytucji, jako też i dla celów mieszkaniowych. To, co Niemcy podczas inflacji robili masowo (o czem pisaliśmy w Nr. 1 pisma naszego): rozbudowywali fabryki, biura, domy mieszkalne, całe nowe dzielnice, u nas na większą skalę tylko PKO wznosiła nowe budowle. A czyniła to tak monumentalnie i okazale,



z takiem głębokiem przeświadczeniem obywatelskiem, że buduje u podstaw i na wieki całe, iż ani się spostrzegła, jak sama sobie, dla swej działalności, wystawiła pomnik najpiękniejszy. Kilka załączonych rycin, lepiej niż potoki słów, zilustrują tę pożyteczną działalność o iście amerykańskim rozmachu. Gmach przy ulicy Jasnej w Warszawie to symbol potęgi naszej instytucji oszczędnościowej, gdy zaś krakowski budynek symbolizuje piękno całej jego pracy twórczej. A Bugaj! — Są to niezniszczalne pomniki epoki naszej, epoki odrodzenia Państwa polskiego, przekazane potomności. Gdy więc mamy takich Budowniczych w kraju naszym, z najwyższą ufnością spoglądać możemy w jego przyszłość, albowiem zakładamy tak trwałe fundamenty, iż żadne wichury dziejowe ich nie zniszczą.

W wielkiej sali, mieszczącej kasy PKO, w gmachu przy ul. Jasnej ścisk. Od wczesnego rana do późnego wieczoru tłumy interesantów napełniają sale i korytarze parteru. Praca nerwowa, praca wyczerpująca i gorączkowa, niemniej przeto prowadzona sprawnie i szybko, wre od 8-ej rano do 8-ej wiecz. Na każdym kroku widać, iż ten skomplikowany mechanizm ożywia nieustannie myśl twórcza i czujna.

Ciągły kołowrotek interesów, tłum wpłacających, podnoszących gotówkę, kupujących lub sprzedających papiery wartościowe, inkasujących należności wekslowe i t. p. — istny wir gotówki i czeków!

Dzienne bowiem obroty PKO, dokonywane na całym obszarze Rzeczypospolitej za pośrednictwem blisko 3000 urzędów pocztowych, a koncentrujące się w centrali w Warszawie i nielicznych narazie oddziałach (Poznań, Katowice i Kraków), przekraczają sumę 45 miljonów złotych.

Wchodzę na 1 piętro, gdzie mieszczą się biura Prezydjum PKO. Tutaj też tłumy, cisnące się do Wydziału Kredytowego i łaknące tak pożądanego obecnie taniego kredytu. Po chwili oczekiwania jestem w gabinecie Prezesa PKO.

Słyszę zdecydowane, jasne zdania; coraz bardziej rozumiem znaczenie pracy tej instytucji dla całokształtu gospodarstwa narodowego, jestem oszołomiony cyframi.

Naczelnem zadaniem PKO jest regulowanie obrotu pieniężnego w państwie oraz organizacja oszczędności. Praca tej instytucji zmierza do wytworzenia rezerwy kapitału oszczędnościowego, który mógłby być obracany na potrzeby Państwa i życia gospodarczego. Dwie drogi prowadzą PKO do tego celu. Pierwsza — to stale potęgujący się obrót czekowy, który wytwarza strumień płynnego pieniądza. Strumień ten, odpowiednio kontrolowany i kierowany, stwarza rezerwę kapitału, stale pozostającą w rozporządzeniu PKO, druga — to obrót oszczędnościowy, w którym skupia się oszczędność szerokich warstw społeczeństwa polskiego.

Wprowadzenie w obieg złotego wpłynęło na zdecydowany rozwój Pocztowej Kasy Oszczędności w kierunku ogarnięcia wszystkich tych agend, które normalnie wypełniają instytucje pokrewne. Reforma walutowa w Polsce stworzyła dla PKO silny grunt do rozwoju obrotów oszczędnościowego i czekowego, jednocześnie zezwalając instytu-



Sala główna w Centrali PKO.



Centrala PKO w Warszawie przy ul. Jasnej.



Oddział safes'ów w Skarbcu Central. w Warszawie.



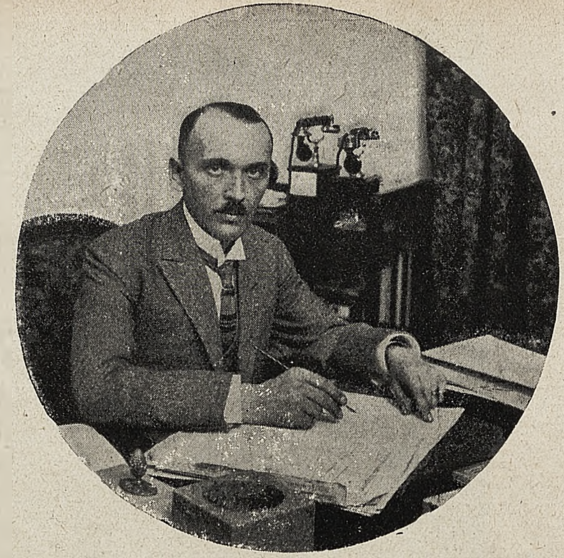
Monumentalna budowla PKO na Bugaju.

cji na ogarnięcie tych czynności, które, aczkolwiek leżały w programie jej prac, jednakże ze względu na brak ustalonego systemu monetarnego w Polsce wypełniane być nie mogły. Od chwili powstania Banku Polskiego i rozpoczęcia przezeń działalności, a więc od dnia 1 maja roku ubiegłego, PKO wkracza na drogę intensywnego realizowania zadań, wynikających z zasadniczych momentów pracy PKO, a więc z prowadzonego obrotu czekowego i oszczędnościowego.

Dnia 27 czerwca Prezydent Rzeczypospolitej zatwierdza nowy statut regulujący odpowiednio do nowych warunków, które Polska osiągnęła dzięki stabilizacji waluty, organizację PKO. Rozporządzenie Prezydenta rozwija zakres czynności i zadania PKO w zakresie następującym:

1) przyjmowanie wkładów oszczędnościowych na oprocentowanie;

2) przekazowy obrót czekowy krajowy i zagraniczny;



Adam Żelechowski, wice-prezes PKO.



Jeden z najpiękniejszych gmachów nowoczesnej Polski: PKO w Krakowie.

3) wykonywanie zleceń uczestników obrotów PKO w zakresie kupna, sprzedaży i przerachowania papierów wartościowych oraz walut i dewiz zagranicznych;

4) wykonywanie zleceń w zakresie inkasa weksli, frachtów oraz innych należności;

5) oraz udzielanie pożyczek.

Postulaty wysuwane przez sfery gospodarcze znalazły swe całkowite uwzględnienie z chwilą gdy warunki walutowe w Polsce na to zezwoliły.

Rozwój obrotu czekowego od momentu powstania PKO do dnia 1 maja 1924 r., a więc całkowity okres operacyj w markach polskich przedstawia się następująco (p. na str. 24):

W okresie markowym obrót bezgotówkowy wynosił w r. 1923—56,1% ogólnych obrotów czekowych w 1920, w 1921 — 63,9%, w 1922 — 63,5%, w 1923 — już tylko 56,1%, zaś do 1 maja 1924 r. spadł do 51,7% ogólnych obrotów czekowych.

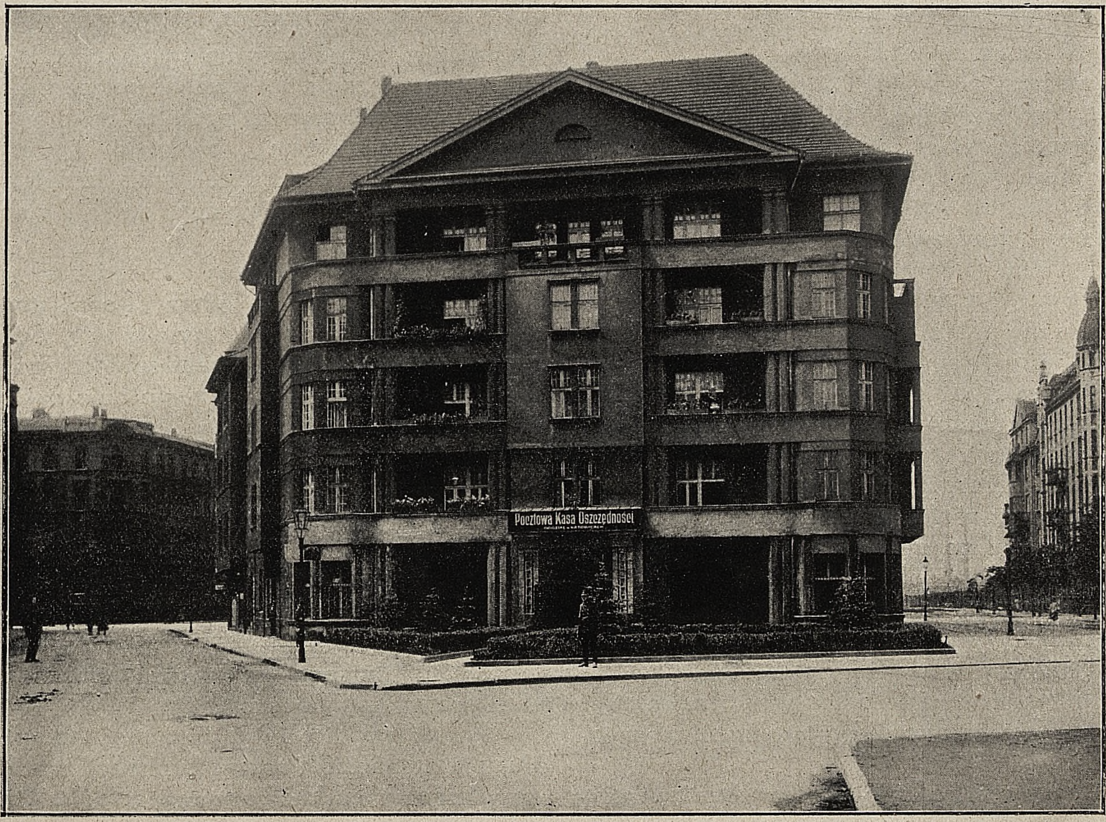
W okresie markowym od 1922 r. stosunek obrotów bezgotówkowych stale się zmniejszał; przyczyną tego było stale wzrastające w okresie markowym zapotrzebowanie gotówki.

Od 1 maja do końca roku 1924 obroty czekowe w złotych wynosiły:

Liczba uczestników 44,016.
Saldo na kontach 37,485,579,71.
Ogólny obrót czekowy
3,124,270,822,74.
Obrót bezgotówkowy
1,664,728,300,42.



Gmach PKO w Warszawie przy ul. Ludnej.



Budynek PKO w Katowicach.



Portyk okazałego gmachu na Bugaju w Warszawie.

Rok	Liczba uczestników na 31.XII	Saldo na kontach	Ogólny obrót czekowy	Obrót bezgotówkowy
	w miljonach marek			
1919	4,885	298	1,863	1,024
1920	12,416	1,902	26,611	16,781
1921	20,937	9,403	269,097	171,876
1922	30,417	55,527	1,897,066	1,204,217
1923	38,427	8,295,426	124,833,269	70,120,151
1924 do I.V	40,667	46,737.085	1,404,164,185	726,214,385

Od 1 stycznia do 1 marca 1925 r.
Liczba uczestników 44,135.
Saldo na kontach 39,041,041,98.
Ogólny obrót czekowy 1,012,289,504,37.
Obrót bezgotówkowy 567,398,404,61.

Obrót bezgotówkowy w okresie od 1 maja do końca roku 1924 wynosił 53,7% ogólnych obrotów czekowych w tym okresie.

Obroty PKO stanowią obecnie 100% sumy obiegu banknotów, a więc rzec można, że miesięcznie przesuwa się przez kasy PKO całkowita suma banknotów, pozostających w obiegu w Polsce. Tą drogą wytwarza PKO rezerwę kapitału oszczędnościowego, która obracana jest na potrzeby życia gospodarczego w formie lokat, częściowo zaś przeznaczana na zaspokojenie głodu mieszkaniowego drogą wznoszenia przez PKO gmachów na potrzeby własne i na mieszkania dla swych pracowników.

Drogą lokat PKO współpracuje w podniesieniu wydajności naszych pól, w rozwoju i organizacji przemysłu, oraz ułatwia wymianę, zwiększając niejako ilość banknotów w obiegu mniejwięcej o 50% w okresach miesięcznych, drogą obrotów bezgotówkowych.

Organizacja oszczędności drobnych, stanowiących normalne źródło zdrowego i taniego kredytu dla wszelkich poczynań gospodarczych społeczeństwa, raźno się rozwija. Oszczędność pieniężna, całkowicie zrujnowana czasu dewaluacji, odbudowywana jest zwolna. Oszczędności w PKO stale wzrastają od chwili wprowadzenia złotego. Obecnie wynoszą ponad 12 miljonów złotych przy liczbie oszczędzających zgórą 65,000 osób. Jednocześnie wzrasta również suma złożona na jedną książeczkę oszczędności. Wynosiła ona w dniu 1 lipca roku ub. 60 złotych, na dzień 1.I 1925 r. — 130 złotych, na 1.III — 169 złotych. Świadczy to o tem, iż cnota oszczędności żyje i rozwija się. Najlepszym bowiem przejawem istoty oszczędności jest systematyczność. Bez organizacji oszczędności nie do pomyślenia jest rozwiązanie sprawy kredytów długoterminowych. To też temu zadaniu poświęca PKO wiele uwagi, nie ograniczając się obecnie do rozwoju swego obrotu oszczędnościowego, a biorąc czynny i wydatny udział w ogólnej organizacji oszczędności w Polsce, jako naczelna instytucja do tej pracy powołana przez państwo. Stan oszczędności w Polsce i praca prowadzona w tym kierunku przez różnolite instytucje wykazuje, iż do należytego rozwiązania tej kwestji potrzebne jest wypełnienie następujących postulatów:

a) ustawodawstwa ogólnego, normującego i określającego oszczędność oraz udzielającego ze strony państwa specjalnej opieki instytucjom oszczędnościowym.

b) stworzenie sieci kas oszczędności wszelkiego typu, których praca byłaby skoordynowana,

c) organizacji propagandy oszczędności w oparciu o szkoły, mającej na celu społeczny ideał wychowawczy, który niewątpliwie daje oszczędność.

W kierunku realizacji tych zasadniczych postulatów, dotyczących rozwoju oszczędności w Polsce, idą właśnie zamierzenia PKO. Dopiero po wypełnieniu tych przygotowawczych zadań będzie można osiągnąć dostateczne rezultaty z rozrostu oszczędności. Wymaga to niewątpliwie dłuższego okresu czasu i intensywnej współpracy wszystkich czynników powołanych z prasą na czele. Czynnik propagandy bowiem całkowicie spoczywa w rękach prasy.

Wyszedłem z PKO z tem mocnem przekonaniem, iż organizacja oszczędności w Polsce spoczywa w mocnych rękach i że w niedługim czasie Polska dokona cudów gospodarczych w oparciu o oszczędności swych obywateli.

M. W.

Tramwaje Poznańskie

Obecne tramwaje poznańskie należą do Spółki Akcyjnej „Poznańska Kolej Elektryczna", która jeszcze w r. 1896 przejęła istniejące już od r. 1880 tramwaje konne i w r. 1898 uruchomiła kilka miejskich linij tramwaju elektrycznego.

Następująca tablica statystyczna daje nam wyczerpujący obraz rozwoju przedsiębiorstwa. Charakterystyczną cechą tego rozwoju jest pozycja ilości przewożonych pasażerów. W okresie wojennym ilość ta dochodziła do 19 z połową miljonów, lecz wraz z przejściem miasta w ręce polskie widzimy, jak liczba ta stopniowo spada i w r. 1923 wykazuje zaledwie 14.143.273. Jednakże już rok 1924 daje nam wzrost pasażerów do 15.929.139. Jest to najlepszym dowodem żywotności miasta podczas polskiej gospodarki, wykazuje bowiem wzrost ruchu tramwajowego o 50% w stosunku do ostatniego przedwojennego roku, 1913 r., kiedy miasto było w rękach Prusaków.

	1912	1913	1920	1921	1922	1923	1924
Kapitał akcyjny: mk. zł.	3,600.000	3,600.000	3,600.000	3,600.000	3,600.000	3,600.000	3,600.000
Długość torów klm. . .	39,68	43,76	44.13	44.13	44.13	44.13	44.13
Ilość wag. mot. . . .	75	78	88	88	88	88	88
" " przycz. . .	46	46	62	62	62	62	62
Przebieg wagonów rzecz. wag. klm.	3,601.003	3,675.191	4,147.859	4,249.341	4,406.568	4,158.489	3,480.100
Ilość pasażerów (bez abonentów).	9,853.496	10,248.800	19,568.289	19,071.528	16,059,097	14,143.273	15,929.139
Przychód ogólny mk. .	1,255.107	1,311.886	29,071.941	239,412.782	997,291.796	118.534,041.804	zł. 2,801.875.03 gr.
Bezpośrednie koszta eksploatacyjne	637,793	671,073	22,549.114	176,020.322	673,261.671	73.988,232.002	—
Spółczynnik eksploatacyjny w %	51	51	77.5	74	67.5	62.5	—
Dywidenda w % . . .	9	9½	10	11	11	0	—

W roku 1923 nabył magistrat miasta Poznania 75% wszystkich akcyj, przedsiębiorstwo zaś jest nadal prowadzone jako Spółka Akcyjna, której rada nadzorcza składa się z 3 członków Magistratu, 3 radnych, oraz 3 przedstawicieli kapitału prywatnego. Skład Rady Nadzorczej jest następujący: b. prezydent miasta Poznania, p. C. Ratajski, prezes; L. Cichowicz, radca prawny, zastępca prezesa; inż. A. Ballenstedt, radny miasta; Cz. Bugzel, radny miasta; inż. Drozdowicz, radca miejski; J. Piechowski, radca miejski; S. Samulski, prezes zarządu H. Cegielski; Sułowski, dyrektor T-wa „Siła i Światło"; B. Wybieralski, radny miasta.

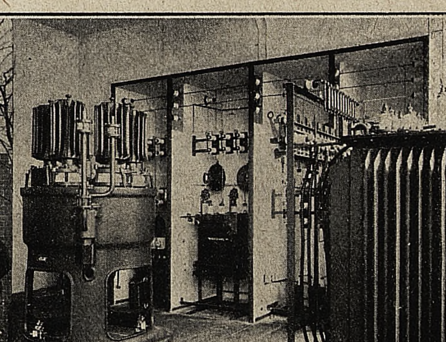
Dyrektorem przedsiębiorstwa jest od 1 stycznia 1921 r. inżynier Paweł Nestrypke.



Budynek dyrekcji z nowozbudowanym wagonem. Przea nim widzimy dyr. P. Nestrypke.



Grupa konduktorów tramwajowych. Ci wozów swoich Prusakom nie oddadzą.



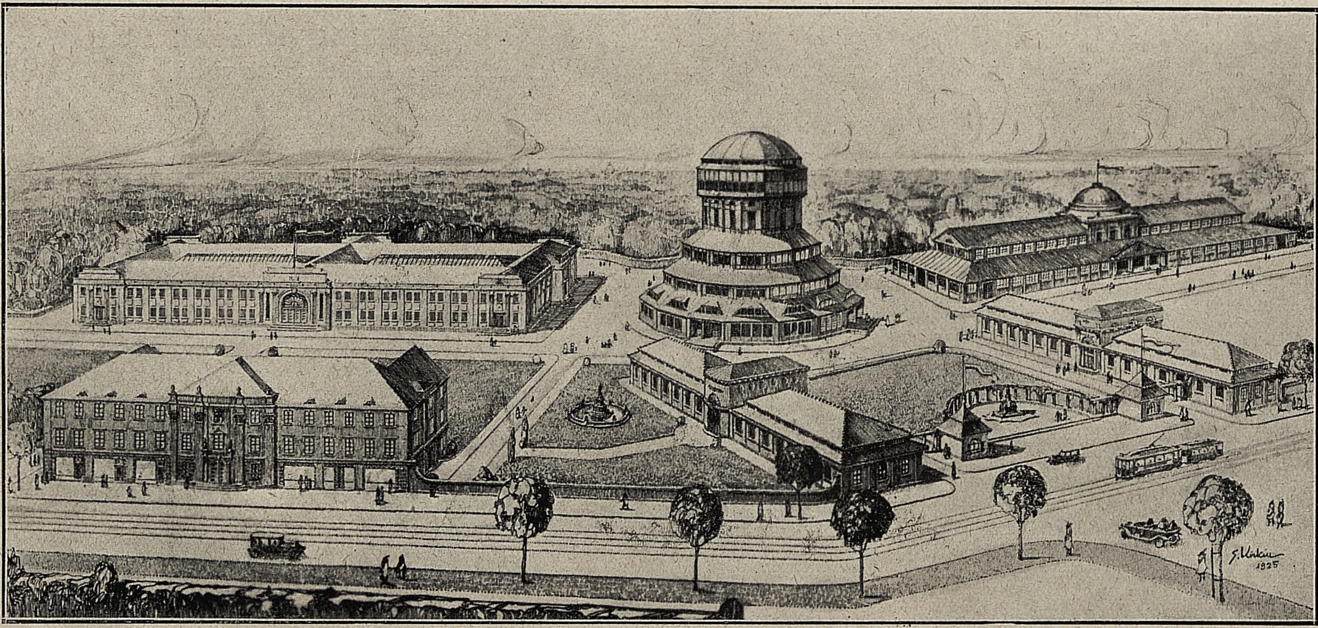
Instalacja prostownika rtęciowego w warsztatach tramwajowych,— pierwsza w Polsce.

TARGI MIĘDZYNARODOWE W POZNANIU

PALĄCA KWESTJA.

Po pomyślnem przeprowadzeniu sanacji skarbowej i ustabilizowaniu waluty p. premjer Grabski w zrozumieniu tej palącej kwestji, jaką jest obecnie postawienie na poziomie zachodnio-europejskim naszego krajowego przemysłu, zamierza okazać przemysłowi polskiemu jak najdalej idące poparcie i pomoc. Przy pierwszych poczynionych krokach w tym kierunku stara się przedewszystkiem o potanienie najważniejszego surowca, jakim jest węgiel. W tym celu Premjer Grabski ma zamiar znieść podatek na węgiel, wobec czego również i koleje zmuszone będą stawki swe unormować w ten sposób, aby ceny węgla na całym obszarze Państwa Polskiego były mniejwięcej równe. Jest dzisiaj rzeczą powszechnie wiadomą, że p. premjer Grabski znaczną część sum, uzyskanych drogą pożyczki amerykańskiej, przeznaczył na rozbudowę i stworzenie nowych linij kolejowych, poza tem zaznaczył, że w pierwszym rzędzie będzie zewszechmiar popierał krajowy przemysł, a potem dopiero i handel. Wobec tego dla przemysłu polskiego roztwierają się pomyślne widoki rozwoju i podźwignięcia się z obecnych niedomagań. O ile przemysł postara się o możliwą standaryzację swych wyrobów i należyte zorganizowanie i zmechanizowanie pracy, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że krajowa produkcja przybierze formy więcej intensywne i racjonalniejsze niż dotychczas. Wiadomą bowiem rzeczą jest, że przy mechanizacji sfery robotnicze nic a nic na tem nie tracą. Przeciwnie, znacznie zyskują, bo przez wzmożenie się wytwórczości przemysł nasz będzie mógł konkurować z zagranicą, a poza tem przez intensywną produkcję i lepszą organizację, nastąpi zniżka cen na towary, która będzie prawdziwą ulgą dla warstw mniej zamożnych naszego społeczeństwa. Z nastąpieniem tej chwili Polska będzie mogła eksportować z kraju nietylko swoje surowce, ale i gotowe fabrykaty, niczem nie ustępujące pod względem jakości wyrobom zagranicznym. Ponadto zalew towarami zagranicznemi wobec odpowiedniej konkurencji będzie zatamowany do tego stopnia, że będziemy sprowadzali tylko te maszyny, które, czy to w Anglji, czy też w innych krajach, są specjalnie produkowane, aby zasilać niemi cały świat. Jeżeli do tego dodamy, że będziemy musieli stworzyć sobie należycie funkcjonujące drogi wodne, przez co transport niezmiernie potanieje, to Polska niewątpliwie stanie się krajem nie tylko wybitnie rolniczym, lecz i przemysłowym.

W tym roku bowiem nadarza się dla krajowych wystawców na Targu Międzynarodowym w Poznaniu, który się odbędzie pomiędzy 3 a 10 maja niezwykła sposobność do skonstatowania najlepiej, gdzie najbardziej zagraniczna konkurencja przenika do Polski i gdzie najdotkliwiej daje się we zna-

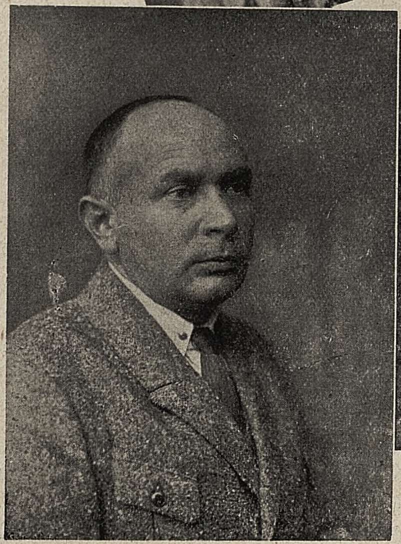


Widok ogólny Międzynarodowego Targu w Poznaniu. Teren Wieży Górnośląskiej.











TEATR POLSKI W POZNANIU

Rząd górny: Dyr. Bolesław Szczurkiewicz, Janina Biesiadecka i Robert Boelke.
Rząd środkowy: Jadwiga Sachnowska; scena z „Antychrysta", pp. Biesiadecka, Szpakiewicz i Szczerbowski; Dyr. Młodziejowska-Szczurkiewiczowa.
Rząd dolny: Maksymiljan Piotrowski; scena ze „Spadkobierca", pp. Ludwiżanka i Sachnowska; Zygmunt Noskowski.

ki krajowym sferom kupieckim. Kupcy krajowi, jacy licznie będą reprezentowani na tegorocznym Targu w Poznaniu, będą mogli wyciągnąć należyte konsekwencje i stworzyć na przyszłość środki zaradcze.

Tegoroczny Międzynarodowy Targ w Poznaniu zgromadzi cały szereg wystawców zagranicznych z następujących krajów: Anglji Ameryki, Szwecji, Szwajcarji, Czechosłowacji, Austrii, Francji, Rumunji, Niemiec, Belgji. Również, jak donoszą nam, zapowiedziały swe przybycie wycieczki zagraniczne przedstawicieli izb i sfer handlowych niemal z całej Europy.

TEATR „POLSKI" W POZNANIU.

Pięćdziesiąt lat upływa we wrześniu bieżącego roku od powstania teatru „Polskiego", jednego z najpiękniejszych wówczas w Polsce gmachu, wystawionego za pieniądze, złożone na ten cel przez społeczeństwo polskie i noszącego wymowny napis: „Naród sobie". Stał się on strażnicą myśli i mowy ojczystej, jedyną mównicą, z której publicznie rozbrzmiewać mogło słowo polskie.

Dziś już postarzały, mały i skromny budynek teatru pięćdziesiąt lat spełniał niestrudzenie swą narodową misję, krzewiąc miłość myśli, poezji, literatury i pięknej mowy ojczystej. Przesunęły się przez jego scenę wszystkie prawie głośne i sławne nazwiska znakomitych artystów dramatycznych, poczynając od Heleny Modrzejewskiej, Rychtera, do Solskiego, Żelazowskiego, Siemaszkowej, Wysockiej, aż po dzisiejszą garstkę ulubieńców Poznania.

Rozbrzmiewały ze sceny przepiękne strofy Mickiewiczowskich „Dziadów", przeszedł przez nią cały prawie Słowacki, Wyspiański, Fredro, Szekspir. Nie było nazwiska głośnego w literaturze swojskiej, lub obcej, któreby nie zagościło na deskach sceny poznańskiej.

Obecnie nawą teatru „Polskiego" kieruje znany ze swej energji, inicjatywy i wysokiego poziomu kulturalnego dyrektor Bolesław Szczurkiewicz. Kierując tą sceną już od lat trzynastu, miał szerokie pole do wykazania swych wybitnych zdolności administracyjnych, jak również aktorskich i reżyserskich.

Sezon obecny 1924—25, rozpoczęty pod najlepszemi auspicjami, zainaugurowany był wybornem wystawieniem przemiłej komedji Zygmunta Przybylskiego „Wicek i Wacek", które stało się prawdziwym triumfem teatru i wykonawców.

Repertuar, oparty przeważnie o twórczość rodzimą, przyniósł cały szereg nowości i wznowień następujących: ukazała się tchnąca duchem rdzennej swojszczyzny „Opieka Wojskowa" Stanisława Bogusławskiego, odegrane były „Wywczasy Donżuana" Kazimierza Wroczyńskiego, miła lekka komedyjka Pawła Gavault „Pomysł panny Franciszki". W tym sezonie po raz pierwszy na scenie ujrzała światło kinkietów wyborna komedja Adama Grzymały-Siedleckiego „Spadkobierca", świetnie wyreżyserowana przez dyr. Szczurkiewicza i odegrana przez cały zespół z pp. Stomą, Żbikowską, Ryllem, Biesiadeckim, Gantkowskim, Ludwiżanką, Noskowskim, Sachnowską, Wierzejską i Podborówną w rolach głównych. „Spadkobierca" doczekał się przy całkowitem artystycznem i kasowem powodzeniu poważnej sumy 30 przedstawień. Grany wobec uroczyście podejmowanych gości, między innymi Ignacego Paderewskiego, zjednał wyrazy najgorętszego uznania dla sztuki i wykonawców.

Wznowione po raz trzeci „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego, wyreżyserowane przez doskonałego reżysera Władysława Ryszkowskiego, osiągnęło poważny sukces, ściągając istne pielgrzymki młodzieży szkolnej z prowincji; odegrano je 20 razy przy wypełnionej widowni.

Dalej ukazały się głośniejsze nowości zagraniczne z zakresu lekkiej komedji: „Prawo pocałunku", „Trwoga serc", w której znalazła popis ulubienica publiczności poznańskiej, wysoce utalentowana artystka p. Janina Biesiadecka, obok której odniosła sukces znana artystka p. Helena Arkawinówna.

Następnie ukazała się ciesząca się rekordowem powodzeniem komedja Wiktoryna Sardou „Madame sans gêne" z p. Żbikowską w roli tytułowej, p. Nowackim „Lefebvrem" i p. Szpakiewiczem — reżyserującym sztukę — „Napoleonem". Sztuka grana 30 razy, wyposażona w piękne dekoracje jednego z najwybitniejszych artystów malarzy scenicznych, p. Stanisława Jarockiego, stała się „ewenementem" w życiu teatralnem Poznania.

Rozwijający się wybornie sezon doszedł do swego punktu kulminacyjnego przedstawieniem „Hamleta". Wystawiony był z podziwu godnym pietyzmem pod subtelną i kulturalną reżyserją p. Władysława Ryszkowskiego oraz w malowniczej oprawie dekoracyjnej p. Stanisława Jarockiego. Rolę tytułową kreował ulubieniec Poznania, obdarzony świetnemi warunkami zewnętrznemi i głosowemi, utalentowany artysta p. Robert Boelke. „Hamlet" doznał bezprzykładnego wprost powodzenia, ściągając liczne pielgrzymki inteligencji i młodzieży szkolnej z całego Poznańskiego; grano go 30 razy przy wypełnionej widowni.

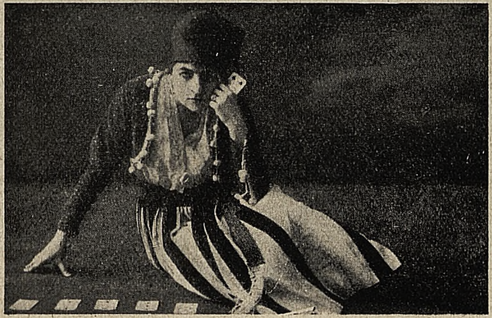
Drugiem „wydarzeniem" artystycznem była premjera niegranej przez żadną ze scen polskich, osnutej na głęboko ideowym i społecznym podkładzie, sztuki Karola Huberta Rostworowskiego, — „Antychryst". Sztuka ta osiągnęła w Poznaniu największy triumf, jakiego się można było spodziewać, odbijając się szerokiem echem w prasie zamiejscowej, stała się jedną z najwybitniejszych atrakcyj kulturalnych w Poznaniu.

Walnie przyczyniła się do całkowitego zwycięstwa kapitalna gra artystów z pp. Stomą, Szpakie-








Rząd środkowy: Jadwiga Dębicka, wyst. gośc. w Poznaniu; po praw.— dyr. Piotr Stermicz-Valcrociata; po lew.—Jan Cynka. Rząd górny: Ewa Bandrowska, Primadonna opery poznańskiej; po prawej—Irena Cywińska; po lewej—Jadwiga Fontanówna. Rząd dolny: Zofja Fedyczkowska, Aleksandra Szafrańska, Ada Lenczewska.

wiczem, Chmielewskim na czele, oraz głęboko wnikająca w myśl autora, wyrażającego swą gorącą wdzięczność teatrowi Poznańskiemu — doskonała reżyserja p. Bolesława Szczurkiewicza. „Antychryst", grany stale z wybitnem powodzeniem, ma zapewniony długotrwały sukces na scenie teatru „Polskiego".

„Chimery" Chiarellego, wyreżyserowane przez p. Noskowskiego; przygotowywana pod subtelnem kierownictwem p. Mieczysława Szpakiewicza niepospolicie piękna sztuka młodego autora Emila Zegadłowicza „Lampka Oliwna", oraz pełna wytwornej ironji i dowcipu komedja Julesa Romains'a „Dr. Knock", czyli „Triumf medycyny", zamkną oficjalny sezon teatru „Polskiego".

Teatr ten, idący własnemi drogami, wolny od naśladownictwa, dążący wytrwale i uparcie ku wyżynom artystycznym, dzięki doborowemu zespołowi, kierownictwu, oraz coraz wyższemu poziomowi repertuarowemu, osiąga stale wzrastające powodzenie tak pod względem artystycznym, jako też, co w obecnych warunkach jest prawie paradoksem, kasowym. Objaśnia się to przywiązaniem społeczeństwa wielkopolskiego do tej zrośniętej z jego kulturalnem życiem placówki.

S. R.

OPERA POZNAŃSKA.

W sierpniu 1924 roku upłynęło pierwsze pięciolecie polskiego zarządu w poznańskiej operze; dnia 17-go sierpnia 1919 r. odbyło się bowiem w teatrze Wielkim ostatnie przedstawienie niemieckie, a nazajutrz już Polacy objęli w niepodzielne posiadanie cały budynek teatralny wraz z dekoracjami, kostjumami i bibljoteką. Twierdza hakatyzmu, której celem było szerzenie niemczyzny, nie ostała się przed siłą dziejowych przeznaczeń— załoga jej musiała skapitulować przed faktem dokonanym polskiego zwycięstwa. Zespół operowy, zorganizowany z sił polskich, zupełnie nowych, opanował tak szybko sytuację, iż już 31-go sierpnia mogło nastąpić otwarcie polskiego sezonu operowego „Halką" Moniuszki.

Praca w początku była nader uciążliwa, bo każda wystawiana opera była premjerą. W składzie orkiestry pozostało kilka sił niemieckich dawnego zespołu, reszta zaś skompletowana została z sił polskich miejscowych, oraz przybyłych z innych dzielnic Polski i z zagranicy. Śpiewaków solistów dostarczyła Warszawa i częściowo Lwów.

Na czele opery, przyjętej do zarządu miejskiego, stanęli pp. Adam Dołżycki i dr. Tadeusz Wierzbicki. Reżyserem głównym mianowano p. G. Górskiego.

W sezonie pierwszym 1919-20 przygotowano i wystawiono 9 oper: Halkę, Toskę, Straszny Dwór, Werthera, Madame Butterfly, Fausta, Damę Pikową, Pajace i Verbum nobile. W sezonie następnym 1920-21 ustąpił p. dr. T. Wierzbicki, a kierownictwo objął p. A. Dołżycki. Reżyserem głównym został p. St. Tarnawski. Wystawiono również 9 nowych oper, a mianowicie: Starą baśń, Cyganerję, Aidę, Rigoletto, Violettę, Rycerskość wieśniaczą, Eugenjusza Onegina, Cyrulika Sewilskiego i Bal maskowy.

W sezonie trzecim 1921-22 p. A. Dołżycki usunął się z zajmowanego stanowiska, które z ramienia Deputacji Teatralnej na czas przejściowy od marca 1922 r. objął p. Henryk Opieński. Repertuarowi przybyły nowości: Niziny, Sprzedana narzeczona, Trubadur, Mignon, Widma, Walkirja, Lakme i Carmen.

W sezonie czwartym 1922-23 objął dyrekcję opery i prowadzi do dziś p. Piotr Stermicz-Valcrociata. Wystawiono znowu 9 oper: Konrada Wallenroda, Żydówkę, Jasia i Małgosię, Uprowadzenie z Seraju, Zemstę Nietoperza, Opowieści Hoffmana, Marję, Lohengrina i Piękną Helenę.

Sezon piąty 1923-24 wykazał jeszcze bardziej wzmożoną działalność, uwydatniającą się w wystawieniu jedenastu oper: Zamarłe oczy, Fra-Diavolo, Hugonoci, Bojomir i Wanda, Blanchefleur, Demon, Tannhäuser, Dzwony z Corneville, Baron cygański, Boccaccio i Madame Pompadour.

Tegoroczny sezon teatralny rozpoczął się pod znakiem wielkiego kryzysu operowego w całej Polsce. Z czterech oper, jakie posiadamy w kraju, warszawska i wileńska były rozwiązane, lwowska z niepewnością i troską na nowy sezon patrzyła, jedynie opera poznańska z całą intensywnością i zapałem przystąpiła do pracy pod wodzą niestrudzonego dyrektora p. P. Stermicz-Valcrociaty.

Dwa świetne ubiegłe sezony, zarówno pod względem artystycznym jak i budżetowym, wyrobiły operze poznańskiej niezmiernie pochlebną opinję i wielkie uznanie zarówno w samym Poznaniu, jak w całym kraju, a nawet za granicą. Na podstawie osiągniętych sukcesów, ze świadomością swego doniosłego kulturalnego znaczenia i z głęboką wiarą w dalszą sympatję i poparcie społeczeństwa, witano nowy rok pracy. Wiara ta nie zawiodła. Poza artystycznym kierunkiem, który nadaje operze styl oraz zakreśla ramy działalności, dużą rolę odgrywa umiejętna i sprężysta administracja, pozostająca w niezawodnych rękach radcy miejskiego p. Jana Cynki, który z całem umiłowaniem i zupełnie bezinteresownie poświęca się sprawom teatralnym, umiejąc połączyć dulce z utile. Pełen niespożytej energji i poświęcenia, inteligentny i niezwykle utalentowany, jako decernent teatrów, p. Cynka potrafił sobie zdobyć zasłużone uznanie, i tylko dzięki jego zabiegom opera poznańska prosperuje tak sprawnie, wykazując niemal najlepszą frekwencję w Polsce. Sezon, rozpoczęty dnia 11 września operą St. Moniuszki „Straszny Dwór", rozwinął się w całej pełni pod kierunkiem niestrudzonego dyrektora, p. Stermicz-Valcrociaty, przy pomocy tak utalentowanych reżyserów, jak



Rząd środkowy od góry do dołu: Józef Woliński, pierwszy tenor liryczny opery poznańskiej; St. Tarnawski, główny reżyser opery; Kaz. Czarnecki, tenor.
Rząd lewy: Józef Stępniowski, tenor; Aleksander Karpacki, baryton, Stanisław Jarecki i Karol Urbanowicz.
Rząd prawy; Jan Romejko, baryton; Gabryel Górski, reżyser; Arnoldo Georgewsky i Stefan Romanowski, baryton.

pp. Tarnawski, Górski i Stępniowski, oraz kapelmistrzów, pp.: Wojciechowskiego, Tyllji, Eichstaedta, dając świetne rezultaty. Dbałość o twórczość rodzimą, znamionująca operę poznańską w okresie ubiegłych dwóch lat, zaznaczyła się odrazu na początku sezonu wystawieniem nowej zupełnie opery F. Nowowiejskiego — „Legenda Bałtyku". Libretto opery zaczerpnięte zostało z podania o zatopionym w falach Bałtyku grodzie Winecie, muzyka zaś osnuta na motywach słowiańskich, pięknie skomponowanych i wzbogaconych bujną inwencją. Premjera, którą na prośby kompozytora przygotował i poprowadził z wielkim pietyzmem sam dyr. Stermicz, ściągnęła do Poznania muzyków i melomanów ze wszystkich dzielnic Polski i wywołała wielki rozgłos nie tylko swemi walorami muzycznemi, lecz i dzięki świetnemu wykonaniu, oraz przepięknej, bogatej wystawie pomysłu niezmiernie utalentowanego artysty-malarza St. Jarockiego. Akt pierwszy, przedstawiający brzeg morski z jego ruchomemi, wzburzonemi falami i drugi, z zatopionym na dnie morza pałacem księżniczki Juraty, można zaliczyć do wyjątkowo pięknych zjawisk na scenie. Z okazji wystawienia „Legendy Bałtyku" należy wyrazić głęboki hołd i uznanie dyrekcji opery poznańskiej za jej troskę o rozwój twórczości naszej, jest to bowiem trzecia nowa opera polska, która w ciągu dwóch lat w murach poznańskiego teatru Wielkiego odbyła swój chrzest artystyczny (Konrad Wallenrod Żeleńskiego i Marja Opieńskiego).

Poza całym szeregiem wznowień, wnoszących urozmaicenia do repertuaru, dano w tym sezonie kilkanaście premjer, jak: Manon Masseneta, Orfeusza w Piekle Offenbacha, Otello Verdiego, Krakowiacy i Górale J. N. Kamińskiego, Wesołe Kumoszki z Windsoru O. Nicolaiego, Goplana Żeleńskiego i Holender Tułacz R. Wagnera. W przygotowaniu znajduje się „Wesele Figara" Mozarta i „Arjadna" Straussa. Wielką też zasługą dyrekcji jest ogromnie fachowy i z wielkiem znawstwem przeprowadzony dobór sił artystycznych, dzięki czemu opera poznańska może współzawodniczyć z pierwszemi scenami Europy; wysoce zaś artystyczny kierunek dyr. Stermicza oraz umiejętny i celowy układ repertuaru wydaje tak owocne plony.

Wymieńmy zatem wszystkich tych, którzy bądźto talentami, bądź też niestrudzoną pracą przyczyniają się do tak poważnych rezultatów. Dział sopranowy reprezentowany jest licznie przez panie: uroczą Bandrowską, Cywińską, Dobrowolską-Pawłowską, Fontanównę, Fedyczkowską, Marynowicz, Wołchowskką-Jefomcewą, mezo-sopranowy zaś przez pp.: Lenczewską i Szafrańską. Doskonałych przedstawicieli partyj tenorowych posiada teatr w osobach pp.: Czarneckiego, Stępniowskiego i Wolińskiego. Repertuar barytonowy spoczywa w rękach pp.: Górskiego, Karpackiego, Romejki i Romanowskiego, basowy zaś pp.: Mossoczego, Tarnawskiego, Urbanowicza i Zawrockiego. Do stałego personelu artystycznego należą wykonawcy ról drugoplanowych w osobach pp.: Karskiej, Kloftówny, Majchrzakówny, Małówny, Nochowiczówny, Folańskiego, Gruszczyńskiego, Klichowskiego, Krawczyka, Mierzyńskiego, Ostoji, Warchalewskiego i Wawrzynieckiego. Zespół baletowy reprezentuje 18 osób, na których czele stoi baletmistrz Statkiewicz i reżyser Skrzypkowski, oraz dwie pierwsze tancerki, pp.: Grabowska i Jedyńska. Orkiestra, złożona z 57 osób, posiada w swoim zespole pierwszorzędnych koncertmistrzów, jak Szulc, Pawlak, Sprzyszewski. Chór, pod kierunkiem A. Dworzaczka, składa się z 42 osób. Skomplikowanym aparatem sekretarjatu kieruje p. Polak. Z ważniejszych wydarzeń sezonu zanotować należy gościnę małżonki dyr. Stermicza, p. Jadwigi Dębickiej, która z sukcesem wystąpiła w Uprowadzeniu z Seraju, Violecie, Rigolecie, Cyganerji i Pajacach, dając skończone kreacje, tak pod względem wokalnym, jak też i aktorskim; następnie gościnę Battistini'ego, Didura, występy śpiewaczki japońskiej p. Teiko-Kiwa w niezrównanej partji tytułowej w Pucciniowskiej operze „Madame Butterfly", oraz bawiącego obecnie Beliny-Skupniewskiego.

Na zakończenie należy dodać, że Rada Miejska w pełnem poczuciu odpowiedzialności moralnej i obywatelskiej, oraz najszczerszej chęci służenia dobrej sprawie, wierząc, że teatr jest jednem z najistotniejszych źródeł kultury narodowej, gorąco popiera usiłowania i poczynania wyłonionej z pośród siebie Deputacji Teatralnej, na której czele stoi niestrudzony ich prezes — wiceprezydent miasta dr. Mikołaj Kiedacz.

Powyższy pobieżny rzut oka na działalność opery poznańskiej każe wyrazić nam hołd i wdzięczność drużynie artystycznej i Deputacji Teatralnej przy Magistracie m. Poznania za dotychczasowe trudy, oraz szczere życzenia dalszej pracy równie owocnej, pięknej, zaszczytnej i pełnej zapału dla rodzimej sztuki.

W. T.

Znaczek

DO KOMITETU ANKIETOWEGO

złożonego z rzeczoznawców i przedstawicieli zainteresowanych czasopism zawodowych.

WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 72,
Amerykańsko - Polska Izba Handlowo - Przemysłowa w Polsce.

Tu załamać

ANKIETA W SPRAWIE USPRAWNIENIA GOSPODARSTWA NARODOWEGO

Solidaryzując się z dążeniem w kierunku skoordynowania utworzonych już w Polsce placówek „Naukowego Kierownictwa" i rozbudowania ich, zwłaszcza obecnie tworzonego „Instytutu Organizacji Pracy" w jedną wspólną instytucję naukową, na wzór „Masarykowej Akademji Pracy w Czechach", przesyłam: (na odwrotnej stronie — w osobnej korespondencji).

A) Odnośnie ideologji przedstawionej w pracy Dr. T. Dzieduszyckiego p. t: „U podstaw usprawnienia pracy i państwowości naszej" następujące: zastrzeżenia: uwagi: wnioski:

B) W szczególności:

a) za główne braki organizacyjne w naszem życiu społecznem uważam: 1) w dziedzinie przemysłu: 2) w dziedzinie rolnictwa: 3) w dziedzinie handlu: 4) w dziedzinie administracji państwowej: 5) w dziedzinie ogólnej organizacji życia społecznego:

b) za najważniejsze środki: wiodące do szybkiej i trwałej sanacji w poszczególnych dziedzinach uważam:

c) specjalnie odnośnie zastosowania u nas wzorów organizacyjnych amerykańskich, w poszczególnych dziedzinach widzę następujące: zalety: wady: trudności:

UWAGA: Zbyteczne proszę wykreślić, a odpowiadając na odwrotnej stronie, lub raczej w osobnej korespondencji na powyższe punkty, proszę podać ich odnośne cyfry porządkowe. W razie użycia niniejszej kartki papieru prosimy o pisanie ołówkiem atramentowym.

Imię i nazwisko, Zawód i stanowisko, Adres, Data.

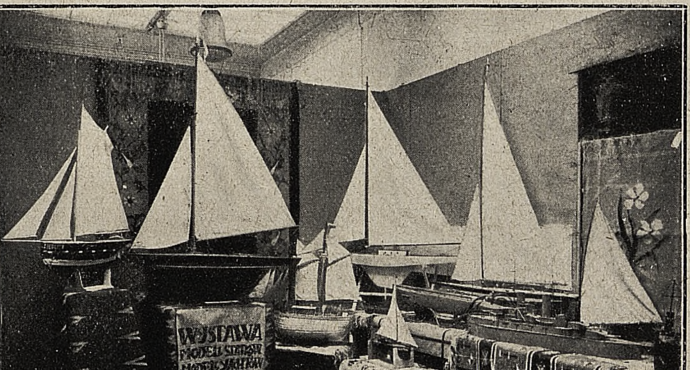
Tu załamać



Z G I N I E M Y   B E Z   M O R Z A!

Oto hasło, pod którem Liga Żeglugi Morskiej i Rzecznej organizuje konkursy na budowę modeli jachtów i okrętów, wystawiając nagrodzone na pokaz publiczny w gościnnym Salonie Księgarni M. Arcta w Warszawie, Nowy-Świat 35. Są tam wszystkie prawie typy—od żaglowca do łodzi podwodnej, doskonale wykonane przez chłopców od 11 do 18 lat wieku. Rozdanie nagród odbyło się 27-go marca i było niezwykłą uroczystością, bowiem wręczył je zachwyconej młodzieży sam pan Prezydent Rzeczypospolitej. A nagrody to nie bylejakie: były i komplety narzędzi do budowy łódek, i aparat radjo i wspaniałe książki. Najwyższy Dostojnik Rzeczypospolitej daje już po raz drugi (pierwszy raz księgarnia Arcta była terenem podobnej uroczystości w roku ubiegłym) młodzieży taką zachętę do żeglarstwa, i wskazuje społeczeństwu na doniosłość spraw morskich dla Polski.





Za kulisami Ekranu

Adama Fr. Augustynowicza

(ciąg dalszy)

REKLAMA.

Kampanje reklamowe, które wykonywają kinematografiści, noszą pewne charakterystyczne cechy, nad któremi musimy się bliżej zastanowić, ponieważ rzucają one snop światła na psychologję ludzi filmu. Oczywiście, to, co poniżej poruszamy, odnosi się do kinematografistów w całem znaczeniu tego słowa; tych zaś jest stosunkowo bardzo niewielu z całej masy pracujących na tem polu.

Reklama filmów, której najpiękniejsze przykłady znajdziemy oczywiście w klasycznym kraju kina i reklamy — w Ameryce — jest przedziwna.

Naprzykład „Ben Hur".

Z ogromnym nakładem kapitału, energji i talentów rozpoczynają Amerykanie to potężne dzieło. Wszystkiemi stojącemi do dyspozycji środkami poruszają od pierwszego momentu narodzin koncepcji — szerokie fale famy. A kiedy jak kamień rzucony w wodę, rozgłos wzburzył coraz to nowemi kręgami umysły filmowych byznesmenów, wzmacniają ich pożądanie tysiącami opisów, fotografij, plotek, targów o kupno, zainscenizowanych i faktycznych, i dochodzą do tego, że najwięksi potentaci pieniądza kinowego, rzeczywiście usilnie zabiegają o nabycie obrazu.

A tymczasem film z braku kapitału musi być przerwany... I to nawet wykorzystują. Czynią z tego nowy atut reklamowy.

Albowiem między wytwórcą a handlarzem, względnie bezpośrednio posiadaczem teatru wre zacięta walka. Walka ta jest zrozumiała. I jest jasne również, że zwycięzcą będzie w niej w większości wypadków organizacja wytwarzająca.

Jeżeli wytwórca dokłada największych wysiłków, zmierzających do podniesienia jakości obrazu, to tem niemniej używa wszystkich środków, ażeby przyszłą cenę obrazu również mieć jak najwyższą. Kupujący pragnie zaś zapłacić jak najmniej.

Dlatego reklama wstępna w czasie tworzenia jest tak potężna.

Zmuszeni jesteśmy przy tej sposobności odbiec od tematu i wyjaśnić, dlaczego to właśnie ludzie kina robią reklamę najlepiej. Aczkolwiek zdanie nasze jest subjektywne, tem niemniej jednak postaramy się je uzasadnić.



Scena zdjęta z natury w jednem z atelier filmowem w Los Angeles (Kalifornja).

Reklama, jak i film, jest sztuką, która zasadza się na wydobywaniu z ludzkiego mózgu największych ilości inwencyj i coraz to nowych, błyskotliwych pomysłów, które zawsze powinny być gorąco przyjmowane przez środowisko, z którego muszą wyciągnąć odpowiedni rezultat praktyczny. Ta właśnie analogja sprawia, że utalentowani twórcy reklamy są spokrewnieni duchowo z „ludzkością" tworzącą obrazy filmowe.

I naodwrót. Bardzo wielu reklamowców za granicą rekrutuje się z przemysłu filmowego.

„LUDZKOŚĆ KINEMATOGRAFU".

Wogóle należy zauważyć, że ci wszyscy, którzy z tworzeniem filmów są spoufaleni, stanowią odrębną warstwę lu-



Słynny czworonożny bohater filmowy Rintintin (po lewej) i córka jego „Ninette" (po prawej stronie)—w objęciach reżysera Lee Duncan'a.

Tłumy zapalonych mózgów i gorących serc rzuca się w objęcia „Filmony". A ta „Muza dziesiąta" troskliwie przebiera w swoich adeptach i wielu z nich bezlitośnie niszczy. Nie wytrzymują bowiem próby ognia.

Podobne zjawiska zachodzą w teatrze. Nieporównanie jednak słabsze. Tam ciągną i porywają ramiona li tylko Sztuki. Tu zaś Sztuka chodzi częstokroć w płaszczu ze złota i władzy. Zatem dwie potężne. żywiołowe namiętności, Władzy i Złotego Cielca wespół z nową czystą Sztuką tworzą wspólnie magnes „Dziesiątej Muzy".

Rzecz prosta, że niewielu będzie Griffithów.

A reszta?...

Miota się w gorączce pożądania. Przepala siły w drodze do Sezamu. Z wąziutkiej ścieżyny nad przepaścią wali się w błoto i bryzga niem na innych, dążących w górę. Zarzuca sieci. Ściąga do siebie. I tańczy zawrotne pląsy na-poły obłąkańców, od czasu do czasu błyskając genjuszem.

Tych kilku zaś, którzy wytrzymali piekielny trening i mimo wszystko, po wielu latach szalonej pracy, jednakże dochodzą do celu — staje właśnie w momencie rzekomego zwycięstwa przed problematem zasadniczym: Oto film i jego sprawy są nieogarnione. Oto teraz dopiero ujrzeli pierwsze promyki prawdy... Wtedy powstają arcydzieła.

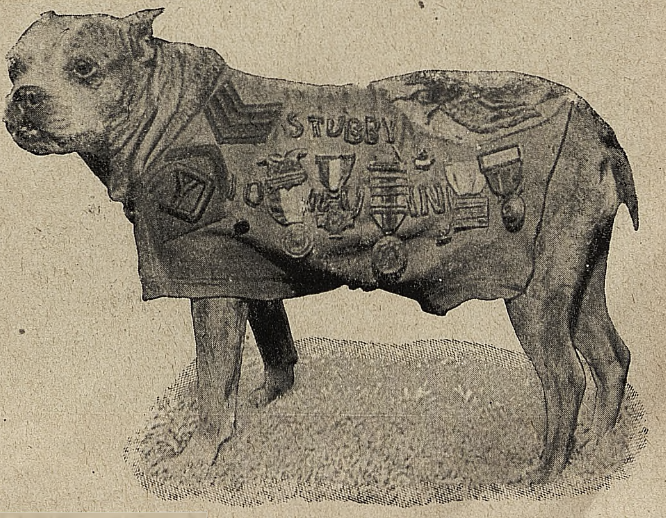
Jakże inaczej widzą oni wszystkie sprawy. Zblakły w żarze walki poprzednie cele. Zmalały codzienne, krwawe utarczki. Przewartościowały się wartości. A ideał wciąż daleko. Tem niemniej pójdą doń. (d. c. n.).

dzi, mającą inne wartości aniżeli ogół zjadaczy codziennego chleba.

Impulsywność, inwencja artystyczna, chwytliwy mózg, który reaguje na każdą nową ideę, umiłowanie swojego fachu i niezmiernie szybkie, wrące tętno życia, tysiące coraz to nowych pomysłów przy sprycie kupieckim, energji i uporze w działaniu — oto cechy człowieka filmu. Rzecz prosta, że tacy ludzie jako ci, którzy wystawiają głowę ponad poziom, są do czasu zdobycia przez nich większych walorów materjalnych, usilnie zwalczani przez ogół. Szara bowiem ciżba ludzka przeczuwa zawsze, instynktem stada, element, z którego tryska żądza władzy. I zwalcza go wszystkiemi środkami. Stąd w kinematografji najwięcej ludzi wykolejonych. Bardzo wielu bowiem nie wytrzymuje uderzeń i za cenę spokoju rezygnuje z mozolnej drogi pod górę. Ale niektórzy dochodzą po wielu latach ciężkich, oblanych potem, trudów. I ci z natury rzeczy przystępują do najpoważniejszych zagadnień, tworzących życie. Film bowiem i jego sprawy są najlepszą szkołą, dającą odpowiedź na pytanie: „co znaczy żyć?" Dlatego właśnie w kraju, gdzie życie tak intensywnym strumieniem rozlewa się szeroko — w Ameryce — film zajął dziś już miejsce naczelne w łańcuchu wszechludzkich problematów.

Jednakże wielcy otaczają się małymi. Dlatego ci, o których mówimy, stanowią niewielki odsetek w setkach tysięcy kinematografistów.

I jest to dość charakterystyczne. Aczkolwiek czasami drga w tem ton tragiczny.



„Stubby z orderami". Czworonożny weteran wielkiej wojny.

Wśród polskich gwiazd

Kazimiera Skalska zdradza nam swe ukryte myśli o Filmie i Sztuce, a czyni to tak mile, że urokowi Jej słów trudno się oprzeć.

Pani Skalska mówi nam o swem uwielbieniu ruchu. Natomiast Helena Makowska, gwiazda pierwszej wielkości, pokazuje nam piękno ruchu ciała kobiecego, zaczarowanego w cichą pozę, w spokojny kształt.



Helena Makowska.

Pyta mnie Pan, Redaktorze, co mnie tak wszechwładnie ciągnie do filmu?

I prosi Pan, żeby moja odpowiedź popłynęła z głębin człowieczej świadomości, z tych — o których tak trudno coś rzec?

Myślę właśnie nad słowami Pana... Jeszcze kołacze mi w mózgu Pana powiedzenie, „że ludzie Sztuki mają poprostu obowiązek dzielić się tem, co jest w nich, — z widzem".

Ale....

Pan chyba wie, jak to ciężko poruszać ukryte, najtajniejsze sprężyny. — Jednak życzeniu Pana staje się zadość.

Od czasu mego wstąpienia do teatru — wstęga filmowa nie przestawała ciągnąć mnie z nieprzemożoną siłą. To był „pociąg" nie do opanowania. Kiedy stwierdziłam jego nieodpartość, poddałam się i poczęłam szukać „dlaczego"?

Czas mijał, aż wreszcie sformułowałam sobie odpowiedź.

Namiętnie wielbię ruch. Porywają mnie sporty. Widzę w nich zgęszczenie życia. A właśnie kino ma to do siebie, że pozwala aktorce pójść za głosem od wewnątrz nieporównanie dalej, aniżeli w teatrze.

A może najważniejsze było co innego?

Może oblicza ludzi, wychodzących z kina, co prawie zawsze kryją w oczach okruchy radości życia i jego uśmiechu, zabrane ze srebrnego ekranu?

Może chęć — żeby i ze mnie czerpali to samo?

Bo przecież my, wprzęgnięci w rydwany burz nie należymy do siebie. Pragniemy dać tym, dla których żyjemy, to jest sztuce i widzom—wszystko!

Stąd poszukiwanie drogi coraz lepszej.

Dziś i oddawna — dla siebie nie widzę lepszej.

Teatr kocham. Kino ubóstwiam i chcę dlań żyć.

Tylko... i tu, jak na skargę zwierają mi się wargi.

Dlaczego ta „polska Filmona" jest tak ubożuchna?

Dlaczego dotąd ani jeden wielki, poważny kapitał nie zainteresował się serjo tym najpoważniejszym z przemysłów i najpoważniejszą ze sztuk?

Niech mi Pan to powie, Redaktorze!

Kazimiera Skalska.





Pani Kazimiera Skalska, artystka Teatru Polskiego, próbuje swoich sił w dziedzinie filmu i rokuje najpiękniejsze rezultaty. Jej warunki zewnętrzne i talent aktorski mogą ją postawić w krótkim czasie w rzędzie gwiazd pierwszej wielkości.



Pani Helena Makowska, gwiazda filmowa, nasza rodaczka, słynna ze swych obrazów filmowych we Włoszech i Niemczech, bawi obecnie w kraju, zajmując się organizacją miasta filmowego w Polsce. Uważa bowiem, że Polska posiada nieprzebrane skarby talentów, dotąd leżące odłogiem.

Prorok z Puszczy

Z filmopisu człowieka nieznanego

M. H. Szpyrkówna

Młody wynalazca i poeta Marek Odrowąż musi zejść ze swego czwartaka do środowiska zwykłych ludzi, aby zarabiać na życie. Szukając posady pod jednym z adresów w ponurej budowli już niemal za miastem, słyszy rozpaczliwy krzyk kobiecy: — Na pomoc! — Obalając kogoś po drodze, wysadza zamknięte drzwi i trafia na dziką scenę. Dwóch mężczyzn morduje wytwornie ubraną piękną kobietę. Bohaterski prowincjał wspaniałym boksem zwycięża złoczyńców — i wówczas wyświetla się, że trafił na próbę zdjęcia kinematograficznego z życia apaszów. Niefortunny zbawca wśród ogólnego śmiechu a częściowo — złorzeczeń, zostaje jednak gorąco wzięty w obronę przez uroczą primadonnę i obejmuje w wytwórni filmów nikłą narazie posadę mechanika. Naturalnie, zakochuje się powoli, ale pewnie w pięknej miss Lianie, ale przy pierwszej próbie potraktowania go „mechanicznie" przez divę staje dęba. Zastajemy go na zapoznawaniu się z przedziwnem dlań życiem filmu i walce z własną miłością w imię ambicji.

— I pamięta że, gwiazdom się zdarza przygodnie oświecać zarówno dyrektorów, jak mechaników i dekoracje. Są tak wysoko, że czasem to słabo rozróżniają. Nie trzeba więc takich rzeczy brać zbyt poważnie. Au revoir, cher prince! Idę.

Gdy już zmierzchła w powietrzu nawet smuga perfum po jej odejściu, mechanik wciąż jeszcze stał pod ścianą z wpółprzymkniętemi oczami, w głowie miał męczący i słodki wir. Usiłował rozważyć, czy w swej całości rozmowa ta była nawiązaniem czy zerwaniem? Zalotnością czy kopnięciem? Pieszczotą czy obelgą? Nie dotarł jednak rozwiązania — wiedział tylko na pewno, że, unikając całym rozsądkiem spotkania, pragnął całem jestestwem, aby przyszła znów.

Fantastyczna, niewiarogodna zjawiskowość świata kino-twórczego zachwycała Marka w sposób szczególny. Był jakgdyby świadkiem nieustannie odbywającej się sztuki mimicznej. Pracował zwykle zbyt daleko w paszczy olbrzymiej hali, aby słyszeć; widzieć jednak nie przeszkadzało mu nic, zwłaszcza, że z natury swych niezbyt określonych,

ale elektrycznie-technicznych zajęć znajdował się zwykle bliżej sufitu niż ziemi. Wolnemi chwilami siadał więc na drabince, stosie desek, zwalonych pakach lub innej wyniosłości dekoracyjnej i z rozkoszą a podziwem przyglądał się życiu filmowego atelier.

W trakcie tych zapatrzeń tracił niemal zupełnie poczucie realności. Jak w kataleptycznej hipnozie patrzył na wyświetlane daleko w perspektywie częściowo ciemnej hali jaskrawe fragmenty scen, z których widział tylko ruchy. Były tam jakieś błagalne gesty, patetyczne pozy, gwałtowne rzuty i skoki, słodkie omdlenia. Fragmenty wypielęgnowanych w dosycie, perfumach i masażu ciał kobiecych po aktorsku umiejętnie przeginały się w objęciach czarnych fraków, we wspaniałych apartamentach — z prawdziwego kartonu i podmalowanych płócien. Były to jakgdyby kawałki kukiełkowego, umyślnego życia, rozgrywane w załamaniach dekoratywnych ścian. Rozważał z podziwem przemądrą sztukę—raczejby: sztuczydło— techniki wyzyskania rzeczy, ludzi i efektów tak, aby kosztem najtańszym osiągnąć wrażenia najbardziej skomplikowane. Wydajność ta polegała głównie na złudzeniu. Amfilady wielkoksiążęce, konstruowane z kilku odpowiednio załamujących światło luster; kłamana odwrotność ruchów lub ich równie niewiarogodne tempo, zwarjowane lub powolne; sprytne pomniejszenia i wyolbrzymienia perspektywiczne — a wszystko jedynie obliczone z matematyczną dokładnością na mylną percepcję widza, do pewnych praw fizycznych przywiązaną. Demon filmu, skombinowany z genjalnej techniki i genjalnego oszustwa, (on, mechanik, obok reżysera był nienajpośledniejszym z jego sług) — zlepiał z tych luźnych sztuk i sztuczek olśniewające kule efektu i rzucał niemi w tłum — a tłum wył, rozszarpywał bilety—i zapominał widziane nazajutrz.

Czasem jednak z konieczności musiał na swych zgrzytających żelaznemi szczękami blokach wjeżdżać bliżej „nagrywanego" terytorjum — i wówczas daleka scena mimiczna zmieniała się znagła w ogłuszający jarmark. Warczenie motorów, syk i gorąco świateł, złoty niepokój reflektorów, jakgdyby oślepłych od własnego blasku, szukających omackiem oznaczonych miejsc, wiżdżenie lamp na żelazie, przez niego samego przesuwanem stosownie do zapotrzebowań, krzyki, głosy, patetyczne fragmenty lub też gwałtowne, jak krótkie spięcia, kłótnie zespołu. Rzucano się do siebie, duszono, złorzeczono lub całowano, scenicznie i prywatnie, przed aparatem lub za dekoracją, i trudno było nadspodziewanie odróżnić kawałki życia i kawałki sztuk. Był to jakgdyby surowy amalgamat rzeczy, ludzi, uczuć, dekoracyj i spraw, rzucony naprędce do kotła, w którym się gotuje zakulisowy film...

W tej powszechnej sztuczności Marek bystro lecz z trudem, jak sokół-taternik w nocy, szukał trafnej ścieżki do rozwiązania jednego nęcącego już odrazu problematu. Było to pytanie dziecinnie natarczywe a po męsku ważkie. Jaką jest ta nad wyraz kinoteatralna Liana? Ta Kino-Liana, która oplotła go u wstępu w ów nowy świat?

Śledził ją zdaleka, ze swych drabinek i bloków w ciemnych podcieniach, nieufnie i buntowniczo, unikając spotkań. Widywał dziecinnie roześmianą wbiegającą z mrozu — kusząco grzeszną w jakichś rozebranych wieczorowych dżetach i piórach — angielską w nagrywanych hrabinach — kapryśną i tupiącą krokodylemi pantofelkami w przerwach, podczas kłótni reżysersko-koleżeńskich. Przekonał się już nieraz, że miała w tem środowisku wpływ decydujący i jakgdyby dwoisty. Wyglądało, że waży nietylko ona, jako prima-gwiazda, ale jeszcze coś poza nią — istotne jakieś choć niewidzialne coś. Gdy ją witano wchodzącą, chwytał spojrzenia ukradkowe, wędrujące błyskawicznie jakby jeszcze poza nią — jakgdyby w jakąś im widoczną aureolę. Myślał z krótkiem ściśnieniem serca, że oto tak chodzić zwykła sława — człowiek, i poza nim jeszcze jego nimb, jak białe słońce nad głową primadonny. Liana miała ten nimb władzy — była kapryśna, despotyczna, i urocza, jak kosztowne dziecko, terroryzujące otoczenie.

Czyżby jednak miewała i chwile sentymentu?

Raz dojrzał ją ubraną w białe, spadające z ramion futro z pękiem fiołków przy dekolcie—stała wprost niego, oparta trochę o ścianę jakby w zmęczeniu. Rozmawiała podnosząc oczy na kogoś widocznie przed nią, a kto był od niej dużo wyższy; ale Marek go nie mógł widzieć poza dekoracją. Tęsknota tych wielkich, marzących oczu ukąsiła go nagle w serce, jak wąż. Na kogo patrzyła w ten sposób? Podała komuś rękę do pocałowania — podniosła ją jeszcze w górę na pożegnanie i poszła ku drzwiom. I oto nagle, już od drzwi odwróciła się i odpiąwszy fiołki od gorsu, ślicznym, miękkim ruchem wionęła niemi ku temu niewidzialnemu komuś. Ręka męska o spince, która mignęła iskrą kamienia w mankiecie, chwyciła je w locie. Te fiołki!... Marek zmełł w zębach dwa brzydkie przekleństwa — jedno do osła, któremu były rzucone, drugie — sobie, Markowi Odrowążowi, mechanikowi w niebieskiej (już naddartej) bluzie. Co — u djabła!... — mogły go obchodzić fiołki, miłoście, aktorki! Był tu poto, aby zarabiać na swój czwartak i swoje bazgroty niedrukowańca—wierszoroba i wynalazcy... prochu. Właśnie biedził się z cyrklami, wagami i pomiarami nad możliwością dźwigania ciężarów przez odpychanie się odpowiednich elektryczności. Zaczynał swe wywody zdaleka, bo aż od zmniejszania się wagi pławionych czarownic i świętych w ekstazie — a także epileptyków — a kończył jeszcze dużo dalej, bo na budownictwie Atlantów, u których tysiącpudowe głazy fruwały jak płoche motylki w powietrzu i budowały gigantyczne gmachy na niedostępnych dzisiejszej architekturze zasadach. Gdyby mu się udało!... Marzył zcicha, że naówczas tym łatwym sposobem wybudują mu może wdzięczni rodacy dwa pokoje z kuchnią i łazienką na dożywocie. Sława, nakształt świetlnej reklamy amerykańskiej, zamieszkałaby na dachu. Niemcy-by zaraz zaproponowali to jakoś wziąć w pacht, Amerykanie przez ambicję wymyśliliby natychmiast coś jeszcze doskonalszego — on, Marek, stałby się wielkim kimś, pionierem techniki nad-jutrzejszej, prawie Marsjańczykiem — — I gdzież tu jakieś fiołki, aktorki, mankiety — —! Problematy!... — —

I oto czas jakiś był niezmiernie obronny. Postanowił nie widzieć białego futra, nie czuć perfum, nie pamiętać przedziwnego kształtu obnażonych,

nieco pochyłych ramion w puchatem obrzeżeniu coraz to innych zwierząt. Wlazł cały w zgrzyty, bloki, smary i lampy. Jednego nie mógł tylko w sobie zmóc: szukał zazdrośnie, wbrew sobie, wśród rozmawiających, asystujących i flirtujących z Lianą mężczyzn „tamtego". Byłby go wsadził w lampę i upiekł; byłby go ścisnął między dwoma blokami żelaza, ażby wypluły miazgę. Głównie za to, że nie był mechanikiem w bluzie, tylko miał drogie spinki w mankiecie i był towarzysko równy Lianie. Raz widział jednego, który wpadł na chwilę podczas przerwy i odrazu rozstąpiono się przed nim jak przed możnymi świata. Był wysoki i doskonale ubrany; na chwilę zobaczył nieposzlakowany przedział głowy, gdy zdjąwszy cylinder, witał aktorki. Rozmawiał jednak głównie z dyrektorem, szybko, naprędce i wciąż odwrócony. Nagła złość i determinacja chwyciły mechanika. Wyszedł na kurytarz z tem, aby wszedłszy innemi drzwiami do sali, zajść go od przodu. Spóźnił się: cylinder właśnie śpiesznie wybiegał, nucąc. W przelocie mignęła wygimnastykowana w ruchach postać, poprawna twarz anglomańska i złote zęby; nie musiał już być najmłodszy. Liana stała z dyrektorem, który boleściwie rozkładał bezradne ramiona, i coś mu bezwzględnie przekładała. Otello w bluzie spoczął ponuro na stosie rupieci, gdzie siedział przedtem, czekając aż zażądają świateł. — Ten?... Czy nie ten?... Wzbierała w nim pogarda i złość. W te złote zęby?... fiołki?... Daćby pięścią z góry w taki cylinder, ażby stęchł!...

* * *

Windując i regulując reflektory, doszedł do jednego prostego przy tem zajęciu jak dzień Boży wniosku: że aktorka jest zawsze łamigłówką. Miss Liana była aktorką, miss Liana była więc także łamigłówką. Skoro tak, należało ją jednak — poprostu przez nieustępliwość, iście prowincjonalną — rozwiązać tak czy owak.

Była to jednak pieśń nad pieśniami dobra dla wielożennego i sławnie mądrego Salomona, zgoła przecież nie dla żółtodzioba — prymitywa z Kaczych Dołów. Trzeba było rozsegregować jakoś doskonałe podczernianie oczu od ich doskonałego szafiru, podobnego do jeziora w górach. Trzeba było osobno rozważyć dziecinną twarzyczkę — a niedziecięcą, świadomą swych wad i atutów jej mimikę. Śmiała się cudownie, ale w jakże skomplikowanych momentach? Umiała tupać, prześlicznie się złoszcząc, krokodylim pantofelkiem — ale wiedziało się, że złości się tylko „do twarzy". Wiele było szczerości a wiele — sztuki, w pełnych uroku zamyśleniach jej nieopowiedzianych oczu?... Jakże patrzyła wtedy, w górę i trochę ze smutkiem a trochę zalotnie — — oczyma, które same były jak fiołki! Och! Jeśli była kwiatem, to w każdym razie — umiejętnie skonstruowanym z papier-maché i wymalowanym „pod fiołek", a pokropionym najautentyczniejszym paryskim leśnym zapachem. W środku tego fiołka filmowego tkwiła sprytna maszynerja psychiczna, rozchylająca płatki kusząco, lub kryjąca je zalotnie pod listek. Jakże to powiedziała?... „Gwiazda jest tak wysoko, że czasem może nie odróżnić dyrektora od mechanika..." Psiakrew!

Na wspomnienie tego jedynego rendez-vous krew gniewu i obrazy biła na ciemną twarz mechanika, a jednocześnie w sercu ćmił tępy i słodki ból, jak kiedy uchodzi krew.

* * *

I oto nagle stało się. W garderobie gwiazdy zaszła jakaś katastrofa elektryczna i po Marka gwałtownie przysłano jako po kompetenta. Godzina była taka, kiedy Liana mogła przyjść — dotąd wie-

dział, że jej niema. Gwiżdżąc — prawdopodobnie na własne serce, które głupio się tłukło w nagle zlodowaciałej piersi — przykucnął przy ścianie z pękiem sznurów i żarówek, majstrując. Przyjdzie? Czy nie? Przyjdzie? Czy — nie?...

Stukot małych obcasków i perfumy rozwiane przez jakieś fruwające szczegóły płaszczowe przyszły przed nią. Słyszał jak w drodze już ktoś ją uprzedza o świetle, że komuś z niezadowoleniem odpowiada. W nikłem błyskaniu świeczki na podłodze o mało się nie potknęła o narzędzia, syknęła, rzuciła torebkę na fotel. Była zła. Marek wstał, zbierając dygoty wewnętrzne w jeden zakrzepły, niewidzący spokój. Ukłonił się wieszadłom typowym, pół-wypadkowym ukłonem, pół-służbowym — i nie wychodził. Aktorka już siedziała przed lustrem i zdejmowała kapelusz.

— No, więc? Czy jest już wreszcie to światło?

Nie oglądała się nawet mówiąc. Impertynencka niecierpliwość księżnej pani zmontowała mechanika. Odrazu poczuł się lepiej.

— Niema jeszcze. Ale przed chwilą dano znać.

— Ach, ale co to mię może obchodzić? Muszę się ubierać, moi drodzy! Proszę mi zaraz przynieść lampę z drugiej garderoby. Przecież nie będę tu sterczała przy świeczce!

— Oczywiście! Nie sądzę, abym przynosił lampy, ale przyślę i owszem dyrektora, aby miała pani komu wydawać rozkazy. A może odrazu i tego w cylindrze? Będzie przynajmniej słusznie mówić do nich: — Moi drodzy! Ja jestem tani — i sam — —

Głos Marka dygotał z białej, powolnej, od dna idącej wściekłości. Aktorka nagle, jak siedziała, obróciła się na kręconym fotelu z rękoma w półruchu przy włosach i nawet w mroku dawało się wyczuć niesłychane zdumienie jej postawy.

— Czy pan oszalał?—wymówiła bezgranicznie zdziwionym, lecz raczej zainteresowanym głosem. — Cylinder... dyrektor... Panie! Czy pan zdrów? Ach!...

Zerwała się jakby pod nagłem jasnowidzeniem i, chwyciwszy świecę, podniosła ją na poziom twarzy Marka. Przez chwilę ujrzał blisko bystre, z na-

tężoną uwagą patrzące oczy, na których dnie już zaczynały latać złote iskierki. Poczem postawiła świecę na stole i naprzód cicho, a potem coraz głośniej, wprost niepowstrzymanie, zaczęła się śmiać. Śmiała się, wtuliwszy twarz w wiszące na ścianie futro, ażeby stłumić głos, tak, że aż złote krótkie włosy drżały jej nad ślicznym karczkiem. Pakowała chusteczkę w usta i śmiała się jeszcze. Za ścianą budki chodzili ludzie — słychać było stąpanie robotników, suwanie rzeczy.

Marek tępo stał i patrzył na nią, jak, jeszcze drżąca uśmieszkami, ocierała oczy. Cała jego wściekłość nagle znikła. Pospolicie mówiąc, czuł się nad wyraz głupio. Ach! Bodaj to mieć do czynienia ze zwykłą, męską, logiczną logiką, która wiadomo kiedy się śmieje i wiadomo kiedy daje w tak zwany słusznie pysk.

— Powinnam się była odrazu domyśleć, że to— pan — mechaniku — gdzież to było? z Olkusza czy z pod Pabjanic?... Tylko tam jeszcze wyrzuceni maturzyści grywają Rinaldów Rinaldinich... tak pięknie. No niech mię pan zabije... obcęgami za obelgę — — jeśli obelgą jest, że ktoś może być drogi. — —

— Obelgą jest ton — nie słowa.

— Nie słowa — — dobrze — — mniejsza z tem, bo muszę się ubrać szybko — i proszę w tej chwili — w tej sekundzie! — zrobić coś, żeby było jasno! Rozumie pan, markizie d'Overalls? To nic, to takie spodnie robotnicze w Ameryce, ale mogłoby być i arystokratyczne nazwisko. — I żeby tu nikt nie wchodził — tylko pan sam — bo będę się ubierała. — — Rozumie pan? Naturalnie, że nie, takie dzikie oczyska.—Ach, no nareszcie! I szybko wracać. — Potem pan skończy się obrażać — wyświetlimy elektrycznie tę sprawę.—Cylinder?... Skąd... Nie, takie cudowne coś!...

Kiedy wrócił, było tam kilka pań, a potem nie mógł już jej widzieć. Jednak zdziałał coś: rozglądała się, wychodząc — wiedział, że za nim. Czuł dziką radość i ponurą pogardę naprzemian.

Spotkał ją oko w oko nazajutrz w bramie. Rzuciła mu krótkie: — Dzień dobry i pogroziła palcem. Spłonął po włosy i czuł się jak żak. Spojrzała na niego po raz drugi i już z drogi wykiwała do siebie bliżej.

— Należy mi się pewne tłumaczenie, mechaniku. Czy pan sądzi, że za wyratowanie mię z rąk opryszków... na scenie, zdobył prawo być impertynenckim, gdzież tam! nawet słowa na to, co pan mówił, niema! Proszę na mnie spojrzeć. Jakże to będzie?... panie... Marku?...

Stała tuż przed nim, śliczna, przekorna i surowa, nie spuszczając zalotnych oczu. Odrowąż bladł i krwawo się rumienił na zmiany. Wreszcie podniósł powieki, na krótką tylko chwilę — tak krótką jak kiedy jastrząb spada na zdobycz w dół. Było to zaiste spojrzenie, które miało szpony — spojrzenie zadzierżystego, ślicznego chłopca, kiedy patrzy na miss — lianowaty typ.

Aktorka szybko zmrużyła powieki.

— Nie chcę nic słyszeć! A zresztą— —wszystko jedno! — — Niech pan przyjdzie do mnie. — Aleja Róż, pan wie — naprzykład, we wtorek,

szósta. — Muszę raz pana poskromić, żeby nie rzucał się na niewinnych ludzi. Jak tygrys, któremu jeszcze nie zrobiono manicure. — Tylko niech pan powie odźwiernemu, że pan — że to w sprawie wywiadu, umówione interview — proszę o tem pamiętać — wtorek.

W poniedziałek wieczorem Marek się zapakował, żeby wyjechać z miasta. We wtorek rano przyszła mu słuszna myśl, że przecież wystarczy, jeśli poprostu opuści biuro, tę nieszczęsną filmonę. Po południu zaś uczynił się tak piękny, jak mógł i „gwiżdżąc na to wszystko, bo i cóż nadzwyczajnego?...

Dzwonił do oplecionego bluszczami, pseudogreckiego przybytku w Alei Róż.

* * *

W Alei Róż należało wyminąć drzwi wspaniale - frontowe, zamieszkiwane przez niewiadome X, a wejść pod bluszczowatą arkę w rodzaju ogródka do innych, bardziej wewnętrznych.

Przenikliwy odźwierny w liberji wpuścił go na wzmiankę o interview'ie w głąb i wzwyż dywanowo-witrażowych schodów. Marek z podziwem rozważył wielkopańskość urządzeń, odgrodzony murami komfort tego prywatnego zacisza na dwupiętrowej samotności. Dom, w którym są tylko schody wewnętrzne i żadnych drzwi do żadnych lokatorów! Półkolorowe mroki okiennych smug nadawały szczególną dostojność przybierającym holl gobelinom, kotarom i odpowiednim meblom. Jakże ciepło i pachnąco było już tu, w tym współczesnym pół-salonie!

Zaledwie wszedł na piętro, wynikły ku niemu naraz dwie postacie: jedna w kokardzie i fartuszku, jakgdyby żywcem z pamiętników „femme de chambre" słynnego Francuza, druga—sama Liana. Otwierała właśnie drzwi, ubrana do wyjścia i na widok Marka serdecznie się zmartwiła.

— Ach, prawda, to nieszczęsne interview! Panie, jakże wasze dzienniki są niemożliwe! Był u mnie przed tygodniem pan ten z „Komety" i...— Ale niech pan wejdzie, proszę. Nie, nie, pan ma prawo: sama wyznaczyłam godzinę! Tu można zostawić kapelusz, tak. Proszę bardzo. Ach, to nic, to mój żółw. Czasem spaceruje, żeby się nie roztyć. Nazywa się Kacper. Capuś, pszoł! Marsz do Zosi. Zosiu, niema mię w domu. Za kwadrans wyjdę — skończymy, panie, prawda?—i wrócę aż po próbie. Cap, nie ruszać sukni! Taka krawiecka dusza.

Przez ten czas Marek nie mógł przyjść do słowa, tylko wieszał ubranie przy nikłym współudziale owej Zosi, uśmiechał się, przytakiwał, półkłaniał, omijał żółwia, który wraz z pokojową udał się do dalszych apartamentów—i wreszcie znalazł się z Lianą w zamkniętym drzwiami i głuchym od złotych kotar półciemnym buduarze. Pomiędzy rozrzuconemi śród zapachu fiołków malutkiemi tajem-

niczemi kształtami mebli, kwiatów, olbrzymich lalek i malutkich drzewek płonęła w kępie egzotyków na podłodze samotna, różowa muszla z lampką, jak słońce za mgłami, wewnątrz. Wprost nad lampą, na suficie, rozpościerał się olbrzymi, złotobrunatny i zielonkawy chiński smok, który się rzucał z jedwabnej makaty na wchodzącego — jasno oświetlony potwór tajemniczego wnętrza. Byli w przybytku, Lianie właściwym.

— Pani wychodziła—zaczął nareszcie Marek.— Mógłbym przecież kiedy indziej.

Aktorka rzuciła kapelusz na jakiś sprzęt a futro na dywan i z westchnieniem ulgi opadła na niski szezlonżek pod baldachimem.

— Uf! Co za piła! Czy pan ocenia, co się dla pana robi? Co za czasy! Dawniej rycerze zabijali smoka, żeby się dostać do bogdanki. Dzisiaj bogdanka sama musi się troszczyć, aby uśpić smoka, bo niedołęga-rycerz nigdyby, inaczej nie przyszedł. Taki to i rycerz! Mechanik! Czy pan powiedział przynajmniej Cerberowi na dole, że to z gazety?

— Tak — ale właśnie nie rozumiem...

— Nie rozumie pan?... Cudowne! Cóż pan chciał? Żeby cała służba wiedziała, że przyjmuję u siebie jakichś nieodpowiedzialnych młodzieńców w drodze czystego liryzmu?

— Nie wiedziałem, że pani wogóle musi komuś w tej sprawie się zwierzać — mówił Marek, stopniowo sztywniejąc. — Sądziłem, że wolno pani...

Aktorka nagle tupnęła nóżką i rzuciła rozcinacz na dywan.

— Wolno, wolno!—przedrzeźniała pół ze śmiechem, pół w złości. — Nie potrzebuję opowiadać: służba opowie za mnie! Pan sądzi, że przypadkowo wisi tu ten smok? Panie, to symbol!... Muszę go czasem troszkę oszukać, widzi pan — trudno walczyć ze smokami? Dlatego zrobiłam to wyjście o szóstej. Przecież nie wychodziłam naprawdę! Widzi pan, nawet jestem w takiej sukni, najzwyklejsze robe d'intérieur... No, już nie będziemy się gniewać!... Tak sobie obiecywałam, że jak pan przyjdzie, zapomnę zupełnie, ale to ot tak!... o wszystkiem znanem. Pan jest inny — dziki — nie wyświechtany jeszcze przez miasto. Kiedy się z panem mówi, to jakby nagły przesmyk wśród gór — — jakieś dalekie, nadzwyczajne perspektywy. Wśród tych innych, prawdziwy Tarzan wśród małp — zwierzolud — czy bogozwierz. — Proszę usiąść tu bliżej — masa poduszek na dywanie — tak. Zamknę oczy, i proszę mi mówić jakieś ładne coś —

Wychodząc około dziewiątej od Liany—jakiemś zgoła innem zresztą wyjściem — Marek po raz pierwszy do głębi duszy zrozumiał malarstwo postępowe. Domy się chwiały, latarnie wydłużały się jak korkociąg a ulica taczała się po pijacku od rynsztoka do rynsztoka. Zamiast do miasta, trafił na pole wyścigowe i długo myślał, zanim zrozumiał, w którą stronę ma iść. Był pełen zapachu fiołków, chińskiego smoka, różowych półświateł, cienistych rzęs. Co czas jakiś przykładał dłonie do twarzy i chciwie, zachłannie pił coraz niklejsze smugi rozkosznego tumanu. Przez to wszystko, jak przez gęstą mgłę, kołatała maleńka natarczywa świadomość, że coś zostało zapomniane, utopione w falach fiołków, w powodzi słów, przysłonione błękitem oczu, odegnane poza nawias ruchami maleńkich dłoni. Co to było?... Jakieś kilka tu i owdzie rozsianych słów, kilka drobnych szczegółów spotkania — rozstania — wyjścia. Coś o smoku — o służbie — że wypuści go przez inne wyjście, to przejście przez szereg wspaniałych pokojów, gdzie było pusto, aż się znalazł przed frontowemi na ten raz drzwiami z nazwiskiem książęcem — żeby w Filmonie jutro ani spojrzenia, ale już mu da jakoś znać. Trzebaby to wszystko powiązać, rozpatrzeć, wyciągnąć wnioski.

Ale mechanik nie miał sił wyciągać wniosków. Wciągał jedynie te resztki rozkoszy, które wraz z fiołkami przywarły do jego zmysłów i wróciwszy do siebie, bez marzeń zwalił się spać.

* * *

Niebo się obróciło do góry nogami. Kiedy młody wynalazca był u Liany, zdawało mu się niewiarogodne, aby inaczej być mogło; kiedy nie był, zdawało się nie do uwierzenia, że u niej być może. Dzień stał się nieznośną krucjatą wrzaskliwych,

śmierdzących smarami godzin, wieczór się przeistoczył w chińską bajkę, szumiącą różowem światłem muszli, za nieprzeniknioną kotarą, której strzegł karmiony fiołkami smok.

Nie dociekał już niczego i wszystko mu było jedno. Liana była tą, która wiedziała. Należało przychodzić z gazety, należało pilnować umówionej sekundy celem strategji służbowo-odźwiernianych, należało nie znać niemal Liany w biurze, należało tysiąc rzeczy, które wszystkie były zerem. Jedna ona była wielką, olbrzymią, zasłaniającą światło dnia i rozsądku liczbą. Tęsknił do własnej tortury. Kazała mu czesać szyldkretowym grzebieniem złotą wichurę włosów, a nie wolno mu było ich całować. Chował więc twarz w pachnącą odurzająco rozchwiej i przyrzekał, że ją zadusi. Zresztą nie był od tego daleki. — Wolno mu było widzieć, jak się ubiera, ale nie było mu wolno pod słowem honoru i groźbą zerwania ruszyć się z dywanu, na którym już zamieszkał obok żółwia, na stałe. Czasem przybiegała do niego półubrana, dmuchała ze śmiechem we włosy, potem całowała w to miejsce i uciekała. Zamykał oczy, wchłaniając smugę perfum i potrosze umierał najsłodszą na świecie śmiercią.

Czasem była jak dobra, cicha i słodka mała dziewczynka. Czasem — jak śliczne złe półdjablę. Wtedy zapalała papierosa, czego nie lubił, kazała mu siadać w fotelu correct, czego nie znosił, i wygłaszała „inteligentne teorje", czego u niej nienawidził. Tyczyły przeważnie jej zdania o sztuce życia u kobiety.

Sentyment et tutti quanti, to — zbytek dla nas, biednych „samodzielnych" kobiet! Niechby ktoś sobie wyobraził uczuciowo nastawiony zegarek? Dziś życie lubi być matematyczne — oto sztuka!

— Pani jest takim zegarkiem, pani Liano?

— Każda z nas, prawdziwych nowych kobiet, jest — potrosze. Uczymy się życia w lustrze i w oczach mężczyzn. Dziś, zamiast serca, rozsądna kobieta powinna mieć mały automacik z bloknotesem, któryby mechanicznie notował haussę i baissę jej powodzeń. Jeżeli mądra — zredukuje błędy, a wypielęgnuje atuty. C'est ça?

— Pani żyje podług takiej giełdy?

— Wyłącznie. Jakże inaczej, wynalazco sielanek arkadyjskich? Pana ideałem jest naturalnie takie coś z Asnyka: — Sukienkę miała w paseczki, perkalikową, we włosach polne kwiateczki... i pewnie: — pachniała krową!... No, może nie?... Wstyd! Tylko staruszkowie i żółtodziobe poety są takimi arkadyjczykami!

— Widocznie jestem tym — poetę. Czy wyuczony wdzięk jest wdziękiem?

— Yes, sir! Jest wdziękiem i to tem cenniejszym, że zdobytym. Właśnie to jest ciekawe: ten kałkuł bezpośredniości! Wyciąga się wnioski i mówi się: — Taką a taką należy być, jeśli się żąda wrażenia X. Taką — dla Y. Oto jest niezawodna mimika na uduchowienie. To — fragment

do enfant terrible. Oto znów first class spojrzenie niewinne. To — westalka, która się stała w chwili dramatu bachantką. Nie na stałe, boby sobie niepotrzebnie obniżyła cenę. A oto recepta na naiwną dziewczęcość panienki z Przasnysza. No i różne inne, a zawsze lepiej mieć ich więcej niż mniej!

— Pani Liano, śmiem przypomnieć, że nie nagrywa pani w tej chwili femme moderne dla filmu. Poco tak mówić?... To nieprawda! To jedna z póz. Czy pani sądzi, że takie oczy jak pani mogłyby istnieć, gdyby się w nich nie przeglądało prawdziwe, błękitne boże niebo? Czy nie tęskni pani naprawdę nigdy, ażeby wetchnąć szeroko prawdziwy polny wiatr? I zdziwić się w nocy, że gwiazdy nie są wycięte z szychu, a że w dzień na niebie świeci prawdziwe słońce, nie lampa? Ach, pani tylko tak mówi! Ale żebym mógł być z panią — na wsi — teraz, kiedy zakwitają jabłonie...

Ścisnął ręce w bezsilnej niemocy. Ale Liana nagle klasnęła w ręce i śmiejąc się, oparła na łokciu.

— No, a gdyby?... Pan ma zdolność chwytania marzeń za skrzydła, przeto: ściąga pan je z nieba na ziemię. Czy pan wie, że muszę wyjechać?

Marek nagle zbladł. Wyjechać?...

Zajrzała mu w pociemniałe oczy, rozśmiała się i przęgarnęła włosy naodwrót, co było zawsze dowodem łaski.

— Takie przerażone oczyska robi mały poeta— No nie, już wielki! Wielki!... Otóż tak. Muszę pojechać na dwa tygodnie do ciotki, bo obiecałam, że nie będę tu w mieście, zanim... Zresztą, to do poety nie należy. Dość, że się osamotnię za trzy dni w tak zwanej malowniczo Żabince, dwie stacje od miasta. Będę tam —

Marek zerwał się z fotelu.

— Za trzy dni — i pani mi nic nie powiedziała? Pani Liano!...

— Ależ najmilszy mechaniku, czy warto dzień dzisiejszy psuć myślą o jutrze? A za to niebiosa pana nagrodzą sielanką. Będę konała z nudów, a dwa bite tygodnie wysiedzieć muszę. Ciotczysko, to złoty gruchot, trochę głucha, trochę sparaliżowana — i zresztą wszystko, co robię jest najlepsze. Więc po biurze — o szóstej — poeto!... Słowików, gąsienic, mrówek, trawek, czego dusza zapragnie! Powie się, że nauka angielskiego, chińskiego, wszystko jedno! W biurze — ani mru-mru! Wyjechałam na wieś w Kaliskie, urlop leczniczy. Dyrektor już wie. A co? Teraz rozrzewnienie! Ach wy, poety — — ! Nie tak blisko! Bo Capuś się gniewa! Capusiowi jednemu wolno kłaść pani tę gadzią główinę na kolanach — —

* * *

Cokolwiek działo się potem, wydawało się zawsze Markowi rodzajem obrazu tak realnego, że aż przeżywanego, bynajmniej jednak nie istotnem życiem. Były tam fragmenty rozmaitych odmian Liany. Kwitnąca jabłoniami słoneczna ścieżka w głuchym podmiejskim ogrodzie — i Liana na-

przeciwko, z dużym psem, Liana w prostej, jasnej sukience — bodaj-że w paseczki perkalikowej, z gałązką gruszy w ręku. Pień nad maleńką rzeką mokry od rosy — jego rozesłany płaszcz — — jego ramię obejmujące Lianę, troszkę stuloną od chłodu wieczoru — ogromny rudy księżyc nisko za rzeką — i słowik wszędzie — w rosie, w rzece, w zmierzchu, w sercu. Południe pod trzema lipami — Liana w hamaku, cała w drżących krążkach słońca, cała biała i złota — i drżące także motyle czarnych rzęs z ledwie połyskującemi przez nie poblaskami szafiru — troszkę uśmiechnięta — troszkę senna — i on, w plecionym fotelu, oparty twarzą na ręku, wpatrzony w nią jak w cud, który może zniknąć. A nadewszystko wiosenny, odurzający zapach pewnej ścieżynki wśród traw i krzaków, prowadzącej wprost do altanki w ogrodzie przez podważony w tem miejscu płot — i conocne, bijące sercem skradanie się tędy w godzinę potem, jak po zwykłej „nauczycielskiej" herbatce, pożegnał urzędowo Lianę i ciotkę. — Biedną ciotkę, którą widział co dnia przez dwa tygodnie, a zapamiętał jedynie, że nosi staromodną kapotkę z fiołkowej wstążki i nie ma zębów zprzodu. — Wpatrywanie się szponami źrenic w mrok owitych pnączami drzwi altanki, aż wionie znany zapach, szybki zdyszany chód — i porywał ją na ręce bez słowa, czując gorące ciało przez olbrzymi, biały, przepojony fiołkami jej szal. Pamiętał jeszcze perłowe odblaski świtu na matowej bieli, gdy odchodziła, gubiąc z bosych nóżek śmieszne, tylko z kokardy i obcasa zrobione, ranne pantofelki...

Czytał był niegdyś książkę o nowym, młodym świecie po zagładzie starej ziemi. Tem był. Wszystko się zapadło; świt, który się uśmiechnął jego oczom przez pewne rozrzucone po płaszczu na trawie złote włosy, był świtem nowej ery. To było inne życie; stworzyło inną Lianę, od której już nie mógł oderwać duszy, aby się nie oblała krwią. Nie mógł się nasycić jej domową, nieaktorską dziewczęcością; nie mógł się napić jej uśmieszków przez rumieńce i jej prawdziwych łez na najcudowniejszych w świecie rzęsach, kiedy mu opowiadała o sobie. Tak, była zła, była aktorka; była handlarka! Ale czyż mogła być inną? Gdyby wiedział, jakie miała dzieciństwo, gdyby wiedział, czemby właściwie jeszcze gorszem być mogła! Cóż właściwie robi? Tyle, że postawiła sobie za cel podeptać tych, którzy ją deptali i depcą—zrobić fortunę, zdobyć stanowisko! Czyż kobieta może inaczej przejść przez życie? I czy ją to nie kosztuje, och!... I wiele? Owszem, ma serce! Marek wie o tem najlepiej. Jemu jednemu powiedzieć może wszystko; przy nim jednym odkłada broń; z nim jednym czuje się małą dziewczynką, młodą dziewczyną, która jeszcze może urządzić sobie tak lub inaczej życie; wobec niego się nie wstydzi wyznać, że jest tylko prowincjonałką galicyjską, córką sklepikarza, której traf dał przeciętne wykształcenie

pensyjne, los — nieprzeciętną ambicję, a uroda — ścieżkę do karjery i sławy. — Dla innych jest miss Lianą i gwiazdą—a dla niego tylko jego małą Lianką, bo oni — to co innego, a on — to taki jej własny poeta, taki drapieżny obłaskawiony zwierz.

Nie uwierzyłby nigdy, że dwa tygodnie trwają tak straszliwie krótko. Zdawało się raczej, że była to jedna tylko noc pomiędzy rdzawym księżycem, wytaczającym się ponad rechotem żab, a najbłękitniejszemi różowościami świtającego poprzez rosy poranku. I Liana musiała wrócić do Warszawy.

Umówili się, że przez dwa pierwsze dni się nie zobaczą. Odpowiadało to nawet Markowi: nie pamiętał już, kiedy spał. Odespał zato osiemnaście godzin z rzędu i poszedł do Filmony. Nikła nadzieja, że zobaczy Lianę, tkwiła na dnie ale została zawiedziona. Nie było jej. Dyrektor także był nieobecny, wogóle wszyscy czegoś byli powarzeni. Na pytanie Marka w tej sprawie reżyser, który z nim jedynie obcował, odrzekł, krzywiąc się:

— Książę wrócił i jest posiedzenie. Jakieś komeraże pieniężne. Parę osób wyleci. Ciężkie czasy!

Marek nie miał pojęcia, kim jest książę. Dowiedział się, że amatorem, który do współki z dyrektorem finansuje „Filmonę".

— Musiał go pan przecież widzieć: uczęszcza do nas aż nadto. Ostatnio był przez miesiąc za granicą, ale pan jest tu już dłużej. Gładki dżentlmen, tylko że za pieniądze, które od niego dyrektor dostaje, musi biedaczysko znosić na niebie Filmony nie same mniej lub więcej udane gwiazdy, ale i mniej lub więcej ciężkie chmury. — Coś pan mi sczerniałeś od miesiąca, młody człowieku! Spójrzno gość na mnie. Co?...

Ale Marek już oddawna nie słuchał. Myślał o pewnej nocy przed burzą, kiedy Liana bała się chmury. Z tej burzy spadło właśnie, jak złoty piorun, jego szczęście. Spojrzał na reżysera, ale tak nieobecnemi, głupio szczęśliwemi oczyma, że fachowiec tylko przeciągle gwizdnął: — Fiu!... i poszedł. Był za dobrym aktorem, aby się nie poznać, co taki wyraz w lat dwadzieścia parę znaczy.

* * *

Nazajutrz rano, wbrew postanowieniu i umowie z Lianą, obmyślił pracowicie pozory dla smoków i rano, w godzinach biurowych, poszedł w Aleję Róż. Jednakowoż Liany w domu nie było. Wycofał się i tępo stał na ulicy przed domem, odczytując niewidzącemi oczyma wielkopańskie nazwisko na frontowych drzwiach. Dlaczego przez dwa dni zgodził się jej nie widzieć! Tem bardziej, że zapowiadała swoją nieobecność u „Filmony". Postanowił pójść o zwykłej szóstej wieczorem raz jeszcze. Skręcając w Ujazdowskie, o mało nie wpadł pod parokonny powóz i ku swej nieopisanej złej radości, ujrzał w nim złotozębego rywala od fiołków, o którego był tak zazdrosny. — Nie miał czasu wypomnieć go Lianie. — Może ta małpa je-

chała właśnie do niej „złożyć uszanowanie"? Taki przecież inaczej nie mówi! Nikt inny na całym świecie nie miał jednak takiej chińskiej bajki i Żabińskiej bajki jak on jeden — Marek. Ach — Liano — Liano — — !

Gwałtowne aż do bólu pragnienie zobaczyć ją tuż, zaraz, natychmiast! — szarpnęło mu serce złemi, psiemi kłami. Wrócił do Filmony i z pasją odrabiał swoją pańszczyznę. Każdy nerw drgał niecierpliwem biciem liczącego sekundy zegarka. Wracał do domu w gorączce. Przebierał się, gwiżdżąc i śpiewając jak po winie. Musi być w domu! Musi przeczuć, że dwóch dni bez jej widoku nie wytrzyma! Musi zresztą też tęsknić — trochę —

O szóstej zapytywał wiadomego odźwiernego w sposób wiadomy i szedł na górę. Była! Służąca mignęła mu gdzieś w dalekiej amfiladzie pokoi, ale ufał w duchu, że może go nie dojrzała. Nie wiedział zupełnie, czy słyszy jak własna jego ręka puka do drzwi buduaru, czy to własne jego serce wali? Nacisnął klamkę i wszedł. Maleńkie mrowie rozkoszy przebiegło wzdłuż krzyża.

Stłumiony krzyk rozległ się na szezlongu. W nikłem świetle zobaczył czarne, doskonale zaprasowane męskie nogi, komfortowo wyciągnięte, i złote kimono Liany na tem tle, przepasane męską ręką. Czerwony młot krwi buchnął mu między oczy i zamroczył wzrok. Coś spadło i coś się przewróciło z mebli. Przez mgłę zobaczył tuż przed sobą wysokiego pana z wyciągniętą wskazująco i gniewnie ku drzwiom ręką, i za jego ramieniem — białą jak papier Lianę, robiącą mu groźne i rozpaczliwe znaki. Ztyłu ciągnęła go za rękaw wystraszona pokojowa.

— Ten pan wszedł nie czekając, proszę jaśnie księcia — odnosiłam tacę i właśnie, wracając, spostrzegłam. — Proszę pana, przecież pani nie przyjmuje —

Jaśnie księcia! Dopiero teraz rozejrzał wygoloną twarz i złote zęby. Ach, więc jaśnie książę — — powrócił z zagranicy — miesiąc urlopu — a Liana miesiąc sielanki i te frontowe drzwi z nazwiskiem książęcem obok — ach — więc to tak — a on, idjota! osieł! — kwadratowy osieł.

Nagle między sobą a księciem ujrzał Lianę. Wyciągnęła rękę i podniosła głowę lodowato.

— Proszę pana, już panu ostatnim razem powiedziałam, że wszelka natarczywość powinna jednak mieć granice! Nie jestem obowiązaną dla reklamy pism, przyjmować co drugi dzień reporterów — zwłaszcza bez zameldowania. — Chyba istotnie będę musiała uciec się do interwencji osób trzecich...

Dłoń księcia w mankiecie z iskrą spinki ujęła klamkę drzwi, w których progu mechanik stał. Drugie ramię półokrągłym gestem odgrodziło go niejako od pokoju, i usłyszał iście wielkopański, barytonowy głos:

— Czekam?

Brzmiało to jak wyraźne pytanie:

— Wyjdziesz pan sam, panie reporterze, czy mam pana wyrzucić za kark?...

Długo potem na ulicy czuł w tępym mózgu coś jak dwa rozżarzone do białości ćwieki. Wynalazł, że było to spojrzenie Liany, którem go trzymała przez cały czas na smyczy — dwoje ogromnych, groźnych, umierających od strachu oczu.

* * *

Godzinę lub więcej stał w pewnym załomie mostu nad Wisłą i patrzył w męt rzeki. Czuł dokładnie, jak zimne jej fale przepływały przez jego mózg. — Nauczył się martwą źrenicą każdego statku na brzegu, każdej łodzi, każdej wieżycy na Pradze, która się odbijała w nurcie. Czuł w sobie doskonałą pustkę, jak po wyjściu wnętrzności. Pomyślał sobie, że tak pewno czuły się mumje, gdy je już spreparowano, a jeszcze nie wypchano ziołami.

Wróciwszy na czwartak, stał długi czas w oknie. Miejskie ogniki mrugały na niego szczególnie figlarnie, jakgdyby mówiły: — A co?... Pokiwał ku nim głową i zgasił lampę. Latarnie się rozpanoszyły błękitami smug.

Leżał z rękami pod głową, gdy zapukano do drzwi. Nagle uniósł się na łokciu i przetarł oczy: do pokoju cicho i szybko wpadła otulona po brwi Liana i odrzuciwszy płaszcz na ziemię, wybuchnęła szalonym płaczem.

Z trudem, jakby zdaleka, poszedł do niej i położył jej rękę na włosach.

— Nie płacz, Luka. Dlaczego teraz płaczesz? Wszystko jedno.

Zerwała się nagle na nogi i buchnęła na niego błyskiem złych, gorejących biało oczu, na których jeszcze drżały łzy.

— Dlaczego płaczę! Taki... bałwan, taki idjota! On się pyta jeszcze, dlaczego? Czy pan rozumie, co pan zrobił? Co pan zepsuł tym najgłupszym sentymentem! Zabroniłam panu przecież przychodzić, aż dam znać! Nie mógł wytrzymać dwu dni, smoczek! Laluś! Przez trzy lata — rozumie pan! Trzy lata walczyłam o to, żeby zdobyć, co mam, a taki, przez swoją idjotyczną głupotę, jednego dnia — — Czy pan sądzi, że służba i tak nie doniesie księciu wszelkich bredni? Mój spryt w tem, aby nie uwierzył, ale nie mogę wymagać, aby był głupszy niż jest! Dość go to zresztą kosztuje, aby miał prawo chcieć przynajmniej... pozorów! Źle panu było z tem, co pan miał? Jeżeli książę się dzisiaj ze mną pożegna, da mi pan jutro pałacyk w Alei Róż i powóz? Albo stanowisko primadonny! Za to dyrektorowi płaci swemi subwencjami książę! I taki niedonoszony poeta, taki smarkacz — — psiakrew!...

Padła na kanapkę i zalała się znowu najrzewniejszemi łzami. Marek powoli, nie spuszczając z niej szeroko otwartych oczu, odstępował krok za krokiem wstecz. Zdawało mu się, że kłębek żmij wije mu się u nóg i zaraz pokąsa. Ach! Więc to tak! Ach! Więc jeszcze i to — — „Gwiazdy i chmury" o których mówił reżyser — — Dobrze! Ale pocóż w takim razie przyszła?

— Dobrze — — ale pocóż pani w takim razie przyszła?...

Otarła oczy z pasją i podniosła rękę w brylantach. Zauważył jeden, którego nie było dawniej — prezent z urlopu księcia — oczywiście —

— Poto przyszłam! Jutro, rozumie pan?... Musiałam przecież uprzedzić pana, żeby jutro nie wpadł na genjalną myśl, pójścia do biura! Książę tam bywa często, gotów poznać a wtedy — Boże, całe szczęście, że przyszedł mi pomysł z tym reporterem — Więc rozumie pan? Zabraniam panu być w biurze jednym krokiem! Niech pan pośle list, wyjedzie — — tu przyniosłam pieniądze — i żeby absolutnie żadnej możności spotkania z księciem! — Pamięć ma doskonałą — poznałby w bluzie czy bez bluzy — O Boże co mię to kosztowało, ta chwila! I zanim jeszcze potrafię to wszystko załagodzić! Przecież służąca domyśla się jeżeli nie wszystkiego, to — wiele! Idę. Szaleństwo wogóle, że tu jestem — jutro o szóstej jadę z dyrektorem i księciem do Wilna — ale musiałam — — Człowieku! Czy pan rozumie, co miał i co, przez głupi! głupi sentyment! — stracił?... A przecież to już dosłownie robiłam dla pięknych oczu! Jeszcze wtedy, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz w przejściu — szłam, czytając list, właśnie od księcia — i nagle te oczy — ta sępia głowa nad rozchełstanym kołnierzem bluzy — Przecież jesteś chwilami cudny, zupełnie jak — — czy ja wiem?... Włoski gondoliero — Wtedy sobie pomyślałam: — Oto książę, książę moich pomyśleń! O twoich impertynenckich, szyderczych słowach, o drapieżnej pogardzie twoich ust, o aksamitnej tajemnicy twoich oczu lubiłam marzyć — Naturalnie zanim książę był tu, — niemożliwość! Nie mogłam dla sentymentu psuć karjery. Ale skoro wyjechał, i musiałam mu przyrzec, że na dwa tygodnie zamknę się u ciotki — pan magnat jest o mnie zazdrosny, widzisz!... — pomyślałam sobie: Dlaczegóżby nie?... Tak dawno nie miałam nikogo... takiego! Myślisz, że nie widziałam twoich oczu jak szły za mną wszędzie, ty... w bluzie! I mogłoby być tak cudownie i on mógłby nic nie wiedzieć, a kiedybym już — — kiedybym już stanęła, gdzie chcę, o!... zrobiłabym ci karjerę w przeciągu miesiąca. Wyszedłbyś na ludzi i mogłabym cię przyjmować otwarcie, jak człowieka z towarzystwa, może sławnego nawet człowieka! Gdybyś był mądry, poradziłbyś sobie sam! Z taką twarzą i z tą twoją djabelską zaciętością... A teraz co? Zdechniesz na czwartaku, i pies o tobie się nie dowie, a ja — — Ty, szalony! Ty, szalony! Odejdź, odwróć się ode mnie, nie mogę patrzeć — Pocałuj!...

* * *

Jakiś czas po wyjściu Liany Marek słuchał uważnie tupotu jej małych obcasków na cichem już zupełnie podwórzu. Potem usiadł na łóżku i spuścił głowę, bo mu nieznośnie ciężyła. Trzeba było coś robić. Prawda! Musiał wyjechać. Zebrał do jednej walizy wszystkie papiery, pisma, projekty, skończone i urwane, i po namyśle napisał adres. Rzecz szczególna! Był to adres — reżysera. Niewiadomo dlaczego przyszedł mu na myśl ten właśnie człowiek. „I reżyser ma serce!" — mówił kiedyś. A może je raptem istotnie ma?...

Wziął tylko portfel z kilkoma drobiazgami — pieniądze zostawił na stole—i na dworzec poszedł piechotą. Przez most na Pragę zwolnił kroku. Dwa rzędy latarń drżały w nurcie wody. Pomyślał czemuś, że i Liana musi jechać tędy — może na nie także będzie patrzyła? Coś znajomego uderzyło jego wzrok: stał w tym samym załomie mostu, co parę godzin temu. Wtedy był jeszcze bogaty: miał złudzenia! Nie było jednak czasu rozważać: o północy pociąg odchodził. Marek rzucił okiem na miasto, na ciemną masę Zamku, na wieże — i nagle, odrzuciwszy portfel na bok, zaparł się o parapet mostu i runął w dół, w ciemno szumiący nurt.

Słyszał jeszcze, jak nad nim zadudniało jakieś auto.

Koniec części pierwszej.

SZOFER W ŚWIETLE NAUKI

Badania naukowe, przeprowadzone przez prof. H. Allen'a i F. Moss'a w Washingtonie, wykazały, że ilość czasu, potrzebną kierowcy na zorjentowanie się o niebezpieczeństwie i naciśnięcie nogą hamulcowego pedału, zależy od jego doświadczenia i wrodzonej mu przytomności umysłu.

Badacze ci zbudowali przyrząd, zapomocą którego można zmierzyć dokładnie czas upływający od momentu otrzymania przez kierowcę samochodu sygnału, iż należy się zatrzymać, do chwili, gdy puszcza on w działanie hamulce.

Mechanizm tego przyrządu jest nadzwyczaj prosty: — Samochód, posiadający normalną przekładnię do zmian szybkości, zaopatrzony został w tachometr czyli przyrząd o tyle dokładniejszy od zwykłego szybkościomierza, iż notował każdy obrót kół samochodu. Do tablicy, oddzielającej silnik od reszty samochodu, przymocowano dwa pistolety, skierowane lufami ku dołowi, przyczem nabito je nabojami, w których zamiast kuli była czerwona minja (tlenek ołowiu), tak iż po wystrzeleniu pistoletu na bruku ulicznym powstawał czerwony znak.

Do samochodu wsiadł przeprowadzający doświadczenie i poddawany próbie kierowca. Gdy

tachometr wskazał już pewną szybkość biegu samochodu, eksperymentator powodował wystrzał pierwszego pistoletu, a na ten sygnał, kierowca zdejmował stopę z dźwigni kierującej zmianą szybkości na pedał hamulcowy, który automatycznie powodował zaraz wystrzał drugiego pistoletu, wytwarzając drugi znak na bruku. Odległość pomiędzy temi dwoma czerwonemi znakami podzielona przez szybkość, z którą pędził samochód, wykazała, z dokładnością do jednej tysiącznej sekundy, przeciąg czasu potrzebny dla tego kierowcy na zareagowanie na otrzymany sygnał zatrzymania samochodu.

Prof. Moss i Allen poddali tej próbie grupę studentów obojga płci z uniwersytetu Jerzego Washingtona w Kalifornji, takąż grupę z uniwersytetu Howarda w Washingtonie oraz pewną ilość kierowców dorożek samochodowych.

W grupie z uniwersytetu Washingtona próby wykazały bardzo niewielkie różnice pomiędzy czasem zareagowania na sygnał zużytym przez mężczyznę i kobietę, przyczem czas ten wynosił przeciętnie około połowy sekundy. Poszczególne osoby w tej grupie różniły się jednak od siebie pod tym względem bardzo znacznie tak, iż niekiedy jeden osobnik reagował na sygnał trzy razy prędzej aniżeli drugi.

W grupie, wybranej z uniwersytetu Howard'a, czas reagowania, porównany z czasem stwierdzonym dla grupy z uniwersytetu Washingtona, nie wykazał bynajmniej różnicy, co dowiodło, iż przynależność rasowa kierowców nie ma pod tym względem żadnego znaczenia.

Próby powyższe wykonane były przy czterech różnych szybkościach, a mianowicie przy 16, 24, 32 i 48 kilom. na godzinę. Przy szybkości 32 klm. na godzinę i przy reagowaniu przez pół sekundy, samochód przetoczy się jeszcze tylko piętnaście stóp zanim zacznie się zatrzymywać. Przy reagowaniu przez półtorej sekundy, samochód przetoczyłby się jeszcze 45 stóp przed rozpoczęciem zatrzymywania się. Szybkość biegu samochodu nie wpływa jednak pod żadnym względem na szybkość reagowania jego kierowcy na sygnał.

Praktycznym celem tych prób będzie, rzecz naturalna, wyłączenie z pośród kierowców samochodowych osobników reagujących bardzo wolno na sygnał lub niebezpieczeństwo. Należy więc oczekiwać, że i u nas w Polsce, próbie tej poddani będą nie tylko wszyscy kierowcy samochodów wojskowych i wogóle rządowych, lecz i wszyscy ubiegający się o prawo kierowania samochodem w ruchu kołowym miejskim i na drogach publicznych. Jest to jedna z pewnej ilości prób, przygotowywanych celem lepszego doboru szoferów do ich odpowiedzialnej pracy.

Y. M. C. A. w Łodzi

Niemasz na ziemiach polskich miasta bardziej amerykańskiego nad Łódź. Zaledwie sto lat upłynęło jak z niepozornej wioski, jak grzyb po deszczu, wyrosło drugie miasto Polski pod względem wielkości i ilości mieszkańców.

Młodem jest Łódź miastem i ma wiele cech dodatnich młodości. Mimo iż brak mu wielu nowoczesnych urządzeń, dąży naprzód z niczem niepowstrzymaną energją do czynu.

Wiarę w siebie i swe przeznaczenie, jako głównego ośrodka przemysłu, Łódź posiada. Nadziei nigdy nie traciła, pomimo ciężkiego kryzysu, przeżywanego od chwili stabilizacji monety obiegowej, brak jej jeno w pewnej mierze elementu Miłości, czyli tej atmosfery cichej a pogodnej, dobrotliwej a serdecznej. Nic w tem dziwnego, bo o atmosferę taką trudno w miastach zbyt szybko wzrastających, gdzie ludzie powodują się głównie rozumem, a na uczucie mało mają czasu.

W taką to atmosferę wtargnęła Y.M.C.A w czasach ostatniej zawieruchy wojennej. Może dzięki temu, że wyrosła na gruncie amerykańskim, Y. M. C A. dziwnie szybko przyjęła się w tem typowo amerykańskiem mieście Polski.

W styczniu 1923 roku powstaje skromne Ognisko przy ul. Piotrkowskiej 243, które swą atmosferą towarzysko-klubową stopniowo przyciągać zaczyna ludzi. Wkrótce na placu, nabytym w śródmieściu, powstaje szkoła dla kierowców samochodowych, jednocześnie działalność gimnastyczno-sportowa prowadzona jest w szeregu szkół. Działalność Ogniska, polegająca na harmonijnym rozwoju trzech czynników istoty ludzkiej: ducha, umysłu i ciała, rozwija się coraz potężniej, szczególniej gdy w końcu roku 1923 Ognisko staje się placówką polskiej Y. M. C. A., pozostającej pod zarządem rdzennie polskim.

Kierownicy Ogniska spostrzegłszy, iż wielu jest chłopców w Łodzi z klas uboższych ludności, którzy nie mają należytej opieki i pozostawieni są własnemu losowi, otwierają i dla nich podwoje Ogniska. I tu dzieje się rzecz nieoczekiwana: w ciągu jednego roku chłopcy ci w wieku od 12 do 18 lat stopniowo, ale systematycznie opanowują to Ognisko — i masą swą zaczynają wypierać starszych na ulicę. Dzieje się to głównie dzięki atmosferze przyciągającej młodzież, a stworzonej przez nieocenionego p. Chesley'a, sekretarza Amer. Y. M. C. A., wielkiego przyjaciela młodzieży, który znalazł dwóch pierwszorzędnych pomocników w osobach pp. T. Kozłowskiego i W. Horbackiego.



Wyplatanie rafją przez klub chłopców w łódzkiej Y. M. C. A.



Dr. A. Grohman.
Prezes łódzkiej Y. M. C. A. Wybitny przemysłowiec łódzki czuje się najlepiej w mundurze straży ogniowej, z którym się bardzo rzadko rozstaje.



Bankiet podczas III zjazdu Y. M. C. A. w Łodzi, 1—2 lutego 1925 r.—W głębi po lewej stronie stołu siedzi Dr. A. Grohman, przed nim prof. Al. Janowski, prezes polskiej Y. M. C. A., obok prof. R. Dyboski, przew. zjazdu. Z prawej strony postać o głowie Liszta; jego rapsodje literackie znane są dobrze naszym czytelnikom, albowiem jest to nasz współpracownik p. Tadeusz Żuk Skarszewski.

Zarząd Ogniska staje wobec konieczności znalezienia nowego Ogniska dla starszych. Tu przychodzi na pomoc Amer. Y. M. C. A. i w końcu 1923 r. przy ul. Piotrkowskiej 89 powstaje nowe Ognisko, całkowicie przeznaczone dla dorosłych. Jest gmach, ale pusty wewnątrz, trzeba go urządzić, czyli zdobyć na to fundusze, jak również na znacznie rozszerzony budżet wydatków bieżących. Z rozpędem iście amerykańskim biorą się ludzie do dzieła, nie zważając na pesymistów kraczących: „to się nie uda, czas jest jak najmniej odpowiedni dla zbiórek". Kto zna skład Zarządu Ogniska Łódzkiego, ten domyśla się, że przedsięwzięcie, do którego bierze się ta grupa czynnych idealistów, musi się udać. Zwrócono się do społeczeństwa o 40.000 zł. z perspektywą zebrania większej części tej sumy. Ale niedoceniono wartości dr. A. Grohmana, jako prezesa Ogniska. Człowiek ten, rzadko spotykanego w Polsce typu, trzeźwy idealista na wzór amerykański, potrafi ukochać ideał i umie urzeczywistniać go, nie szczędząc wysiłków osobistych, rzucając na szalę swe nazwisko, swe wpływy. Osobiście udawał się do znajomych, którzy często słabe wyobrażenie mieli o Y. M. C. A., ale widząc, że on całą duszę w to wkłada, a mając nieograniczone doń zaufanie, dawali, ile zażądał. I dawali szczodrą ręką, bo nie wymuszano od nich datków na jakieś nieokreślone cele, ale przed przyjęciem datku zapoznawano ich w krótkich słowach z celami Organizacji, na których urzeczywistnienie przeznaczone są pieniądze przez nich dawane. W ten sposób otrzymywano pieniężne datki tylko od tych, którzy wiedzieli dobrze, na co dawali, i dając, manifestowali swą sympatję dla Y. M. C. A., czyli zostali przyjaciółmi tej organizacji.

W gronie ofiarodawców znaleźli się ludzie rozmaitych przekonań religijnych i politycznych, często o niepolskiem pochodzeniu, a mimo to dawali temu jałmużnikowi, który zbierał na dobrą sprawę, na szczytny cel: na instytucję, która postawiła sobie za zadanie stworzenie nowoczesnego typu Polaka — obywatela kraju.

I zdarzyła się rzecz nieoczekiwana: rezultat zbiórki wprawił w zdumienie największych optymistów, a mianowicie miast 40.000 zł., zebrano przeszło 60.000 zł. To też w historji Y. M. C. A. w Łodzi nazwisko dr. A. Grohmana wpisało się niezatartemi zgłoskami.

Otwarte w końcu ubiegłego roku nowe Ognisko grupuje obecnie przeszło 700 obywateli łódzkich, pragnących znaleźć miłe środowisko klubowe, gdzie i rozerwać się godziwie można i nauczyć wielu rzeczy i gdzie sprawa kultury duchowej szczególną pieczą jest otoczona. A przez ten czas Ognisko dla chłopców rośnie tak, jak rosła Łódź, to jest niezwykle, a wszystkim, którzy to Ognisko zwiedzają, rosną serca na widok tych setek kochanych malców, z których Polska Y.M.C.A. tworzy obywateli polskich w całem tego słowa znaczeniu, bo otacza ich promiennem działaniem Miłości, a którzy w innych warunkach wyrośliby na zgorzkniały, nienawiścią sycony proletarjat wielkomiejski.

Wystarczy kilka chwil spędzić w Ognisku dla chłopców w Łodzi, by odrazu zrozumieć rację istnienia Polskiej Y.M.C.A. i pokochać ją. A niezwykły ten wzrost Y. M. C. A. w Łodzi objaśnia się tem, że w Łodzi nie pytają się w imieniu jakiej partji lub klasy społecznej prowadzi się robotę państwowotwórczą, ale popiera się ją moralnie i materjalnie, gdy się widzi jej rezultaty.

Dr. W. Zawisza.

Gdy Cię gnębi drożyzna...

(Dalszy ciąg ze str. 18)

wnosć 164.4, pobiera za wizytę 375.9, podczas gdy jednocześnie nauczyciel z dyplomem pobiera za swe usługi tylko 113.3, a lekarz amerykański 150, choć ten ostatni płaci za mieszkanie 184, a za żywność 152 (wszystko oczywiście w % % odnośnych cen przedwojennych).

Wielka naogół drożyzna pracy ludzkiej kwalifikowanej, czy niekwalifikowanej, czyli słaba jej wydajność u nas, wywołana fatalnemi brakami w organizacji życia społecznego i techniki wytwórczej, rozszerza się na wszystkie inne dziedziny gospodarcze, tworząc nowe powody i źródła drożyzny i wzrastającej niemocy i upośledzenia względem wydajniej zorganizowanych i pracujących sąsiadów i konkurentów.

Czytamy dalej w W. St. Nr. 20/24: masło w hurcie wskaźnik 140.5, a w detalu 233.6. Cukier w hurcie 123.3, a w detalu 148.4. Nafta w hurcie 59.6 a w detalu 129.6.

Każdego myślącego człowieka uderzyć musi owo rozchodzenie się cen surowca i hurtu a fabrykatu i detalu, wiodące nas we wprost odwrotnym kierunku (t. j. do nędzy), niż postępuje świat pracy nowocześnie zorganizowanej.

Analogiczne przykładowe cyfry wyjmijmy z urzędowej statystyki Stan. Zjedn. A. P. „Statistical Abstract of the U. St. r. 1923:"

(r. 1913 = 100).

Towar	Wskaźnik ceny w r. 1923: hurtowej	detalicznej
Chleb (Chicago)	179	155
Mąka pszenna (Portland)	160	142
Cukier	200	184
Masło	148	145
Jaja	139	135

Ciekawym wskaźnikiem szybkiego rozwoju dobrobytu i potęgi gospodarczej w Ameryce od początku bieżącego stulecia jest obliczenie, że wytwórczość jednego robotnika przemysłowego w 1921 r. wynosiła 255% wytwórczości w 1899 r., a to spowodowało, że gdy przyrost ludności we wspomnianym czasie wyniósł 40%, to produkcja fabryczna, konsumcja, kapitał i płace robotnicze wzrosły o 400%, a eksport o 600%. Cyfry te mówią same za siebie i komentarzy nie wymagają.

O układzie cen hurtowych w końcu roku 1924 wnioskować można z następujących cyfr porównawczych trzech artykułów podstawowych gospodarstwa społecznego. (Ceny w złotych).

Artykuł	Polska	Niemcy	Stany Zjedn.
Mąka pszenna za 100 klg.	40.00—42.13	41.73	47.59
Żeliwo N. I. za tonnę	170.00	109.82	97.56
Węgiel za ton.			
dąbrowiecki	25.23	18.51	10.71—8,73
górnośląski	30.10	—	—

Że sytuacja nietylko nie polepsza się u nas, ale stale pogarsza, to wnosić można z następujących cyfr dotyczących kosztów utrzymania w ostatnich 12 miesiącach:

W s k a ź n i k i.

		Ogólny	Żywność	Odzież
Czerwiec	1923	60.6	77.3	131.3
Styczeń	1924	120.5	165.1	186.7
Styczeń	1925	150.0	175.4	253.2
		Opał	**Mieszkanie**	**Pozost.**
Czerwiec	1923	72.1	4.9	51.6
Styczeń	1924	172.6	13.1	99.5
Styczeń	1925	163.2	48.1	172.5

W Ameryce analogiczne cyfry indeksowe ostatnich 12 miesięcy wykazują pełną stabilizację cen.

Niewspółmierność ciężarów gospodarczych elementu rolniczego, jako najgorzej zorganizowanego w państwie i zmuszanego do naruszania i niszczenia swej substancji majątkowej, podrywającego dalszy byt produkcji, odpowiada niewspółmierność ułatwień i zysków gospodarczych, elementów najlepiej zorganizowanych i dyktatorsko, w ramach zamkniętych zespołów spychających na konsumenta ogół, nietylko wybujałych zysków, lecz także wszelkich przestarzałości, marnotrawstwa i wręcz nieróbstwa.

Klasyczny przykład to rzeźnictwo warszawskie, które dziś każe konsumentowi płacić za proces uboju 15 groszy od 1 klg. mięsa, podczas gdy przed wojną, przy przestarzałych urządzeniach, znacznych odległościach, dzielących targowisko na Pradze, rzeźnię na Solcu, hale hurtowe na Ś-to Jerskiej, Koszykowej etc. odnośny koszt wahał się około 1 kopiejki.

Podkreślić należy, że handel bydłem jest w całości (nawet najdrobniejsze funkcje) w rękach Żydów, a haracz opłacany na samego tylko rzezaka koszernego i pieczętarza, przez których ręce przechodzi cała ilość bydła, wynosi dziś 11.5 złp. od sztuki. Dalszym powodem drożyzny to oligarchja związków zawodowych, mających swoistą biurokrację i wysokie poczucie kastowych odrębności i interesów (11 odmian związkowych na terenie rzeźni), które nietylko dyktują opłaty dowolne i pobierają je nawet za czynności niespełniane, lub te, które wykonywa sam właściciel bydła, ale jednocześnie umożliwiają członkom swoim pracowanie z reguły 2 dni w tygodniu (sic), pobierając ekwiwalent za cały tydzień. W obliczu fali redukcji, spotykającej szerokie rzesze wysoce uspołecznionej inteligencji, uznanej za nadliczbową nawet na odpowiedzialnych stanowiskach państwowych, moment ten nabiera wielce symptomatycznego znaczenia.

Dodajmy, że wysokie zyski monopolistów bynajmniej nie idą na jakiekolwiek ulepszenia techniczne czy socjalne (rzeźnia budowana z początkiem XIX stulecia ma urządzenia odpowiednio archaiczne, nieekonomiczne i niehigjeniczne), że o tak ważnym braku chłodni i bocznicy kolejowej nikt nie myśli, że krew odpływa z rzeźni, kości

sprzedawane z mięsem idą na marne i podobnie inne produkta uboczne, to wraz ze wspomnianym fatalnym rejonowym rozkładem całej pracy mamy jaskrawy obraz organizacyjny osławionego „polnische Wirtschaft".

Powyższy bieg myśli na innych arenach pracy można rozwijać bez końca, ale nie o smutne przykłady idzie tu, lecz o szukanie dróg do wyjścia z chaosu, umożliwiającego terror zorganizowanych grup, wiodących zbiorowe życie nasze na manowce nietylko w opisanej dziedzinie. Że „zorganizowany" furman rzeźnicki bierze w hurtowym przewodzie 4.45 złp. od 200 klg. bitego mięsa tam, gdzie „taksa" dorożkarska przy przewiezieniu dwóch osób (czyli też około 200 klg.) dopuszcza tylko 1 złp., lub że „zorganizowany" czeladnik piekarski ma prawo wypiec dziennie tylko 600 funt. (rosyjskich), gdy z łatwością może podołać 1200, a nawet 1500 f., to wszystko są szczegóły, których bez schodzenia z biegu myśli przewodniczej mnożyć niepodobna, a odkrywają one tak głębokie braki w organizacji zbiorowego życia naszego, zwłaszcza elementów, uważających się za ostoję i podporę kultury i państwowej myśli polskiej, że mimowoli gorzkie refleksje budzą się w każdym, co troską o dzień bieżący niezupełnie umysł ma wypełniony i znieczulony.

Aby nie mobilizować tu dalszego szeregu cyfr naszych lub porównawczych ze stosunków amerykańskich (patrz str. 161 Przegląd Statystyczno-gospodarczy), podam dla uzupełnienia przytaczanych jako wzorzec rozwoju i sprawności pracy przemysłowej zakładów Forda tablicę ilustrującą, iż analogiczny proces wzrostu sprawności robocizny ludzkiej ma miejsce także w rolnictwie amerykańskiem. Charakterystyczne jest to, że, mimo obfitości ziemi nieskolonizowanej w Ameryce, proces usprawniania działa tak konsekwentnie, że nie tylko powoduje na 1 akr. ziemi uprawnej stały wzrost plonów, ale jednocześnie też stały ubytek rąk roboczych. U nas odnośny wykres miałby wręcz odwrotną (w ostatnich czasach), a wielce niepokojącą dla rozwoju gospodarstwa narodowego formę, t. j. coraz większe nasycanie ziemi pracą ludzką, przy jednoczesnym spadku tak ilości sił mechanicznych (motorowych), jak i jednostek odżywczych, oddawanych z 1 ha do obrotu gospodarczego.

Wskaźniki ilości robotników rolnych, siły mechanicznej i zbiorów na 1 akr w Stanach Zjednoczonych A. P. (H. R. Tolley „The role of machinery in american agriculture", Masarykowa Akademia Pracy, Praga Czeska 1924).

rok	koni parowych	robotników	roli akrów	zbiory (ilość.)
1870	100	100	100	100
80	99	87	100	107
90	115	81	100	114
1900	117	79	100	123
10	131	78	100	123
20	171	68	100	135

Fakt, że na rynku polskim amerykańskie mięso, traktor, automobil, etc. tańsze są, niż koszt własny wyrobu miejscowego, ma tendencję szybkiego rozszerzania się na szereg wszelkich przedmiotów konsumcji odżywczej czy kulturalnej. Gdy wczoraj owoce, dziś szmalec amerykański, taniej wypada, to w dalszym rozwoju wypadków pytać należy, co się stanie, gdy nieomal cała wytwórczość nasza stanie pod znakiem zapytania, choćby nawet znikł ogół przyczyn uwstecznienia względem gospodarki w 1914 r.? Jakie środki, jaka siła patrjotyzmu potrafi przeciwdziałać nieubłaganym prawom ekonomji, prawom rozwoju życia i cywilizacji, powodującym, że coraz liczniej, jak szczury z tonącego okrętu, wyjeżdżają za ocean co tęższe i bardziej przedsiębiorcze jednostki, a emigracja ta może łatwo przybrać charakter epidemiczny. Masowa ucieczka kwiatu ludności, zwłaszcza kwalifikowanych i czołowych jednostek techniki, nauki, sztuki etc., to przecież „finis Poloniae", jakiego żadna wojna i prześladowanie nie dopięły...

Skład główny pracy dr. Dzieduszyckiego (200 str. 6 złp.) Toruń, Drukarnia Pomorska. Egzemplarze na żądanie dostarcza również Administracja „Ameryka-Polska".

Dlaczego samochód sam chodzi?

Co każdy wiedzieć powinien, niezależnie od tego, czy już posiada automobil, czy dopiero o nim marzy

SŁÓWKO OD REDAKCJI.

Bardzo znikoma liczba osób posiada elementarne choćby wiadomości o budowie i działaniu samochodu, który staje się coraz bardziej rozpowszechnionym środkiem lokomocji. Często nawet się zdarza, że ludzie, umiejący kierować samochodem, nie zdają sobie dokładnie sprawy z istoty działania silnika samochodowego.

Postaramy się więc, zapomocą szeregu artykułów, wyjaśnić naszym czytelnikom w sposób prosty i bynajmniej nie techniczny cały szereg zasadniczych prawd, dotyczących działania samochodu. Opowiemy więc szczegółowo o tem, co się dzieje z każdym kilogramem benzyny, od chwili gdy opuszcza on zbiornik samochodowy aż do chwili gdy w postaci spalinowych gazów wylatuje jako wydmuch samochodu. Obok tego wyjaśnimy sprawę smarowania (naoliwiania) mechanizmu, działania t. zw. karburatora, szybkościomierza, przekładni, hamulca i baterji elektrycznej. Ponadto podane będą wskazówki, dotyczące kierowania samochodem, ekonomicznego zużycia paliwa i t. p. Czytelnicy nasi znajdą więc w poniższych artykułach wszystkie najniezbędniejsze wiadomości o samochodzie i jego działaniu, w celu zaś lepszego ich uzmysłowienia, poparte one będą odpowiedniemi ilustracjami.

Niektórzy z czytelników wiedzą mniej więcej dzięki czemu kręci się koło samochodu i dlaczego po napełnieniu zbiornika benzyną otrzymujemy od silnika pewną ilość mocy, która kręci tylne koła samochodu, tocząc go szybko po ulicy lub szosie.

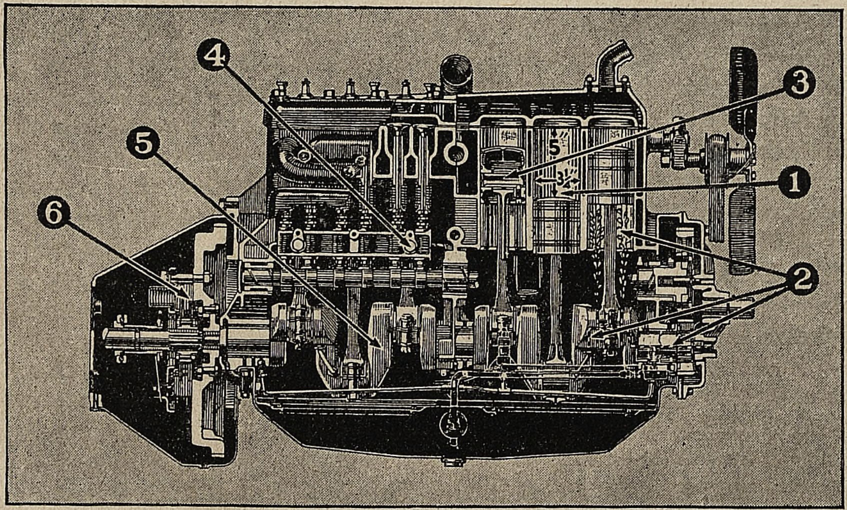
Nawet ci uświadomieni byliby jednak w wielkim kłopocie, gdyby całkowicie niekompetentny brat, siostra lub ojciec poprosili ich o jasne wytłumaczenie, w jaki sposób wszystko to się dzieje.

Wiadomo nam, że silnik automobilowy posiada cztery, sześć, osiem lub dwanaście cylindrów. Silnik czterocylindrowy można uważać jako zespół czterech silników jednocylindrowych, rozpatrzymy więc najpierw silnik jednocylindrowy. Aby łatwiej zrozumieć jego działanie, porównajmy go do armaty, która otrzymuje energję i zużywa ją następnie w pewnej części na szybkie wyrzucenie z lufy pocisku w przestrzeń. Energja ta, powstaje, jak wiadomo, wskutek wybuchu prochu, którym nabito armatę wtyle od pocisku.

W taki sam zupełnie sposób energja, pędząca samochód, wytwarza się wskutek wybuchu (zapłonienia) gazu, wpuszczonego do cylindra ponad tłokiem. Cylinder jest to okrągły otwór w bloku czyli głównej masie silnika, podobny do otworu lufy armatniej, a tłok jest to metalowy, krótki walec, dopasowany do wnętrza cylindra w taki sam sposób, jak pocisk do wnętrza lufy armatniej.

W ciągu jednego procesu, wytwarzającego moc silnika, tłok czyni dwa posuwy — na dół i do góry. Na podanym tu rysunku zilustrowane to jest w porównaniu z działaniem armaty: — Pierwszy posuw tłoka wsysa ze wzmiankowanego już karburatora do cylindra mieszaninę lotnej benzyny i powietrza. Przy posuwie tłoka do góry mieszanina ta zostaje ściśniętą (sprężoną) i tworzy ładunek podobny do ładunku, składającego się z prochu i pocisku w armacie. Sprężana w ten sposób w szczytowej części cylindra para benzyny zostaje zapalona zapomocą iskry elektrycznej, wywołanej w tak zwanej „świecy", co powoduje wybuch pary benzyny, podobnie do tego, jak lont lub iskra elektryczna wywołują wybuch prochu w armacie.

Siła wybuchu przepycha tłok ku dołowi, który wykonywa wówczas posuw roboczy czyli napędowy. Następnie tłok przesuwa się z powrotem do góry, do swej początkowej pozycji, usuwając przez to z cylindra spaliny czyli gazy, wywiązane wskutek spalenia benzyny. Działanie takie stanowi zasadę tak zwanego czterotaktowego, benzynowego silnika wewnętrzne-



Widok ogólny silnika w przekroju. — 1. Tłok, 2. Kanały naoliwiające, 3. Czop tłokowy, 4. Przekładnia rozrządowa dla zaworów, 5. Wał korbowy wykorbiony, 6. Sprzęgło.

go spalania, ponieważ mają tu miejsce cztery posuwy tłoka, z których jednak tylko jeden jest posuwem roboczym, t. j. dającym pracę.

Gdyby silnik samochodowy posiadał tylko jeden cylinder, to musiałby on mieć również bardzo ciężkie koło rozpędowe czyli zamachowe, które siłą swej bezwładności podtrzymywałoby obrót wału silnika, a więc i przesuwało tam i z powrotem tłok w celu usunięcia spalin, wessania mieszanki i sprężenia jej.

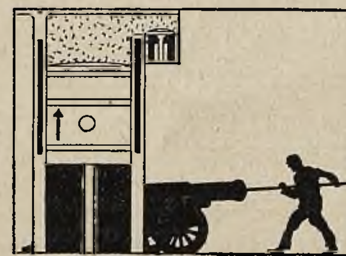
Silnik czterocylindrowy, zastosowany w większości samochodów, jest urządzony w ten sposób, że gdy w jednym cylindrze tłok przesuwa się w dół, wykonywając posuw roboczy, to w trzech pozostałych tłoki wykonywają trzy pozostałe posuwy czterotaktowego cyklu. W tych warunkach praca silnika jest równomierną, gdyż tłoki działają na zmianę, a chwila tak zwanego martwego punktu czyli znajdowania się tłoków u szczytu lub u dołu posuwu (skoku) i otwierania lub zamykania się zaworów jest bardzo krótka. W razie użycia sześciu lub jeszcze większej ilości cylindrów trwające jednocześnie posuwy robocze odpowiednio się dodają.

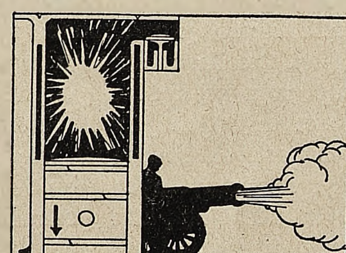
Moc czyli siła, wytworzona w czasie roboczego ruchu w dół tłoka, została ujarzmioną i zużytkowaną w taki sam sposób, jak siła nogi cyklisty, naciskająca w dół pedał w czasie jazdy na rowerze: korbowód połączony jest jednym końcem z dolną częścią tłoka, a w drugim końcu z korbą wału silnika. W chwili przesuwania się w dół tłoka korbowód czyli drążek korbowy popchnięty zostaje również w dół i wskutek tego kręci korbę wału, podobnie jak nogi cyklisty kręcą oś kółka łańcuchowego roweru. Ruch obrotowy wału korbowego znajdującego się w dole silnika przekazany zostaje wtył za pośrednictwem sprzęgła, kół zębatych, wału napędowego i tak zwanego przęgła uniwersalnego do tylnej osi samochodu. Obrót wału napędowego przekazany zostaje zapomocą układu kół zębatych, umieszczonych na tylnej osi, do wału osiowego, dzięki czemu obsadzone na tym ostatnim koła kręcą się i samochód toczy się po drodze.

Aby jednak można było zassać do cylindra parę benzyny, trzeba go przedtem u szczytu otworzyć, a następnie zamknąć tak, aby cała siła wybuchu naciskała i przesuwała tłok ku dołowi. Oprócz tego musi tam być drugi odpowiedni otwór otwarty akurat wówczas, gdy spaliny należy usuwać z cylindra. Zadanie to spełniają klapki czyli grzybki zaworowe. Klapka wpustowa jest urządzona w ten sposób, iż otwiera się w chwili, gdy tłok rozpoczyna swój posuw zasuwający ku dołowi, dzięki czemu para benzyny, dopływająca z karburatora, wpada do cylindra w miarę przesuwania się w dół tłoka, wytwarzającego zasysanie. Klapka ta zamyka się i gazy pozostają zamknięte w cylindrze w ciągu ruchu do góry tłoka przy posuwie sprężającym i w ciągu ruchu na dół przy posuwie roboczym.

1

1. Posuw zasysający.— Ruch ku dołowi tłoka, zasysając mieszankę benzyny z powietrzem do cylindra, naśladuje nabijanie prochem armaty starożytnej. Wpustowy zawór jest tu otwarty, a wylotowy zawór zamknięty.

2

2. Posuw sprężający.— Ruch ku górze tłoka spręża ładunek mieszanki, co jest podobne do ubijania ładunku, składającego się z prochu i kuli w lufie armaty. Oba zawory są zamknięte.

3

3. Posuw roboczy (wybuchowy). — Iskra elektryczna powoduje wybuch ładunku mieszanki, co przypycha tłok ku dołowi zupełnie podobnie, jak wybuch prochu w armacie wyrzuca pocisk z lufy. Oba zawory są zamknięte.

4

4. Posuw wydmuchowy (usuwający). — Tłok powraca do swej początkowej pozycji, usuwając przez to spaliny z cylindra i gotuje się do ponownego posuwu zasysającego. Zawór wylotowy otwarty, a wpustowy — zamknięty.

Po dokonaniu się posuwu roboczego czyli wybuchowego otwiera się druga klapka, zwana wydmuchową, przez którą uchodzą gazy, powstałe po spaleniu benzyny w miarę ruchu tłoka ku górze; przy posuwie wydmuchowym klapka ta otwiera drogę gazom wydmuchowym do kanałów, prowadzących przez tłumik do rury wydmuchowej.

Na wale rozrządowym obsadzone są na stałe owalne tarcze czyli t. zw. kułaczki, które w chwili obrotu wału popychają ku górze i w dół drążki zaworowe, które zkolei otwierają i zamykają klapki. Wał rozrządowy, pompka do wody chłodzącej cylindry, prądnica elektryczna i inne pomocnicze mechanizmy, otrzymują napęd od wału korbowego za pośrednictwem odpowiednich kółek zębatych lub łańcuchów.

Każdy z istniejących typów silników samochodowych posiada swój odrębny rozrząd, czyli typ zaworów. Zawór, pokazany na podanej tu ilustracji, stosuje się w większości silników samochodowych pod nazwą zaworu grzybkowego, w innych typach silników zawory są umieszczone w innych pozycjach, ale działanie ich jest takie samo.

W oprac. inż. Z. Koczorowskiego.

Marnotrawstwo w przemyśle

W opracowaniu Cezarego Łozińskiego

(dokończenie)

PRZODOWNIK OSZCZĘDNOŚCI

Zapytany, w jakiej mierze zostały zredukowane wydatki firmy na narzędzia w rezultacie tego ścisłego systemu gospodarki narzędziowej, prezes odpowiedział:

„Jestem przekonany, że zostały one zmniejszone o jedną trzecią, a być może nawet o połowę. Przed wprowadzeniem nowego systemu nasze spisy narzędzi były na tyle luźno prowadzone, że ścisłe porównanie nie jest możliwe. Zmiana wywarła wysoce dodatni wpływ z wielu stron; ożywiła ona zmysł oszczędności w całem przedsiębiorstwie i wyeliminowała z naszych szeregów wielu niedbałych, opieszałych i lekkomyślnych pracowników. Jedno odbicie naszej kampanji przeciw niedbalstwu jest widoczne w naszym systemie rachunkowości; dzisiaj biurowa kopja każdej wychodzącej faktury wykazuje ściśle koszt każdej pozycji fakturowanej. Ma to znaczny wpływ na nasz personel sprzedający, gdyż wiele naszych sprzedaży składa się z robót specjalnych, które muszą być kalkulowane przez sprzedawców. Przy zastosowaniu tej nowej metody rachunkowości ujawnia się natychmiast każde niedbalstwo kalkulacji sprzedającego, lub też wykazuje, jeżeli który sprzedający, idąc po linji najmniejszego oporu, sprzedaje jedynie artykuły, które zapewniają nam najmniejsze zyski. Obecny ucisk oszczędności nie pozostaje bez pewnej kompensacji. Od góry do dołu budujemy organizację sumiennych i oszczędnych pracowników, którzy się ćwiczą w unikaniu marnotrawstwa w jakiejkolwiek postaci".

Jaką drogą obudzić zainteresowanie pracowników do unikania marnotrawstwa i zmniejszenia kosztów produkcji, jest obecnie bardzo żywą sprawą w całym przemyśle. W jednem przedsiębiorstwie, zatrudniającem całą armję pracowników, prowadzona jest intensywna kampanja, zmierzająca do tego, aby każdego uczynić uważnym i energicznym siewcą oszczędności. Kampanja ta opiera się na przeświadczeniu, że tylko robotnicy mogą uczynić ją skuteczną. Przodownik oszczędności z administracji centralnej jest czynny w jednym zakładzie po drugim, należącym do firmy. Pierwsze jego wezwanie do robotników jednego z naszych zakładów o podawanie rad, w jaki sposób da się zaoszczędzić pieniądze dla firmy, miało jako wynik tylko dziesięć zgłoszeń, z których sześć znalazło natychmiastowe zastosowanie. Jednakże w pierwszych dwóch tygodniach następnego miesiąca zostało zgłoszone 139 rad. Wypowiadając się o tem, wędrowny przodownik oszczędności orzekł:

„Każda z powyższych rad jest wynikiem poważnego rozmyślania osobnika bezpośrednio zajętego przy wytwórczości. Wiele z nich jest całkiem praktycznych. Lecz odgłos na wezwanie ma przedewszystkim znaczenie jako wyraz ducha panującego w firmie. Wpływ jego dosięga pracowników w ich życiu prywatnem; sięga on poza sferę ich stosunku do firmy. Wielu z nich, jak mogłem się przekonać rozumuje w ten sposób: „Jeżeli jest koniecznem dla firmy, aby się stała sknerą, to czy nie będzie i dla mnie dobrze pójść za tym przykładem w moich sprawach domowych?" I zaczynają postępować odpowiednio. Jest to najlepsza agitacja na rzecz indywidualnej oszczędności, jaka kiedykolwiek była przeprowadzona".

Należy przyznać, że niektóre zakłady stosowały u siebie metody oszczędnościowe już przed laty, lecz nie da się to powiedzieć o przemyśle w ogólności. Wojenny nacisk na szybkość produkcji, bez względu na koszt, stłumił ducha oszczędności przemysłowej do tego stopnia, że pozostały z niego zaledwie ślady.

Obecnie nawet te zakłady, które stanowią wyjątki ze wspomnianego prawidła i oddawna stosowały systematyczne metody oszczędnościowe, coraz to silniej przykręcają śruby oszczędnościowe, aby je mocniej zacisnąć. Niedbałe i zbyt swobodne metody gospodarki narzędziowej, materjalnej i rekwizytów szybko obecnie zanikają.

Ciekawe oświetlenie uboczne wielkiej kampanji oszczędnościowej w przemyśle dostarcza handel odpadkami.

— Jak stoi obecnie sprawa pod względem ilości odpadków?—spytano najpoważniejszego handlarza odpadków w Dolinie Rzeki Lisa.

„Ilość coraz to się zmniejsza i coraz to pogarsza się gatunek, — była natychmiastowa odpowiedź.— Przedsiębiorstwa przemysłowe w tych stronach, które korzystają z najlepszych referencyj kredytowych, oferują mi najmarniejsze odpadki i w najmniejszej ilości. Umiejętność unikania odpadków podniosły one do stopnia wiedzy. Handlarz odpadkami żyje z marnotrawstwa i niedbalstwa. Gdy przemysł staje się sknerą, jego połów staje się rzadszym i nędzniejszym, teraz zaś stał się on szczuplejszym niż kiedykolwiek przedtem".

Intensywność kampanji przeciw ilości odpadków i marnotrawstwu doskonale ilustruje doświad-

czenie wielkiego fabrykanta ubiorów męskich. Jego kierownik ruchu mówi:

„Pewnego dnia spostrzegłem, jak robotnik wyrzucał koniec nitki jedwabnej około dwóch stóp długości. Natychmiast przyszło mi na myśl, że nici jedwabne od czasów przedwojennych podrożały o całe 150% i obecnie kosztują $ 12.50 za funt. To mnie ruszyło w pogoń za końcówkami nici. Stwierdziłem, że większość pracowników marnuje około sześciu cali lub więcej na szew. Zostali oni powiadomieni o koszcie nici jedwabnych i o konieczności ich oszczędzania. Wynik był zdumiewający. Długie końcówki nici znikły całkowicie. Czysty wynik tej drobnej oszczędności w tym sezonie wyniesie co najmniej tysiąc dolarów".

W odpowiedzi na przypuszczenie, że charakter fabrykacji ubiorów prawdopodobnie wyłącza jakiekolwiek poważne oszczędności przy pomocy środków mechanicznych, ten sam kierownik ruchu wypowiedział się w następujący sposób:

„Nieprawda! Wszystkie ubiory są krojone z form papierowych. Dla każdego ubioru musi być osobna forma. Każda odmiana fasonu czy wymiaru wymaga formy wzorcowej, podług której wycina się duplikaty, tak aby wszyscy krojczy mogli być obsłużeni bez straty czasu. Kiedy konieczność oszczędności jeszcze nas nie przycisnęła, stosowaliśmy powszechnie przyjęty sposób wykrawywania takich form ręcznie. Myśl, żeby miały być wykrawywane jakim innym sposobem, wydawała się wykroczeniem przeciwko najświętszym tradycjom zawodu. Jednakże konieczność zmusiła nas do rozważenia, w jaki sposób obniżyć koszt wykrawywania form.

OSZCZĘDNOŚĆ NA FORMACH

„W wyniku doszliśmy do ręcznej maszyny do wypiłowywania form, zapomocą której wszystkie nasze formy są wycinane. Zadanie sprowadzało się do wyszukania odpowiedniej formy zębów. Obecnie wycinamy w jednej paczce całe pięćdziesiąt identycznych form — w czasie nie dłuższym niż potrzebny na wycięcie pojedyńczej formy dotychczasowym sposobem. Nasze formy, przy dawnym ręcznym sposobie, kosztowały nas około $ 50.000 na sezon; maszyna ręczna zredukowała ten koszt do blisko $ 10.000. Przyrząd ten oznacza oszczędność setek tysięcy dolarów dla całego przemysłu konfekcji ubiorów.

„Lecz równocześnie przyrząd ten rozwinął niespodziewane uboczne zdolności oszczędnościowe. Fabrykanci ubiorów używają tysiące koziołków do prasowania, — podobnych nieco do małych desek do prasowania. Są one robione z twardego drzewa i kosztują w handlu cztery do pięciu dolarów za sztukę. Dzisiaj robimy te koziołki sami, wycinając je tą samą maszyną ręczną, która wycina formy. Oszczędność na tem wynosi całe trzy ćwierci dawnego naszego wydatku na koziołki i u nas wynosi kilka tysięcy rocznie.

„W walce o obniżenie kosztów produkcji wprowadziliśmy bardzo prosty mały przyrząd w postaci sprawdzianu dla szybkiego ułożenia formy na materjale, co nam oszczędza około 5 centów na garniturze. Laikowi może się to wydać drobnostką. Lecz przy produkcji około 400.000 jednostek stanowi to solidną sumę $ 20.000. Albo znowu obmyśliliśmy inny drobny przyrząd, który zapobiega zmarnowaniu przez robotników około 3 do 6 cali paska na każdej parze spodni. Jest oszczędność jednego centa na parze.

„Doznaliśmy wydatnej pomocy ze strony naszych pracowników. Jeden z nich, z bardzo ważnego wydziału, dał nam pomysł, który bez żadnego zwiększenia kosztów powiększył wydajność tego wydziału więcej niż o 10%. Albo znowu wyrobiliśmy normalja, które zwiększyły produkcję o 15 do 20% przy równoczesnem polepszeniu wykonania — całkiem poważna oszczędność! W sprawie współdziałania dyrekcja jak najdalej idzie na spotkanie robotnika. Cały szereg zadań, dawniej wykonywanych na dniówkę, jest obecnie wykonywany akordowo.".

SYSTEM BRYGAD

„Wielkie firmy konfekcji ubiorów w Ameryce dzisiaj żyją z tego, co oszczędzą, co uratują od zmarnowania i co zaoszczędzą na koszcie wydajnej robocizny. Te oszczędności zapobiegły, przynajmniej narazie, konieczności obniżenia skali zarobków".

Jedna firma konfekcji ubiorów w Rochester, pod wpływem dążenia oszczędnościowego, skonstruowała maszynę do ostatecznego odprasowywania palt. Operacja ta uprzednio kosztowała firmę $87^1/_2$ centa za sztukę; obecnie koszt wynosi tylko 40 centów za sztukę. Ponieważ produkcja tej firmy wynosi rocznie około 600.000 palt, zatem oszczędność z tego źródła wynosi około $ 285.000.

Otrzymanie większej wydajności na jeden dolar wypłaty stało się celem całego przemysłu, który doszedł do wniosku, że nie może nadal egzystować, o ile cel ten nie zostanie osiągnięty. Osiągnięcie tego celu bez uciekania się do starego środka obniżenia zarobków pracowników lub poważnej redukcji ich liczby jest zadaniem, które wymaga najwyższej doskonałości talentu administracyjnego. Ogólny kierunek, w którym ten wysiłek podąża, polega na tem, aby robotników dopuścić do tego, co się im należy, wynagradzając pracę ściśle podług jej wydajności. System płac akordowych jest najprostszym i najbardziej rozpowszechnionem skrystalizowaniem wysiłku oparcia wynagrodzenia na podstawie produkcyjności; system brygadowy jest prawdopodobnie najdoskonalej rozwiniętą formą wynagrodzenia akordowego. System ten w zasadzie przekazuje nadzór członkom brygady, która otrzymuje wynagrodzenie zbiorowe za wytwórczość zbiorową. Każdy z członków, któryby wykazał tendencje opieszałości, brak kompe-

tencji czy też obojętność — podlega wewnętrznej dyscyplinie brygady, gdyż usterki jego obniżają wytwórczość całej brygady, skalę oraz ogólną sumę jej wynagrodzenia. Przy tym systemie majster w zasadzie pracuje dla brygady, nie zaś brygada dla majstra; jego też zadaniem jest czuwać, aby nie było zatrzymania z powodu braku materjału do pracy.

Prezes wielkiej firmy samochodowej w ten sposób osądził system brygadowy:

„Jest to najbardziej skuteczny środek oszczędności w produkcji, jaki nam się dotychczas udało znaleźć. Zawdzięczając mu, jesteśmy w możności produkować o 15% taniej niż nasza konkurencja. Mówi to samo za siebie! Nasza firma dąży przedewszystkiem do tego, aby osiągnąć wytwórczość pewnej ilości wozów dziennie — gotowych do ruchu o sile własnej. To jest właśnie jednostka, która służy za podstawę do wynagrodzenia robotników. Członek brygady otrzymuje u nas, dajmy na to, 50 centów za godzinę za to, że jest na robocie, i w dodatku otrzymuje swój udział z ogólnej sumy, otrzymywanej przez brygadę za wykonanie przypadającej na nią części pracy przy produkcji dziennej, dajmy na to, 400 wozów dziennie. O ile wydajność przewyższa tę cyfrę, wówczas dolicza się pewne dodatkowe wynagrodzenie w postaci premji. Nie odbiegałoby to daleko od ścisłego określenia, gdybyśmy opisali ten system w sposób następujący. Brygada jest spółką pracowników, która jest zobowiązana kontraktem z naszą firmą do wykonania określonej ilości prac dziennie po cenie określonej, z potrąceniem za niedoprodukcję i z premją za nadprodukcję. Każdy z członków brygady ma pewne gwarantowane wynagrodzenie, wynoszące równowartość 50-ciu centów na godzinę i równocześnie przypada na niego obowiązek wykonania ściśle określonej ilości pracy, potrzebnej do utrzymania tempa przypadającej na brygadę produkcji na poziomie, przy którym brygada uniknie potrącenia i otrzyma premję.

„Gdyby się jednak zdarzyło, że firma spowodowałaby wstrzymanie czy zwolnienie biegu danego ogniwa swej produkcji, wówczas ona płaci pewne odszkodowanie w postaci tak zwanego „wyrównania brygadowego". O ile robotnika zachęcamy do stawienia się do pracy, przy której przypuszczalnie będzie mógł zarobić, dajmy na to, osiemdziesiąt centów, i następnie nie damy mu możności otrzymania tego zarobku, gdyż nie zdołamy dostarczyć mu zatrudnienia w takiej ilości, jaką on mógłby wykonać, przyjęliśmy na siebie moralne zobowiązanie, iż skompensujemy go za to, czego nie zdołał zarobić z racji naszego uchybienia.

„Lecz można być pewnym, że kierownictwo firmy wytęża siły, aby uniknąć potrzeby „wyrównania brygadowego". Dla przykładu mogę przytoczyć, że nasze sprawozdania wykazują, iż szliśmy przez dwadzieścia siedem tygodni bez narażenia się na tego rodzaju rygory. System brygadowy może być scharakteryzowany jako nieoficjalna forma reprezentacji pracowników w zarządzie przedsiębiorstwa, dlatego, że zdaje się dawać taki głos w tej sprawie, jakiego sobie mogą słusznie życzyć. Przypuśćmy dla przykładu, że firma wyrobiła typ maszyny zaoszczędzającej pracę, czy też nowy jakiś plan, któryby wydatnie zwiększył zarobki pewnej brygady. Wymagałoby to ponownego przekalkulowania stawek wynagrodzenia, tak aby firma otrzymała poważną korzyść z uzyskanej oszczędności, dając równocześnie słuszny udział w tej korzyści robotnikom.

„Wówczas powiadamy brygadzie: „Pracujcie w przeciągu tygodnia według obecnych stawek: to da słuszną podstawę dla ich sprostowania". Zwiększenie zarobków przy nowym porządku daje miarę osiągniętej oszczędności. Wówczas przedstawiciele brygady konferują wespół z przedstawicielami firmy i określają bez trudności, jakie winny być nowe wykładniki. Czemu mielibyśmy mieć trudności, gdy z liczby 5.000 pracowników ruchu, 2.000 otrzymuje ponad $ 2.000 rocznie? Do tego wszyscy płatni od godziny. Ściślej jeszcze, mamy 3.225 nie pobierających pensji pracowników, zapisanych na tygodniowej liście wypłaty, którzy otrzymują od $ 2.000 do 2.500 rocznie, oraz 191, którzy pobierają powyżej tej sumy. Więcej niż 90% naszych ludzi pracuje na zasadach brygadowych".

POUCZAJĄCE DOŚWIADCZENIE

Prawdopodobnie mozolna i skromna praca transportu pomiędzy warsztatami jest gałęzią wytwórczości, która doświadcza najdalej idących zmian z ręki zwolenników oszczędności doby dzisiejszej. Niełatwo jest obecnie znaleźć zakład przemysłowy, nieco większych rozmiarów, gdzieby nie był instalowany lub rozbudowywany system mechanicznego transportu materjałów i części w procesie fabrykacji. Widocznie przemysł doszedł do wniosku, że przestarzałe metody, opierające się na sile ludzkiej w transporcie, są marnotrawstwem, że trwonią pracę ludzką, że połączone z niemi trudy wywołują zbyt wielkie fluktuacje personelu robotniczego, że przy ich stosowaniu procent uszkodzeń i połamań jest wysoki i że przerywają one równomierny przepływ wyrobu po całym zakładzie od jednego stadjum wytwórczości do następnego.

Ta zdecydowana i wytężona kampanja przemysłu na rzecz obniżenia kosztów produkcji przez unikanie marnotrawstwa — pracy, materjałów, narzędzi czy też rekwizytów — ma liczne pierwiastki zachęcające, które należy podkreślić. Jest ona wyrazem obiecującego zachowania się ze strony zarówno pracodawców, jak i pracujących. W istocie swej, jest ona wysiłkiem przemysłu, aby móc obniżać ceny bez poświęcenia interesów rzesz pracujących, aby wprowadzić środki ekonomicznie

uzasadnione, prowadzące do wyplenienia marnotrawstwa i do zwiększenia produkcyjności pracy. Równocześnie wyjawiła ona ducha współdziałania ze strony robotników, bardzo obiecującego w przeciwieństwie do obojętności, opozycji lub wręcz sabotażu, które były klęską produkcji czasu wojennego. Jest to wskaźnikiem, że wielka masa pracowników postąpiła odtąd bardzo znacznie na drodze zdrowego rozsądku.

Prócz tego, zasadnicza tendencja tej systematycznej kampanji oszczędnościowej jest wysoce budująca: konsekwentnie bowiem rozwija racjonalniejszą administrację i poprawniejsze planowanie produkcji. Przytem rozwija także pomysłowość i talenty wynalazcze tysięcy pracowników. Suma tych korzyści z konieczności musi być bardzo wielka, gdyż już przyczyniła się wydatnie do udoskonalenia mechanizmu produkcji. Naogół doświadczenie oszczędnościowe przemysłu wydaje się być całkiem pomyślne dla wszystkich zainteresowanych. Przemysł i całe życie gospodarcze oprze się dzięki temu na lepszych i zdrowszych podstawach, przyczem jest pewnem, że i rzesze pracowników będą miały udział w uzyskanych korzyściach.

Nigdy nie było odpowiedniejszej chwili, zdaje się, dla roztropnego pracownika, aby zdobyć praktyczne zrozumienie, wynikające z bezpośredniej obserwacji, tych czynników w produkcji, które wpływają na zapewnienie mu zwiększonego wynagrodzenia za jego wysiłki. Mając oczy otwarte, może on się bardzo wiele dowiedzieć z korzyścią dla samego siebie. Chęci jego do współpracy w usunięciu marnotrawstwa, ulepszeniu metod produkcji i otrzymaniu dla pracodawcy zwiększonej wytwórczości na każdy dolar wypłacanego zarobku wzrastać będą w miarę zrozumienia znaczenia odbywającego się obecnie w przemyśle procesu.

MORDERSTWO REKLAMĄ

W mieście Portland, stanu Oregon, Nora Hollis, autorka książek, osnutych na tle biblijnem, a między innemi pracy p. t. „Czy szatan jest złem"?, zabiła wystrzałem z rewolweru sędziwą gospodynię mieszkania, w którem mieszkała, Ewę Bradley, poczem sama dała znać policji o morderstwie popełnionem.

Na pytanie naczelnika policji, dlaczego dopuściła się morderstwa, odparła spokojnie: „Dla pozyskania w prasie rozgłosu dla mej najnowszej książki"?

Nie ulega wątpliwości, że morderczyni cierpi na obłęd religijny, tak często zdarzający się śród fanatycznych wyznawców różnych sekt amerykańskich.

OLBRZYMIE PRZEDSIĘBIORSTWO WYDAWNICZE

Jak donoszą z Nowego Jorku, założono tam nowe, olbrzymie przedsiębiorstwo wydawnicze.

Przedsiębiorstwo to ma dostarczać rynkowi księgarskiemu co najmniej trzy i pół miljona tomów rocznie. Wszystkie jego książki mają być bez wyjątku jednakowego formatu i sprzedawane będą publiczności po niskiej cenie dziesięciu centów.

Towarzystwo akcyjne, organizujące olbrzymi ten interes, posiada wpłacony już kapitał trzech miljonów dolarów.

PÓŁTORA MILJONA DOLARÓW ZA BIBLJOTEKĘ

Słynna bibljoteka francuska Roederera przeszła na własność antykwarjusza nowojorskiego, dr. Rosenbacha, za sumę półtora miljona dolarów.

Bibljoteka ta uchodzi za najbogatszy zbiór ilustrowanych dzieł oryginalnych z siedemnastego i osiemnastego wieku i liczy około 6.000 tomów z 8.000 rysunków. Najcenniejszemi w niej skarbami są ilustracje oryginalne Oudry'ego, w liczbie 276, do bajek Lafontaine'a, i 136 rysunków Fragonarda do „Szalonego Rolanda" Ariosta.

NAJWIĘKSZA BIBLJOTEKA ŻYDOWSKA

Największą bibljotekę, specjalnie żydowską, posiada obecnie żydowskie seminarjum teologiczne w Nowym Jorku.

Zbiór ten obejmuje 40.000 książek i 4.000 rękopisów, przeważnie spisanych na pergaminie, a zebrany był przez adwokata angielskiego, Elkana Natana Adlera, poważnego znawcę dziejów żydowskich.

Nowojorskie, żydowskie seminarjum teologiczne nabyło cenną tę bibljotekę, dzięki funduszom, uzyskanym od znanego bankiera, Mortimera Schiffa.

Najstarsze rękopisy bibljoteki sięgają 640-go roku. Bibljoteka obfituje zwłaszcza w materjały, tyczące się prześladowania żydów przez inkwizycję hiszpańską, i w rękopisy żydów arabskich, tyczące się medycyny, astronomji i geometrji.

RĘKOPIS Z DZIEWIĄTEGO WIEKU

Antykwarjusz monachijski, Norbert Rosenthal, dokonał w tych dniach ciekawego odkrycia.

Oto, badając okładkę rękopisu muzycznego z 1580 r., spostrzegł, że okładka ta jest sklejona ze starych, zapisanych kart pergaminowych.

Rozkleiwszy ostrożnie te karty i zbadawszy je naukowo, przekonał się, że jest to rękopis z dziewiątego wieku ery naszej, mniej więcej z 850 r., zawierający część pracy p. t. „Expositio in Leviticum" Rabanusa Maurusa, który był przez lat 20 opatem klasztoru w Fuldzie i zmarł w 856 r., jako arcybiskup moguncki.

Polska w Ameryce

Szkolnictwo i oświata

Autor poniższego artykułu jest jednym z najdzielniejszych propagatorów oświaty i dziennikarstwa polskiego na wychodztwie. Jest to pan Stanisłam Osada, który obecnie przebywa w Ameryce, delegowany dla nawiązania kontaktu pomiędzy naszemi a temtejszemi organizacjami kulturalno-społecznemi. Podczas walk „o Polskę" pochłaniających obecnie naszych Rodaków za oceanem p. Osada słowem i piórem niestrudzenie wzywa do niezrywania więzów z Ojczyzną.

W dniu wielkiego narodowego święta, gdy organizacje oświatowe całej Polski po raz pierwszy radzić będą nad ujednostajnieniem programu pracy oświatowej dla całego narodu, wielki jego odłam, żyjący w Ameryce, reprezentowanym nie będzie...

Wszystkie moje usiłowania, podjęte przy okazji rozsyłania zaproszeń Wydziału Wykonawczego jeszcze w czerwcu u. r., organizacjom tutejszym na Pierwszy Kongres Oświatowy, aby je do współudziału zachęcić, spełzły na niczem...

Straty materjalne wielu dziesiątków tysięcy rodzin, spowodowane katastrofą marki polskiej i rozpacz tych, którzy do Ameryki powrócili doszczętnie zrujnowani w kraju ojczystym, wywołała takie rozgoryczenie, że zarządy wszystkich organizacyj przeszły chłodno nad przedstawionem im zaproszeniem do porządku dziennego.

Pod wpływem dominującego tu teraz właśnie sentymentu nie mógłby zdobyć się na należytą ocenę wielkiej wagi tego Kongresu, przeoczywszy zupełnie to, że w staraniach nad podtrzymaniem polskości wychodztwa, których mimo wszystko, żadna z nich z programu swego wykreślić nie może, jak najściślejszy kontakt właśnie z organizacjami oświatowemi całej Polski należy wysunąć na plan pierwszy, bo bez jak najsilniejszego oparcia się o Polskę wszelkie usiłowania w tym kierunku żadnych nie mogą wydać owoców.

Fakt, że w Ameryce dziś jeszcze po 50 latach od czasu gdy powstały pierwsze polskie parafje, i pomimo tego, że już dwie trzecie ludności w nich należą do pokolenia tu zrodzonego, może być jeszcze mowa o Polonji amerykańskiej, zawdzięczamy polskiemu kościołowi i polskiej szkole parafjalnej. Przedewszystkiem zaś szkole. Im lepszą która parafja miała szkołę, tem lepiej wypadł jej egzamin z patrjotyzmu polskiego w latach wojny wszechświatowej i naszego udziału w walce o odbudowanie Państwa Polskiego.

Niestety, nie wszystkie parafje mają szkoły, a jeszcze mniej szkoły dobre, które w całej pełni stanęły na wysokości zadania.

Statystyka, do której materjały zbierałem przez lat trzy, a którą przy pomocy Poselstwa w Washingtonie i Konsulatów uzupełniłem w roku 1921, podaje pod tym względem cyfry następujące:

Stan	Ludność	Parafij	Szkół par.	Dzieci w szkole parafjal.	publicz.
Texas	19,330	21	8	1,009	1,320
Wisconsin	149,000	90	51	18,621	7,320
Illinois	413,226	70	63	46,139	11,930
Michigan	192,370	57	42	26,451	7,517
Indiana	42,168	23	16	6,312	1,603
Ohio	96,983	34	24	12,545	5,755
Pennsylvania	374,053	153	117	38.254	16.498
New York	298,790	88	71	25,182	22,192
New Jersey	115,004	36	29	13,759	5,739
Massachusetts	108,335	47	26	7,347	11,634
Connecticut	70,567	22	12	6,538	7,337
Vermont	3,568	2	1	300	285
New Hempshire	5,950	4	2	433	501
Rhode Island	10,900	6	2	300	1,320
Delaware	8,760	3	2	1,360	310
Maryland	27,850	6	6	2,850	1,200
Minnesota	56,248	42	19	4,884	2,834
South Dakota	3,450	2	1	140	80
North Dakota	6,450	8	2	228	165
Nebraska	24,296	18	7	1,812	1,485
Iowa	2,435	3	1	120	165
Kansas	4,400	2	2	607	23
Missouri	29,350	13	9	3,750	1,361
California	3,375	—	—	—	210
Montana	700	1	1	75	80
Oklahoma	1,650	1	1	100	75
Washington	2,140	2	—	—	344
West Virginia	7,360	6	4	745	451

Cyfry te, zestawione na podstawie przeważnie raportów ks. proboszczów, przedstawiają w rubryce ludności przedewszystkiem tych, którzy do polskości się przyznawali. W rzeczywistości, cyfra ta, gdyby objęła wszystkich tych, co z Polski przyjechali wraz z pierwszem i drugiem pokoleniem tu zrodzonem, byłaby o wiele większą i przekroczyłaby znacznie 3 miljony.

Tak samo rubryka, podająca liczbę dzieci uczęszczających do szkół publicznych, nie może odpowiadać rzeczywistości. Nie wszyscy księża wypełnili odnośną rubrykę kwestjonarjusza, nie wszyscy byli pod tym względem dostatecznie poinformowani. Nie objęła ona także tych dzieci, które uczęszczają do szkół parafjalnych innych narodowości.

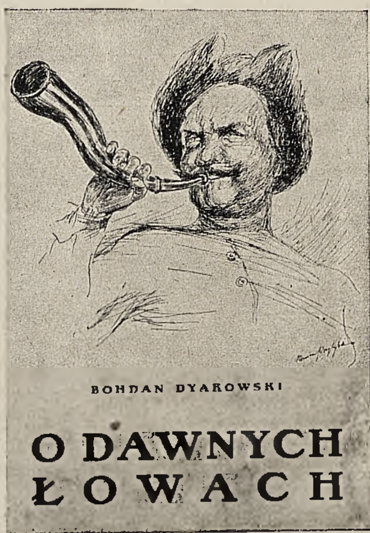
Ponieważ statystyka amerykańska wykazuje, że w stosunku do ogólnej ludności w wieku szkolnym znajduje się 18 procent, to, oceniając ludność polską na 3 miljony i stosując do niej tę samą miarę, dojdziemy do wniosku, że w wieku szkolnym będzie ona mieć 540,000 dzieci, czyli, że przeszło 300,000 dzieci naszych uczęszcza do szkoły niepolskiej, w której bezapelacyjnie się wynaradawia, dla Polonji amerykańskiej i dla Polski przepadając na zawsze.

A teraz zobaczymy, jaką i w jakim stopniu polską jest nasza szkoła parafjalna.

W pierwszych latach istnienia była bardzo biedną, ale całkowicie polską. Z biegiem lat, stale się ulepszając i z konieczności dążąc do tego, by stanąć na równym poziomie ze szkołą publiczną, musi dziś obejmować ten sam program, i nauka w języku polskim: religja, gramatyka i historji polskiej, a w wyższych klasach także literatury, odbywa się dodatkowo, w dodatkowych godzinach, tak że dziecko polskie w szkole parafjalnej uczy się codzień od 1 do 2 godzin dłużej, aniżeli w publicznej. Najgorszem zaś jest to, że używane do nauki języka i przedmiotów polskich podręczniki różnych nakładów i wydań nie stoją nigdzie na wysokości zadania i, o ile mi wiadomo, ani jedna ze szkół naszych nie korzysta pod tym względem ze zdobyczy na tem polu Polski w latach ostatnich.

Pod względem liczby godzin, poświęconych wykładom w języku polskim, są jednak różne odchylenia. Są szkoły po farmach i mniejszych osadach, w których przez połowę i więcej czasu szkolnego wykłada się w języku polskim, ucząc w nim także rachunków, geografji i innych przedmiotów, ale są też takie „polskie" szkoły parafjalne, niestety

O DAWNYCH ŁOWACH



I DAWNEJ ZWIERZYNIE

NAPISAŁ B. DYAKOWSKI

Z RYCINAMI W. NOWINA-PRZYBYLSKIEGO

WYDANIE DRUGIE

PIERWSZE WYDANIE TEJ KSIĄŻKI SPRZEDANO W CIĄGU MIESIĄCA!

Cena w opr. Zł. 7.50

TREŚĆ: Łowiectwo w minionych czasach i jego znaczenie.— Dawni myśliwi.— Dodatnie i ujemne strony łowiectwa.—Język i przysłowia myśliwskie.— Charakter psa, jego wady i zalety.—Psy między sobą oraz wobec innych zwierząt.—Pies w służbie u ludzi.— Psy myśliwskie. — Nazwy psów. — Niektóre przesądy, tyczące się psów. — Sokolnictwo zagranicą. — Sokolnictwo u nas. — Układanie psów myśliwskich. — Łowy z ptakami. — Sokół. — Orzeł. — Jastrząb i krogulec.—Puszcza Białowieska.—Żubry w puszczy Białowieskiej.— Dawne łowy na żubry i tury. — Znikanie żubrów oraz turów i łowy na nie w późniejszych czasach. — Wśród zawieruch wojennych. — Nazwy i zwyczaje, pochodzące od żubrów i turów. — Niedźwiedź na wolności w lesie. — Wyprawy na niedźwiedzie w pojedynkę.—Polowania z obławą.—Anegdoty i figle myśliwskie.—Chowane niedźwiedzie.

BAŚNIE KASZUBSKIE

NAPISAŁA ZUZANNA RABSKA

Z RYSUNKAMI MOLLY BUKOWSKIEJ

WYDANIE DRUGIE

PIERWSZE WYDANIE TEJ KSIĄŻKI SPRZEDANO W CIAGU MIESIĄCA!

Cena w opr. Zł. 7.50



Po raz pierwszy baśnie o polskiem morzu mają przemówić do duszy polskich dzieci i młodzieży. Po raz pierwszy wielu młodocianych czytelników, którym nie dano możności poznania morza, wsłucha się w jego pieśń potężnych żywiołów czasu burzy, w jego melodje serdeczne dzwoniących fal, srebrzonych słoneczną poświatą. Wsłuchując się w te melodje, rozmawiając z najstarszymi rybakami, wysnuła z tego wszystkiego znakomita poetka, p. Zuzanna Rabska, baśnie tęczowe o tęsknicach, wierzeniach i legendach z przeszłości tego ludu pomorskiego, tej ziemi i morza, nadewszystko zaś morza, które jest dla tego ludu ojcem i matką, życiem i Bogiem.

I oto snują się na stronicach świetnie wydanej książki opowieści przedziwne „O zatopionem mieście", „O helskich dzwonach", „O gdańskim zegarze", „O stolemach" (wielkoludach pomorskich), „O flądrze bałtyckiej", „O cudownym skrzypku", „O ostatniej syrenie helskiej" i wiele, wiele innych.

WYDAWNICTWA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 35.

coraz liczniejsze, z których zamerykanizowani księża, często za zgodą, a czasem nawet na wyraźne żądanie zamerykanizowanych rodziców, zupełnie usuwają język polski, nawet w nauce religji...

Do Zjednoczenia Kapłanów, na którego czele stoi ks. biskup Rhode i które programowo stoi na straży polskości szkoły parafjalnej, należy zaledwie 300 księży z ogólnej liczby 1200. Reszta nie chce się narażać amerykańskim biskupom i w gorliwości amerykanizatorskiej często posuwa się daleko poza otrzymane instrukcje...

Mamy także rozpaczliwie mało polskich zakładów naukowych średnich. Poza seminarjum i kolegjum w Orchard Lake, Mich., z przeciętną frekwencją 400 uczniów, kolegjum Związku Narodowego w Cambridge Springs, Pa., wraz ze szkołą rzemieślniczą, 350 uczniów, kolegjum św. Stanisława Kostki w Chicago, 320 uczniów, kolegjum św. Jana Kantego w Erie, Pa., 150 uczniów wyższej szkoły św. Trójcy w Chicago, 150 uczniów instytutu ks. Bosko w Ramsey, N. J., 100 uczniów i kolegjum św. Bonawentury w Pulaski, Wis., 100 uczniów, mamy jeszcze dla dziewcząt „akademję" Najśw. Rodziny z Nazaretu w Chicago z frekwencją 300 uczennic akademję w Lodi, N. J., 100 uczennic i akademję Zmartwychwstania Pańskiego w Norwood Park, Ill., 80 uczennic. To wszystko!

„Kolegja" te i „akademje" stoją przeciętnie na wysokości gimnazjów w Polsce, a pod względem programu wzorują się na ustroju innych kolegjów w Ameryce. Przyjmują zwykle uczniów z ukończoną 4 lub 5 klasą szkoły parafjalnej, albo publicznej, a kurs nauk przedłużają do 6 lub 7 lat, dzieląc go na dwie części: tak zwany kurs akademicki, odpowiadający publicznej szkole średniej (High School) i kurs filozoficzny, odpowiadający w skromnym rozmiarze programowi kolegjalnemu przy uniwersytetach. Uwzględniają one więcej wykształcenie klasyczne i mniej czasu aniżeli szkoły publiczne, poświęcają kulturze fizycznej. Językiem wykładowym jest angielski, a tylko religję, historję i literaturę wykłada się po polsku.

Jeżeli przyjmiemy za podstawę, że do polskich szkół parafjalnych uczęszcza 250,000 dzieci, a do tych szkół wyższych 2,500, to skonstatujemy, że przechodzi do nich tylko jedno dziecko na sto...

W zestawieniu z obliczeniami amerykańskiemi, które wykazują, że ze stu dzieci szkoły publicznej przechodzi do szkoły wyższej „High School" 25 dzieci, to — Polonji amerykańskiej statystyka ta wystawi bardzo smutne świadectwo.

Nie lepiej się przedstawia frekwencja uczniów polskiego pochodzenia w wyższej szkole amerykańskiej (gimnazja). Ze sprawozdania Komisji Immigracyjnej, która w latach 1908—1910 poddała badaniu 2 miljony emigrantów, a dotyczące dziatwy polskiej w 17 miastach, wynika, że do szkół wyższych amerykańskich dostarczyła ona z ogólnej swej liczby tylko 1.6 procent. Pod względem odsetku w wyższych zakładach publicznych Polacy są wyprzedzani przez wszystkie inne narodowości, z wyjątkiem Włochów, Litwinów i Rusinów.

Gdybyśmy po zastosowaniu miary Komisji Immigracyjnej przyjęli ten sam procent dla całego wychodztwa, to doszlibyśmy do wniosku, że we wszystkich polskich i amerykańskich szkołach wyższych (średnich) będzie razem około 10,000 uczniów i uczennic pochodzenia polskiego, czyli na 540,000 dzieci w wieku szkolnym niespełna 2 procent... Zestawienie z normą amerykańską, wykazującą 25 procent, wymownie świadczy o strasznem pod tym względem zacofaniu wychodztwa.

Tak samo nie może się poszczycić wychodztwo lepszemi rezultatami na polu wykształcenia kolegjalnego (odpowiada maturze 1 rok uniwersytetu) i uniwersyteckiego. I tu większy postęp daje się zauważyć na zachodzie, gdzie Polacy stanowią około 2 procent młodzieży w niektórych zakładach o poziomie uniwersyteckim, co, ze względu na skupianie się ludności polskiej po miastach, jest jeszcze znikomym odsetkiem. Według statystyki, ogłoszonej w Milwaukee, w miejscowych zakładach o charakterze kolegjalnym i uniwersyteckim w roku 1923 ukończyło studja 1,242 uczniów, a wśród nich 22 Polaków. Wedle cenzusu w roku 1920, liczy Milwaukee 323,979 mieszkańców, w czem 70,238 Polaków, zaczem na 10 tysięcy ludności polskiej przypada niewiele więcej jak 3 uczniów, gdy na 10 tysięcy pozostałej ludności w Milwaukee przypada 48 uczniów.

We wschodnich Stanach zaniedbanie jest jeszcze większe, ponieważ np. we wszystkich uniwersytetach i kolegjach Bostonu i okolicy, na przeszło 20,000 studentów, liczba Polaków nie przekracza 50, $^1/_4$ procent. Stosunkowo większy odsetek Polaków uczęszcza do katolickich kolegjów i uniwersytetów, utrzymywanych głównie przez jezuitów. Ze względu na większą grupę młodzieży polskiej, uniwersytet w Notre Dame w Indiana wprowadził wykłady języka, literatury i historji polskiej. Ze świeckich uniwersytetów podobną katedrę w formie lektorskiej „University Extension" posiada jedynie uniwersytet Columbia w Nowym Yorku.

Podobnie jak przez szkołę parafjalną i publiczną, urabiającą charaktery i dusze dzieci wychodźców w dwóch kierunkach: polsko-amerykańskim i wyłącznie amerykańskim, rozdwaja się też obecnie coraz wyraźniej prąd oświatowy, działający na dorastającą młodzież i starszych.

Przed wielu jeszcze laty byliśmy pod tym względem do pewnego stopnia zabezpieczeni słabą znajomością języka angielskiego w masach i dlatego wpływ organizacyj naszych był stale dominującym. Nie mieliśmy tu wprawdzie żadnej organizacji oświatowej tego typu, jak Towarzystwo Szkoły Ludowej, Macierz Szkolna, lub Tow. Czytelń Ludowych, bo prądy oświatowe i parcie w tym kierunku szło wyłącznie z dołu, bez programów, a siłą żywiołu, skutkiem czego szerzenie oświaty w masach, podnoszenie ich kulturalne i rozbudzanie uczuć obywatelskich brały sobie za cel wszystkie nasze towarzystwa i organizacje, które też przy pomocy prasy nie najgorzej się z tego obowiązku wywiązywały.

Świadczy o tem najlepiej egzamin, w czasie wojny złożony.

Wielkie zasługi na tem polu ma Związek Narodowy Polski, posiadający wielką bibljotekę z około 10,000 tomów i własne muzeum w Cambridge Springs, którego grupy pierwsze zaczęły urządzać obchody narodowe, odczyty, przedstawienia amatorskie, który też założył największą liczbę czytelń i bibljotek, których obecnie ma pod swoją kontrolą około 300.

Pracę podobną prowadzą też i inne organizacje, jak Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, posiadające także wielką bibljotekę w Chicago i wysyłające bibljoteczki wędrowne, a dalej Związek Polek, Unje Polskie, Stowarzyszenie Polaków w Ameryce w Milwaukee i wszystkie inne organizacje bratniej pomocy.

Większą jeszcze zasługę ma Sokolstwo polskie, jedyna obok Związku Śpiewaków organizacja czysto ideowa, która przed wojną potrafiła skupić pod swym sztandarem blisko 30,000 młodzieży i z blisko 6,000 swych druhów stworzyła podstawę do kadrów armji polskiej we Francji. W gniazdach sokolich stale obok ćwiczeń fizycznych są na porządku dziennym odczyty, pogadanki, wieczorki artystyczne, przedstawienia amatorskie i t. p.

W pracy tej osobną kartę ma Związek Śpiewaków Polskich z dwiema setkami swoich chórów i wytężoną pracą nad pielęgnowaniem pieśni polskiej, którą zawsze budził i podtrzymywał ducha narodowego.

W dawniejszych czasach dzielnie także pracował na polu oświaty Związek. Młodzieży Polskiej, w ostatnich latach coraz widoczniej się starzejący. (Należą do niego stale ci, którzy młodymi byli 30 i 25 lat temu).

Poza tem, w tych kołach, które się trzymają zdala od parafij, pracuje od roku 1908 Polski Uniwersytet Ludowy w Chicago, który przy pomocy Związku Socjalistów Polskich rozwinął dość rozgałęzioną sieć oddziałów w wielu kolonjach. Z inicjatywy tych samych kół zorganizowano też kilka szkółek wieczornych i sobotnich z wykładami języka polskiego dla dzieci, uczęszczających do szkół publicznych, z frekwencją jednakże nie przekraczającą tysiąca dzieci.

63

Prasa kulturalna i oświatowa i życie towarzyskie Polonji skupia się zarówno przy tak zwanych halach parafjalnych, jak i domach narodowych, czy ludowych i sokolniach, których w ostatnich latach bardzo wiele powstało. We wszystkich tych budynkach są obok sal do posiedzeń dla towarzystw i klubów, większe sale ze scenami, w których się odbywają przedstawienia amatorskie, koncerty, większe zebrania i zabawy. Mieszczą się w nich także czytelnie i bibljoteki. W większych miastach, przy bogatszych parafjach, są też sale dobrze zaopatrzone w przyrządy gimnastyczne i sportowe, kręgielnie i t. p. Pod tym względem najlepiej zaopatrzone są sokolnie, których liczba także stale się zwiększa, bo ambicją każdego gniazda jest posiadanie własnego dachu nad głową.

Ale o ile dawniej, kiedy wskutek małej znajomości języka angielskiego cały ruch oświatowy i wszystkie prace nad kulturalnem i obywatelskiem podniesieniem wychodztwa w tych ramach prawie wyłącznie się rozwijały, dziś zmieniła się sytuacja.

Podobnie jak z dziatwą, którą nam dziś w znacznej już większości wychowuje amerykańska szkoła publiczna, od wielu już lat do konkurencji z naszemi organizacjami stanęły organizacje amerykańskie. Od wielu już lat kształci nam starszych amerykańska szkoła wieczorna, ze zgóry zakreślonym planem wychowania ich w amerykańskim duchu obywatelskim, organizując wykłady nauki języka angielskiego, historji i ustroju kraju, oraz zawodów praktycznych. Do pomocy jej stanął cały szereg zrzeszeń społecznych, instytucyj i organizacyj, jak Young Man's Christian Association (Y. M .C. A.), Young Women Chr. Assn., Boy Scouts of America, Knights of Columbus i innych. Z ich inicjatywy powstają w dzielnicach naszych i innych obcych narodowości liczne gmachy, ich własne i kosztem miasta budowane, t. zw. Settlement Houses, które wabią doskonałemi urządzeniami i bezpłatnością użytku, a pozostające pod kierownictwem t. zw. „social workers", i drogą odczytów, zabaw, wycieczek, lektury, czy przedstawień, zapoznawają przybyszów z nowym krajem i jego urządzeniami, oraz wciągają ich w towarzyski i społeczny kontakt z życiem Ameryki.

O ile dawniej nie przedstawiało to dla narodowego życia polskich kolonij żadnego niebezpieczeństwa, bo Polak, który w starszym wieku tu przybył, nawet gdy opanował język angielski i brał żywy udział w życiu Ameryki, nigdy nie zrywał wszystkich węzłów, łączących go z Polonją i Polską, o tyle teraz, gdy przybysze z Polski stanowią zaledwie jedną trzecią ogółu kolonij, a reszta to już drugie, a nawet trzecie pokolenie, zrodzone w Ameryce, to współzawodnictwo amerykańskich organizacyj, odciągające nam ku sobie najlepsze elementy nasze, staje się nad wyraz groźnem i wymagać będzie niesłychanego wysiłku z naszej strony, aby nam nie zagarnęło wszystkich, zacierając w następnych pokoleniach wszelkie ślady polskości i czyniąc tem krzywdę nawet Ameryce, przez zniszczenie dróg, któremi kultura wielkiego narodu polskiego wnieść może i powinna także swoją daninę na ołtarz tej tworzącej się tu nowej kultury, do której powstania przyczyniają się wszystkie cywilizowane narody świata.

Ale największe niebezpieczeństwo grozi nam ze strony tych organizacyj i klubów amerykańskich, w które się wiąże młodzież polskiego pochodzenia z własnej inicjatywy.

Mamy już w ten sposób zorganizowaną całą prawie inteligencję tu urodzoną i wykształconą, przedewszystkiem w osobnych grupach Związku Narodowego Polskiego i kilku klubach specjalnych. Tu jednak stoi jeszcze na straży świadomość poczucia przynależności do narodu polskiego, stale podkreślana i zaznaczana, a uszlachetnia je praca społeczna. Gorzej jest z drobniejszemi klubami młodzieży, które liczą się już na tysiące, a które z żadną pracą społeczną nic już nie mają wspólnego, bo główną podstawę stanowi tam sport, zabawa i dogadzanie najniższym instynktom, poza kontrolą starszych i na które żadna kultura, ani polska, ani amerykańska, nie mają już żadnego wpływu, owoce zaś, to już tylko demoralizacja i wulgarna amerykanizacja, z której jednak Ameryka żadnej nie będzie miała pociechy.

W tem oświetleniu nietrudno już zrozumieć, jak groźną jest sytuacja, w jakiej się znajduje obecnie amerykańskie wychodztwo nasze.

Zwiększa ją jeszcze ogólna apatja, zniechęcenie, brak wiary w siły własne i całego narodu polskiego, oraz całkowity zanik zaufania do Polski wogóle, spowodowany całym szeregiem przyczyn, o których była mowa powyżej, do tego stopnia, że nawet wobec tego, iż szowinizm amerykański znacznie już osłabł w swem powojennem napięciu, po stronie polskiej nie widać jeszcze wyraźniejszej zmiany w nastrojach.

Zupełną słuszność ma p. Osada, że należy zająć się spolonizowaniem sportu i rozrywek młodzieży na wychodztwie. Ale do tego nie wystarczy przyjazd młodzieży polsko-amerykańskiej do kraju. Przecież pod względem sportowym niewiele się oni u nas nauczą, a nawet jest obawa, żeby nie zapomnieli przez rok czy dwa lata pobytu w niesportowych warunkach tego, co zdobyli w Ameryce.

Chcąc osiągnąć należyty skutek, trzeba stworzyć w Polsce środowisko, w którem taki przyszły instruktor nałykałby się polskości nie tylko duchowej, ale przedewszystkiem sportowej. Również trzeba mu dać do ręki dobrą literaturę sportową, poświęconą kulturze fizycznej, podręczniki odpowiednie. Z prasą sprawa stoi nienajgorzej, mamy dwa zupełnie dobre tygodniki: Stadjon i Przegląd Sportowy, podręczników zato brak. Dlatego witamy z radością ukazanie się szeregu atlasików pod wspólnym tytułem „Sport w obrazach" i spodziewamy się, że po tym początku Zakłady Wydawnicze M. Arcta zaopatrzą nas obficie w to wszystko, czego sport od książki potrzebuje.

„Sport w obrazach" to małe albumiki z krótkiemi objaśnieniami, opracowane pod redakcją zasłużonego redaktora Stadjonu, pułk. dr. W. Osmólskiego, których komplet powinien znajdować się bezwarunkowo w bibljotece każdego ucznia, studenta, akademika i żołnierza.

Dotychczas ukazały się: Jazda na nartach, Skoki narciarskie, Zapaśnictwo I i II, Biegi I i II, Samoobrona, wszystkie po zł. 1,20. W krótkim czasie ukaże się jeszcze kilkanaście innych.

Zainteresowanie kulturą fizyczną wzrasta w Polsce w niezmiernie szybkiem tempie. Mamy nadzieję, że doskonałe powyższe książeczki dadzą racjonalny pokarm temu zainteresowaniu i pomogą do wytworzenia takiej atmosfery, jaka jest konieczna dla wykształcenia przyszłych kierowników młodzieży.

W styczniu r. b. nastąpiło połączenie dwóch polskich księgarń w Nowym Yorku: The Polish Book Importing Co. i The Polish News Agency w jedną nową korporację pod firmą: The Polish Book Importing C., Inc.

Kierownictwo nowej firmy, zainstalowanej w pięknym lokalu przy 38 Union Square, objął p. Władysław Opaliński, od kilkunastu lat pracujący w księgarstwie na wychodztwie. Nowa firma wydała piękny katalog z cenami dolarowemi, ułożony według działów, z którego dowiadujemy się, że dostarcza nietylko książki polskie, ale i angielskie o Polsce, a prócz tego nuty, śpiewniki, atlasy, mapy, fryzy etnograficzne, obrazy, portrety, pocztówki.

Sądzimy, że połączenie księgarń będzie miało dodatnie skutki, gdyż przez to powstaje silna placówka, która będzie siać kulturę polską wśród rzesz emigranckich.

Mówiąc o sprawach księgarskich w Ameryce, nie można nie wspomnieć o panu dr. J. Vorzimerze. Dr. Vorzimer stworzył i przez kilkanaście lat prowadził The Polish Book Importing Co, propagując polską książkę z całem oddaniem i poświęceniem, nieraz, jak np. podczas wojny, w bardzo ciężkich warunkach. Dr. J. Vorzimer wraca obecnie do Europy.

Dr. Vorzimerowi życzymy zasłużonego odpoczynku, a nowej księgarskiej organizacji — rozwoju i powodzenia.

Gwara Amerykańsko-Polska

Ku wielkiemu zmartwieniu i oburzeniu naszych „purystów" czyli czyścicieli języka, Polak w Ameryce—podobnie jak Polak na Śląsku lub na Kaszubach — stworzył sobie własną swoją gwarę, czyli mowę amerykańsko-polską, którą się w codziennem życiu posługuje. „Grynhorn" (greenhorn — świeży przybysz ze starego kraju) oczywiście trudno rozumie taką gwarę i częstokroć nią się gorszy, czyniąc wyrzuty swoim rodakom w Ameryce, że ojczysty język tak szpecą obcemi naleciałościami i do niepoznania go przekręcają. Wkrótce atoli ten sam „grynhorn", który jeszcze niedawno tak się gorszył amerykańsko-polską gwarą, zaczyna pomału sam się wyrażać, że dziś pojedzie „karą" („car" — wagon kolejowy) do miasta za „biznesem" („business" — interes, sprawunek). Od tego grynhorn zaczyna — z jakimi obstaje, takim się staje — lecz niebawem na tem nie poprzestaje. Wnet nauczy się inne angielskie słowa polszczyć i mówi, że był w „salunie" („saloon" — karczma), gdzie przy „barze" stał barkiper (barkeeper — szynkarz) i podał wiski („whisky" — gorzałki), następnie wzięli luncz („lunch" — przekąska), potrytowali się („treat" — częstować) nawzajem piwem.

I wtedy to już nowy przybysz, po takim egzaminie, przestaje być „grynhornem", przestaje być „zielonym", a staje się dojrzałym „Amerykaninem", który przy następnem „elekszen" („election" — wybory) będzie wotował („vote" — głosować).

Poszedł do „sztoru" („store" — skład), do „groserni" („grocery store" — skład korzenny), do „buczra" („butcher" — rzeźnik), do „drajguds-sztoru" („dry goods store"— skład łokciowy), kupił sobie „owerkot" („overcoat" — palto), „kendów" („candies" — karmelki) dla swojego „bebi" („baby" — dziecię), na „kornerze" (na rogu ulicy, „corner" — róg), trzy „bloki" („block" — ulicami odgraniczony czworobok domów), blisko „eli" („alley" — zaułek).

Dostał „pejdę" („paid" — wypłacone), każdy dostał „kiesz" („cash" — gotówką).

Przyszedł do „ofisu" („office" — biuro), zagadnął „klerka" („clerk" — kancelista, sekretarz), potem nadszedł „bas" („boss" — wyraz ten jest czysto amerykański, a nie angielski, i pochodzi od „plattdeutsch" wyrazu: Baas-Herr, pan). Kazał sobie „bil" („bill" — rachunek) podać.

W Ameryce niemasz chłopów ani wieśniaków, są tylko „farmerzy" (farmers), niema wsi, tylko „farmy" (podobne do hub starokrajskich); kukurydza „korna" (corn); powiat „kaunty" (county); „kryka" (creek), rzeczułka; „taun" (town) okrąg gminny; po miastach „wardy" (ward) dzielnice; powozy i powoziki, są „kerrycze" (carriage) i „bogi" (buggy).

Kto ma tytuł własności, ten ma „dyd" (deed) na ten dom. Nie na zastaw lub hipotekę pożycza się pieniądze lecz na „morgecz" (mortgage).

Nie ubiega się nikt o urząd, lecz „leci" na urząd (to run).

„Strajk" i „strajkować", mówi Polak w Ameryce, a nie strejk i strejkować, jak to mylnie mówi i pisze Polak w Europie. Wyraz ten pochodzi od „to strike" (uderzyć, „potrącić" kogoś) i wymawia się nieinaczej jak „strajk".

Zjadać „paje" (pie) i „pudingi" (pudding) lubią Polacy w Ameryce niemniej od reszty Amerykanów. Jakby spolszczyć te dwa wyrazy: „paj" i „puding?" niech sobie puryści nad tem głowę łamią, my jako praktyczni Amerykanie będziemy nadal nie tylko jeść paje, ale i nazywać je będziemy „pajami", a nie plackami ani plastrami. Tak samo lud nasz w Ameryce na szafarnię, albo spiżarnię używa najchętniej wyrazu „pentry" (pantry).

Kto tu zdoła wyrugować z polskiego języka wyraz „tajprajter" (typewriter), oznaczający ręczną, klawiszową maszynkę do pisania czy drukowania? Kto tu z Polaków w Ameryce nazwie radców miasta inaczej jak „aldermanów" (alderman — olderman — starszy mąż). Burmistrza inaczej jak „mayorem" (mayor)? Nadzorcę wardy inaczej jak „superwizorem" (supervisor)? Kto tu każe aresztować kogoś, a nie „wyciąga na niego warantu" (warrant — rozkaz uwięzienia, list gończy)?

„Formani" w Ameryce mają z „furmanami" w starym kraju o tyle coś wspólnego, o ile „forman" przewodniczy robotnikom w fabryce, zecerom w drukarni, a „furman" przewodniczy koniom.

„Koronerem" (coroner) nazywa Polak w Ameryce urzędnika czyniącego śledztwo nad ciałami zabitych lub umarłych nienaturalną śmiercią.

To tylko „blof" (bluff) — znaczy, to tylko dla oka, dla zamydlenia oczu. W Ameryce niema ciał prawodawczych i parlamentów tylko są „legislatury" i „kongresy". Doraźny sąd i kara, przez motłoch wykonana, nie istnieje tylko „lyncz" i „lynczowanie" (lynch). Dolna część domu lub kościoła, mieszczące lokale przez pół w ziemi, przez pół nad ziemią wystające, to co w starym kraju nazywają sklepem lub suterenami, Polak w Ameryce nazywa „bezmentem" (basement). W Ameryce Polacy nie znają mórg tylko „akry" (acre).

Irlandczyka inaczej Polak w Ameryce nie nazywa jak „Ajryszem", bo tak Irlandczyk sam się pisze i nazywa „Irish", a wymawia „ajrysz". Na Polskę i wogóle na Europę Polak w Ameryce stale i niezmiennie mówi „stary kraj" (z przymiotnikiem „starokrajski"), bo i żaden Anglik tutaj Europy inaczej nie nazywa jak tylko „the old country", co znaczy „stary kraj". Zeznanie, zaprzysiężone przed „notarjuszem publicznym" (często pokątnym doradcą), nazywa „affidavit".

Wyrazy powyższe—może nie wszystkie—ale te zwłaszcza już utarte — przez miljonową ludność polską w Ameryce powszechnie przyjęte i spolszczone, naszem zdaniem uwzględnić musi ten, kto w przyszłości chce ułożyć nowy, dokładny i zupełny Słownik Polski. Z książkowego czyli literackiego języka powyższe wyrazy można i należy rugować; ale nie należy, bo i nie można ich wyrugować z potocznej mowy czyli gwary ludowej. Nie dozwolić językowi żywemu przyswajać sobie nowych wyrazów z otoczenia, w jakiem się znajduje, znaczyłoby podcinać mu korzenie i korzonki, które zapuszcza na tym nowym, obcym gruncie, na który go przesadzono, znaczyłoby skazać go na wymarcie. Język polski, przesądzony na grunt amerykański, jeżeli ma żyć nadal i rozwijać się, musi siłą rzeczy ciągnąć soki żywotne z tego gruntu, na który go przesadzono, musi oddychać otaczającą go atmosferą, przyswajać sobie obce wyrazy, przerabiając je na swój sposób i zasilając się niemi. Jeżeliby tej zdolności, że tak powiem, zaaklimatyzowania się nie posiadał, byłby to niechybny znak jego martwoty. A przeciwnie, w tem właśnie okazuje się żywotność języka, że potrafi się zastosować do nowych, choć obcych mu warunków bytu. Wysadzonemu z gruntu polskiego językowi naszemu, a przeniesionemu na grunt angielszczyzny, nie pozwalać w tej angielszczyźnie zapuścić korzeni i przyswajać angielskich wyrazów, znaczyłoby to samo, co wykopać z ziemi drzewko, zawiesić je z korzeniami na powietrzu i chcieć jeszcze, żeby żyło i rosło!?...

Co innego idealny, książkowy, literacki język, którym się nie mówi w życiu, tylko się pisze w książkach, ten, jako sztuka piękna, ale martwa, może bujać w nadobłocznej krainie, może wisieć podobnie jak piękny obraz w muzeum lub jak sztuczny kwiat malowany, zdobiący ściany i pokoje. Chociaż i język literacki, język sztuczny, gdy z biegiem czasu szata mowy jego się starzeje i szarzeje, zmienia ją na nową i świeżą, przestarzałe wyrazy wyrzucając, a zastępując je nowymi. Tem bardziej potrzebuje tej zmiany język żyjący,

naturalny i rzeczywisty, którym się codzień mówi, język żyjący z dnia na dzień, ten, żeby żyć, musi szukać pokarmu dla siebie z tego otoczenia, w jakiem żyje, musi ustawicznie brać i wchłaniać w siebie nowe pierwiastki, a stare, przeżute i zużyte wyłaniać z siebie i wydalać — tego wymaga koniecznie naturalny proces rośnienia i życia.

Być może, że ten proces życia i przemiany ludowego języka polskiego w Ameryce odbywać był się powinien podług innych zupełnie praw — lecz nie mam tu prawa dyktować! Historyk spisać musi objawy życia takie, jakie są, a nie, jakie być powinny. Nie piszemy, jaką amerykańska Polonja, podług ideału niektórych, być powinna: lecz, jaką w rzeczywistości była i jest. Historja ma być zwierciadłem, wiernie odbijającem jej oblicze: niech się w niem przejrzy, a jeżeli gdzie plamy i skazy widzi, niech się z nich oczyści!

Wobec tego, zdaje się, upadają zarzuty, jakie nam czynili niektórzy, gdy ten rozdział o „gwarze amerykańsko-polskiej" ukazał się najpierw w szpaltach gazet. I tak, zganił nas pewien wybitny redaktor z Buffalo, N. Y., pisząc w prywatnym liście: „Ks. Dobrodziej pochwala (?) niejako gwarę, jakiej używają Polacy w Ameryce. Będzie to zbiór słów, których znaczenie będzie zrozumiałe tylko dla amerykańskiego Polaka. Przez usprawiedliwienie używanie takiej gwary, zachęca się tylko amerykańską Polonję do wynarodowienia, czego sobie ks. Dobrodziej nie życzy z pewnością...

Z pewnością nie życzymy sobie tego. Ale z obowiązku historyka skonstatowaliśmy fakt, nie dający się zaprzeczyć, że polski język ludowy w Ameryce uległ zmianie. I również z obowiązku historyka wytłumaczyliśmy ten fakt prawem, które zdaje się być prawem powszechno-dziejowem, mianowicie, że język ludowy, nie tylko polski, ale i każdy inny, będąc w bliskiej styczności z obcym językiem, siłą rzeczy i okoliczności przekształca się, w ustach zwłaszcza ludu prostego. Lecz wytłumaczenie tego faktu nie oznacza jeszcze bynajmniej zachęty do wynarodowienia. Owszem sądzimy, i nie bez racji, że przytoczenie w „Historji" owych amerykanizmów, będzie dla czytającej publiczności polskiej raczej przykładem odstraszającym, niż zachęcającym. Przejrzy się publiczność w tym „słowniku", jak w zwierciadle, i przekona się, że tak brzydko wygląda, powie z oburzeniem: Fe! czy ja tak wyglądam? Muszę inaczej wyglądać!" — i poprawi się.

(Wyjątek z tomu V „Historji Polskiej w Ameryce" X. Wacława Kruszki).

KSIĄŻKI NADESŁANE

„Wychodźtwo Polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryk." — Dr. Mieczysław Szawleski. Wyd. Zakł. Narodowego im. Ossolińskich, str. 472, 1924 r., cena zł. 20. Do nabycia w Admin. „Ameryka-Polska".

„Henryk Sienkiewicz — wielki powieściopisarz i obywatel" — St. Piołun-Noyszewski. Wyd. im. M. Brzezińskiego, W-wa, Księgarnia Polska, 1924. Cena 80 gr.

„Pomorze Polskie i Gdańsk" — J. W. Kosmowska. Wyd. im. M. Brzezińskiego, W-wa, Księgarnia Polska, 1924. Cena zł. 1.20.

„Utopja". Nowelka. — Stefan Wodzicki. Nakł. „Młodego Robotnika", W-wa, 1925. Cena 20 gr.

„Majster do wszystkiego" — przewodnik do robót amatorskich, wedle Kerna opracował Stanisław Szydelski, str. 304, ryc. 441 i 4 tabl. barwne. Cieszyn, 1924. Cena zł. 8.— w płóc. opr.

„Buchalterja Kameralna dla Instytucyj Samorządu Miejskiego". Ułożył Henryk Chankowski. W-wa, 1925, str. 108, cena zł. 1.—

Program Kursów Dokształcających Naukowej Organizacji Pracy dla pracowników administracyjnych zakł. przem. i handl. przy Tow. Kursów Technicznych. Warszawa, Mokotowska 6.

„Doświadczenia elektrotechniczne". — Schnetzler— J Samiec. Wyd. B. Kotuli, Cieszyn. Str. 392, 1925 r. z ilustracjami.

„Arytmetyka handlowa", opracował Henryk Chankowski, przejrzał i dopełnił Janusz Kwieciński, Profesor Arytmetyki Handlowej Szkoły nauk Politycznych. Tom II. — Cena zł. 5.00.

„System Mussoliniego" Polityczny, Administracyjny, Gospodarczy, Metoda Rewolucji. — Ludwik Bernhard. Profesor Nauk Politycznych Uniwersytetu Berlińskiego. Wyd. Wielkopol. Ks. Nakładowa K. Rzepeckiego. Poznań, str. 144, 1925 r. Z portretem Mussoliniego.

Boni de Castellane. **„Comment J'ai découvert L'Amérique.** Paris. Les éditions G. Crès et Cie. — Cena fr. 13.

Emile Schreiber. **L'exemple Américain Payot et Cie.** Paris. Wyd. w 1919 r. — str. 280. Cena fr. 6.40.

Bruno Bochhammer. Logbuch ZR III. Theodor Fischer Verlag, Freiburgi. Br. Wyd. w r. 1924., str. 94. — Cena g. m. 3.50.

Lt. — Colonel Langlois. **„La Découverte de L'Amérique. Par les Normands vers l'an 1000.** Société d'éditions Géographiques, Maritimes et Coloniales. Wyd. w r. 1924, — str. 161. — Cena fr. 14.60.

WYDAWNICTWA „LIGI PRACY".

Dr. Edward Lehmann. Zwyczajny Profesor Uniw. w Lund. **„Wychowanie do pracy".** — Cena zł. 0.75.

„Ciekawe Kartki". — Cena zł. 0.60.

S. K. Drewnowski, nż. technolog. **„Płaca zarobkowa, wydajność pracy i dobrobyt robotnika".** — Cena zł 0.30.

Zygmunt Straszewicz. **„Od czego zależy bogactwo narodów".** — Cena zł. 0.20.

„Tajni czy jawnie". Czy istnieje w Polsce wolność przekonań? — Cena —

„O strajkach". — Cena zł. 0.20.

Frederic W. Taylor. **„Zasady organizacji naukowej zakładów przemysłowych".** — Cena z. 0.75.

Dr. Ed. Claparède. Prof. Uniwersytetu Genewskiego. **„Poradnictwo zawodowe zadania i metody.** — Cena zł. 1.

Henryk Klepacki. **„Jak pracują Japończycy?** Cena —

Aleksander Rothert. **„Jaki system płacy stosować w dzisiejszych warunkach?** — Cena zł. 0.50.

„Bolszewizm i socjalizm". — Cena zł. 0.10.

Piotr Drzewiecki. **„Drogi i widoki poprawy skarbu w Polsce".** — Cena zł. 0.30

Zygmunt Straszewicz. **„Najważniejsze zadanie szkoły".** — Cena zł. 0.25.

Eugenjusz v. Böhm-Bawerk. **„Teorji wyzysku".** — Cena zł 0.60.

Przemówienie prof. Z. Straszewicza na uroczystości rozpoczęcia r. Akademic. 1920/21 w Politechnice Warszawskiej. **„Rola przemysłu w niepodległej Polsce".** — Cena zł. 0.20.

Bolesław Prus. **„Świętować czy pracować?** Cena zł. 0.10.

Piotr Drzewiecki. **„Wzmożona praca politycznym orężem państwa.** — Cena zł. 0.20.

„Państwo Polskie w niebezpieczeństwie". — Cena zł. 0.10.

„Jak niezmiernie biedniejemy".—Cena zl. 0.10.

„Ku poprawie Rzeczypospolitej" t. II. — Cena zł. 2.50.

KRONIKA

Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej w Polsce oraz Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego

SPRAWOZDANIE ZARZĄDU TOWARZYSTWA POLSKO-AMERYKAŃSKIEGO

Z działalności za rok 1924.

Z działalności Towarzystwa w roku ubiegłym na pierwszem miejscu wymienić należy urządzenie wystawy „Kościuszko w Ameryce". Urządzona w wielkiej sali Warszawskiego Towarzystwa Naukowego i składająca się z obrazów, sztychów, historycznych dokumentów i innych polonica-americana, wystawa odniosła zupełny sukces. Fakt, że w przeciągu 6 tygodni zwiedziło wystawę blisko dwanaście tysięcy osób, w tem prezydent Wojciechowski i ministrowie: Skrzyński, Miklaszewski, Sikorski i Pearson, najlepiej przemawia za jej powodzeniem. Była to prawdziwa rewelacja dla niemal wszystkich zwiedzających, gdy z listów, książek i dokumentów, pisanych przez wybitnych Polaków i Amerykanów, dowiedzieli się o licznych węzłach sympatji i przyjaźni, jakie łączyły oba kraje w przeszłości. Że węzły te zostały spotęgowane dzięki wystawie mieliśmy aż nadto dowodów. Zarząd na tem miejscu składa podziękowanie panu dr. Kahanowiczowi za udzielenie zbiorów, członkom zaś Komitetu wystawowego za staranne wywiązanie się z powierzonego im zadania.

Działalność Towarzystwa w dziedzinie pomocy studentom ograniczyła się w roku ubiegłym do ułatwienia im wyjazdu i do udzielenia wiadomości, dotyczących uczelni amerykańskich. Listowne podziękowania świadczą o tem, że rada lub pomoc, jaką pod tym względem udzielaliśmy, często okazała się bardzo cenną.

Wiadomości o Polsce nadal rozpowszechniane były mniej więcej w ten sam sposób, co w roku ubiegłym. Towarzystwo współdziałało z Amerykańsko-Polską Izbą Handlowo-Przemysłową przy wysyłaniu do pokrewnej Izby w Nowym Jorku czasopism, artykułów i fotografij. Rozmaite broszury, traktujące o Polsce, nietylko rozdawane były gościom Amerykanom przy każdej sposobności, lecz również wysyłane były na listowne żądania do St. Zjednoczonych. W związku z tą działalnością Towarzystwo udzielało swej pomocy dziennikarzom amerykańskim przez ułatwienie im dostępu do ważniejszych osobistości, dostarczenie materjałów informacyjnych i fotografij, jak również w razie potrzeby przez dostarczanie przewodników i tłumaczy. Wiadomości o St. Zjednoczonych rozpowszechniane były zapomocą naszego miesięcznika „Ameryka".

Śmierć prezydenta Wilsona dotkliwie odczuto w Polsce. W szkołach i kościołach odbyły się uroczystości na cześć jego pamięci, współczucie zaś, jakie okazywano, miało niemal charakter narodowy. Warszawa była w żałobie, władze zaś miejskie wspólnie z Towarzystwem urządziły w Ratuszu akademję na cześć Wilsona, na którą licznie przybyli Polacy i Amerykanie, między innymi prezydent Wojciechowski oraz dostojnicy obu rządów.

W zebraniu, urządzonem przez Towarzystwo w dniu 4-go lipca, wzięli udział poza jego członkami przedstawiciele obu rządów i kolonji amerykańskiej. Kulminacyjną mową dnia była mowa wygłoszona przez J. E. Alfreda Pearsona, nowo mianowanego posła amerykańskiego, który przy tej sposobności był przez Towarzystwo witany.

Czynny udział brało Towarzystwo w zebraniu kilku tysięcy podpisów do adresu, wręczonego panu posłowi Gibsonowi na bankiecie, wydanym na jego cześć wspólnie z Amerykańsko-Polską Izbą Handlową z okazji jego wyjazdu. Zarząd również z przyjemnością na tem miejscu nadmienia, że w dowód uznania wręczony został na posiedzeniu w dniu

REPORT OF THE BOARD OF DIRECTORS OF THE POLISH AMERICAN SOCIETY.

For the year ending Dec. 31, 1924.

Of the accomplishments of the Society in the past year, the organization of the Exhibition „Kościuszko in America" was the most important. Held in the large hall of the Warsaw Scientific Society and comprised of paintings, prints, historic documents and other „polonica-americana" collected in America by dr. Kahanowicz. the exhibition was a complete success. The fact that in the space of six weeks it was visited by nearly 12.000 persons, among them President Wojciechowski and Ministers Skrzyński, Miklaszewski, Sikorski and Pearson, plainly bespeaks of its popularity. It was a revelation to nearly all visitors to learn from the letters, books and documents, written by noted Poles and Americans, of the inumerable ties of sympathy and admiration that bound both countries in the past. That in outcome the exhibition done much towards strengthening these friendly ties is only natural. Thanks are offered here to dr. Kahanowicz for the use of his collection and to the Exhibition Committee for the evident pains taken in carrying out their mission.

The Society's activity in as much as students are concerned was limited in the past year to facilitating their departure and to imparting to them information on educational conditions in the United States. Letters of appreciation indicate that our assistance in this connection has often proven of value.

Knowledge on Poland was circularized in much the same manner as last year. The Society co-operated with the American-Polish Chamber of Commerce in supplying its sister organization in New York with publications, articles and photographs. Pamphlets on various topics were not only distributed to the American visitors at every opportunity but were sent to those in the U. S. who asked for literature on Poland. Furthermore, in this connection, the Society assisted journalists by arranging interviews, supplying reference material and photographs, and, when required, by furnishing guides and interpreters. Information on the U. S. was disseminated in Poland by means of our magazine „Ameryka".

The death of Pres. Wilson was deeply fealt in Poland. Marked by memorial observances in schools and churches, the respect paid to his memory was profound, while the sympathy shown was almost national in scope. Warsaw was in mourning, and an impressive mass-meeting was held in the Town Hall under the joint auspices of the Society and the Warsaw Council, which was largely attended by Poles and Americans, among them the President and other high government officials.

The gathering held by the Society on July 4th brought together, besides members, representatives of both Governments and of the American colony. The crowning speach of the day was made by the Hon. Alfred J. Pearson, the newly appointed American Minister, who was welcomed by the Society on this occasion.

An active part was taken by the Society in the gathering of a few thousand signatures for the „album of appreciation" which was presented to Minister Gibson at a banquet given jointly by the Society and the American Polish Chamber of Commerce on the occasion of his departure from Poland. The Board also desires to record here that in token of esteem and appreciation a „souvenir address" was presented on October 20 th to Mr. A. Wieniawski, the former president of the Society.

20 października 1924 roku adres pamiątkowy byłemu prezesowi Towarzystwa, p. A. Wieniawskiemu.

Komitet Wykonawczy zbierał się w ciągu roku sprawozdawczego 13 razy. Zarząd zaś odbył cztery posiedzenia. Poza tem kilkakrotnie zbierały się komisje specjalne i stałe, a mianowicie: Komisja wystawowa, Komisja uczczenia pamięci Wilsona i Komisja Towarzyska.

Skład członków na dzień pierwszego stycznia 1925 r. przedstawiał się, jak następuje: członków honorowych 5, dożywotnich 2, bezpłatnych 10 i płatnych 167; ogółem 184.

Zarząd wreszcie pragnie zaznaczyć, że o ile działalność Towarzystwa osłabła cokolwiek w porównaniu do lat poprzednich, należy to głównie przypisać szczupłości funduszów, co zresztą wykazuje sprawozdanie finansowe. Ażeby zwiększyć dochody Towarzystwa, należy powiększyć liczbę członków; można to uczynić w wydatnym stopniu jedynie przy energicznej pomocy wszystkich członków. Zarząd żywi nadzieję, że pomoc tę otrzyma.

The Executive Committee met thirteen times during the past year while the Board convened on four occasions. Several meetings were also held by the special and standing committees, namely: the Exhibition Committee. Wilson Memorial Committee and the Entertainment Committee.

The membership of the Society was composed, on January 1st, of the following: 5 honorary Members, 2 Members for Life, 10 Gratuitous Members and 167 Paying Members; in all 184.

It is the desire of the Board to state in conclusion, that if the Society was less active in the past twelve months than in the preceeding years, this must be attributed primarily — as you will learn from the financial statements — to the lack of funds. In order to repair the Society finances more members will have to be obtained, and this can only be accomplished efficaciously if all members lend their assistance. The Board, therefore, sincerely trusts that this cooperation will be forthcoming.

TOWARZYSTWO POLSKO-AMERYKAŃSKIE.

Przyjęto członków:

S. Grodzki, Senatorska 33.
L. Świerczyński, Nowowiejska 22.

Na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego w dniu 2-go kwietnia została jednogłośnie wybraną p. Marja Brunowa na członka Zarządu Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego.

W dniu 23 marca, w salonach Automobilklubu Polski, odbyło się inauguracyjne zebranie towarzyskie członków Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego, urozmaicone demonstrowaniem aparatu „Duo Art", przy licznym udziale tak członków Towarzystwa, jak i Amerykańsko-Polskiej Izby Handlowej i przedstawicieli kolonji amerykańskiej. Wśród serdecznego i miłego nastroju zebranie przeciągnęło się aż po północy.

Następne z kolei zebranie towarzyskie odbędzie się w dniu 18 kwietnia, które, nie wątpimy, pozostawi po sobie jak i inauguracyjne zebranie, wśród uczestników jak najmilsze wspomnienia.

Dążąc do wzajemnego zbliżenia się członków Towarzystwa P.-Am. i Izby, urządzone będzie w dniu 25 kwietnia śniadanie w salonach Resursy Kupieckiej.

AMERYKAŃSKO-POLSKA IZBA HANDLOWO - PRZEMYSŁOWA.

Przyjęto członków rzeczywistych:

Sp. Akc. „Kooprolna", Kopernika 30.
Sp. Akc. „Udycz", Hoża 66.
Paweł Bitschan, Kredytowa 18.
Lucjan Świerczyński, Nowowiejska 22.
B/H. Inż. Stan. Sadowski, Jerozolimska 31.
D/H. Chrzanowski, Pfeifer; Przanowski i S-ka", Jerozolimska 18.

Przyjęto członków zwyczajnych:

Inż. Stefan Lisiecki, Chmielna 20, m. 6.
Adam Augustynowicz, Mokotowska 45.

Wyjaśnienie: w Nr. 3 (marcowym) „Ameryka-Polska", na str. 78 ukazał się projekt uchwał Ligi Morskiej i Rzecznej, wynikający z referatu p. Konst. Hejmowskiego. Czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że p. K. Hejmowski w sprawie tej występował wówczas w charakterze członka Rady Ligi Morskiej i Rzecznej.

Oferty i zapytania

Przy zgłoszeniach należy podać numer odnośnej oferty.

355/25 Firma nowojorska pragnie oddać przedstawicielstwo na sprzedaż 2-tonnowych samochodów ciężarowych.
771/25 Firma kalifornijska wyraziła życzenie importowania papieru gazetowego z Polski.
270/25 Firma nowojorska chce importować z Polski fasolę.
455/25 Fabryka aparatów i przyborów rentgenowskich odda przedstawicielstwo solidnej polskiej firmie handlowej w tej branży.
551/25 Firma w Filadelfji życzyłaby sobie wejść w stosunki z polskiemi eksporterami szmat, płótna workowego i odpadków bawełnianych.
352/25 Firma w Oregon poszukuje odbiorców na świeże i suszone owoce.

Następujące zapytania zostały nam nadesłane przez Konsulat Amerykański w Warszawie. Zgłoszenia należy adresować do naszej Izby lub do Konsulatu.

Są to dowody żywego zainteresowania się firm amerykańskich naszym rynkiem.

101/k Pragnie eksportować radjo aparaty.
102/k Pragnie eksportować amerykański słód.
103/k Pragnie eksportować kawę.
104/k Pragnie eksportować mleko kondensowane.
105/k Firma pragnie eksportować mrożoną rybę.
106/k Firma chciałaby eksportować ciężkie chemikalja.
107/k Firma chce eksportować pompy.
108/k Firma pragnie eksportować kompresory powietrzne.
109/k Pragnie eksportować piłki do metali.
110/k Firma pragnie eksportować elewatory, połączone z sortownikami.
111/k Firma chciałaby eksportować wszelkiego rodzaju wagi.
112/k Firma chce eksportować maszyny rolnicze.
113/k Firma chce eksportować automobile ciężarowe.
114/k Firma chce eksportować skóry.
115/k Firma chce eksportować aparaty radio.
116/k Pragnie eksportować aparaty radio.
117/k Firma pragnie eksportować instrumenty weterynaryjne, chirurgiczne i dentystyczne, jak również meble szpitalne.
118/k Firma pragnie eksportować wszelkiego rodzaju wagi.
119/k Firma pragnie eksportować fonografy.
120/k Firma poszukuje przedstawiciela na farby i materjały budowlane.

121/k Firma pragnie eksportować meble biurowe i szkolne.
122/k Firma pragnie eksportować pakunki termo-izolacyjne i dla przygłuszania dźwięków.
123/k Firma pragnie eksportować tytoń i papierosy.
124/k Pragnie eksportować używane worki jutowe.
125/k Firma pragnie eksportować wieczne pióra.
126/k Firma chce eksportować obuwie.
127/k Firma chciałaby eksportować mąkę pszenną.
128/k Firma pragnie eksportować mąkę pszenną.
129/k Firma chciałaby importować nasiona białej koniczyny z Polski.
130/k Firma chciałaby importować nasiona wszelkiego rodzaju z Polski.
131/k Firma pragnie importować nasiona białej koniczyny z Polski.
132/k Firma chciałaby importować odpadki wełniane z Polski.
133/k Firma pragnie importować papier gazetowy z Polski.

SYTUACJA FINANSOWA W STANACH ZJEDNOCZONYCH.

Banki rezerwowe: Pożyczki banków akcyjnych, jak wykazuje świeże sprawozdanie, wynoszą obecnie $ 4.745.246.000. Jestto najwyższa suma, jaka została osiągnięta od czasu istnienia systemu Federalnych Banków Rezerwowych. Depozyty tychże instytucji są także u szczytu: sięgają $ 4.900.000.000.

Upadłości: W styczniu notowano 2.344 upadłości, co stanowi 23% więcej w stosunku do grudnia, a 5% ponad to, co wykazał styczeń roku ubiegłego. Suma zobowiązań wzrosła do $ 64.009.450, — czyli 11% więcej, niż w grudniu, ale 48% mniej, niż w styczniu 1924 r. W tych świeżych stratach okręg Centralny Wschodni, Południowy i Daleki Wschodni uczestniczył w większych rozmiarach, r iż na ich części proporcjonalnie przypadało. Zobowiązania były mniejsze niż rok temu w każdym okręgu, z wyjątkiem Południowego.

Działalność giełdy: Sprzedaż akcyj na giełdzie Nowojorskiej w styczniu objęła 41.430.558 akcyj. Jestto najwyższa suma, jaka kiedykolwiek została osiągnięta w pierwszym miesiącu roku, ale niższa o 1.445.336 w porównaniu z miesiącem poprzednim.

Sprzedaż obligacyj: Sprzedaż obligacyj na giełdzie Nowojorskiej wyniosła wartość równą $ 364.022.000 w styczniu, albo $ 24.228.000 mniej niż w poprzednim miesiącu, ale $ 9.995.225 więcej niż w tym samym miesiącu roku zeszłego.

Ładunki złota za granicę: Ostatnim (w dniu 26 lutego) ładunkiem $ 2.500.000 złota dla niemieckiego Banku Państwowego, J. P. Morgan et Co. dopełnia pierwszej części ustanowień na rachunek $ 110.000.000 pożyczki rządowi niemieckiemu, puszczonej na rynek zeszłego roku. Suma $ 50.000.000 złota poszła już do Niemiec.

Wymagania giełdy Nowojorskiej przy registracji obligacyj zagranicznych: Komitet giełdy Nowojorskiej przyjął specjalną ustawę, reglamentującą zapisy zagranicznych obligacyj na giełdzie Nowojorskiej. Wymagania te obejmują następujące punkty:

1. a) Wykaz długu wewnętrznego i zewnętrznego i moneta obiegowa, w której ma on być spłacony; oświadczenie spłacenia zewnętrznego długu w dolarach.

b) przypadkowe i rzeczywiste zobowiązania i pierwszeństwa.

c) Dochody lub aktywa zapewnione, jeśli są takowe, obecną i dalszemi pożyczkami i sposoby zarządzania niemi.

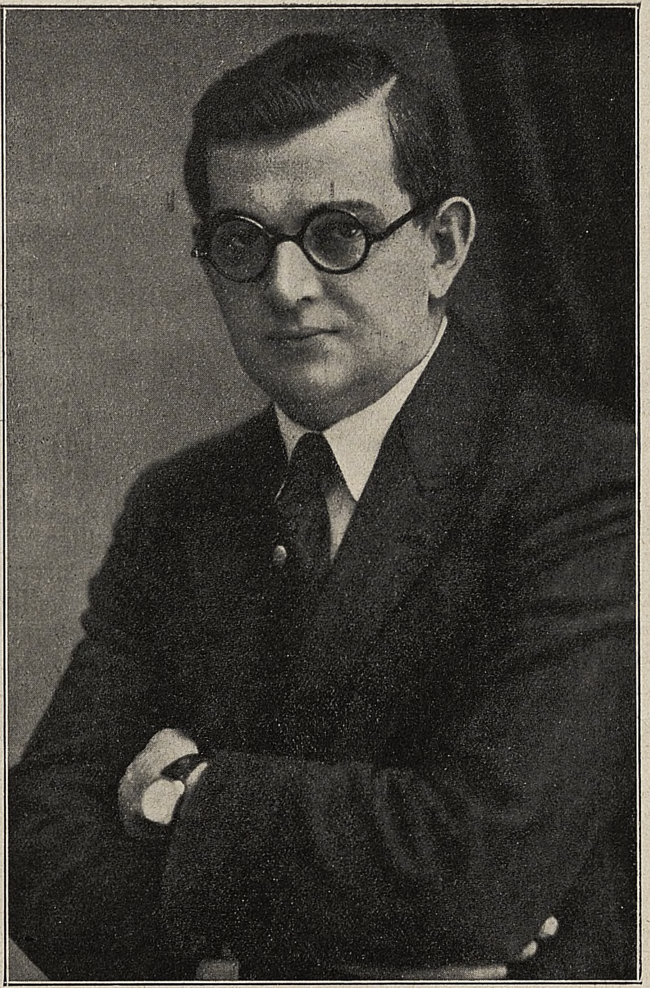
d) krótki wykaz tych dochodów i dochód z takich aktywów za ubiegłe pięć lat, określony w dolarach.

e) prawo wedle którego pomieniony dochód lub aktywa mają być poręczone.

2. Protokół poprzedniego długu z uwzględnieniem:

a) uchybienia w wypłatach;

b) podziału spłat procentowych;



Paul Klopstock
Prezes firmy „Foreign Trade Supply Corporation". O działalności tego przedsiębiorstwa amerykańskiego pisaliśmy w styczniowym zeszycie miesięcznika „Ameryka-Polska" (str. 36—37). P. Klopstock bawi obecnie w Warszawie.

c) odroczenie spłat kapitału amortyzacyjnego.

3. Na jakich giełdach registrowany.

4. Waluta, w jakiej procenty i kapitał mają być spłacone.

5. Powinności podatkowe i zwolnienia od nich.

6. Wykaz dochodów i rozchodów rządowych na jakikolwiek rachunek w poprzednich pięciu latach.

7. Wykaz w dolarach, sum potrzebnych na spłatę zagranicznych procentów w każdym roku pięciu lat poprzednich.

8. Wykaz importu i eksportu towarów z wyszczególnieniem wagi i określeniem wartości w dolarach za każdy rok pięciu lat poprzednich.

9. Wykaz umów, jeśli są jakie, z uwzględnieniem spłaty kapitału i procentów obligacyj, zależnych od stanu pokoju lub wojny i od narodowości właściciela.

Eksport towarów w r. 1924. Towary, wywiezione ze Stanów Zjednoczonych w kalendarzowym roku 1924 dosięgają sumy $ 2.772.774.000, podczas gdy w fiskalnym roku 1914 stanowiły $ 1.392.350.000, a $ 17.877.000 w r. 1821, który był pierwszym rokiem rekordowym co do eksportów towarów. Wartość towarów wywiezionych w r. 1924 jest zatem podwójna w stosunku do przedwojennego roku, a 150 razy większa niż sto lat temu.

Chałupeczka niska

w Nowym Jorku

(Dalszy ciąg ze str. 12)

mi szklannemi drzwiami, urozmaicone tylko zakładami golarzy i kędzierników, mani- i pedi-kurów i t. p. Ciekawość oczekiwała nas dopiero na szczycie wieży i to nie bylejaka.

U stóp naszych leży miasto potwór, mrowisko gonitwy i zgiełku, i gapi się na nas, tam w dole, płaskiemi dachami i czarnemi padołami ulic; zgniecione dwoma ramionami Hudsonu, tłoczy się zwarcie i pnie w górę drapaczami nieba, z których żaden do kolan nam nie sięga. Po zatoce uwijają się czarne punkciki, dym puszczając nosami. Słońce zapada, hen daleko, poza ciche zwały zieleni, której istnienia nie domyśla się żadna z 7 miljonów istot, mrowiących się pod naszemi nogami. Z przeciwnej strony ściele się bezkresne zwierciadło wód, wzdymających się falami, co, rozpędziwszy się tutaj, rozbiją się może aż o piaski Helu i Gdyni.

— You are really shocking (jesteś doprawdy nieprzyzwoity!), — słyszę za sobą dąsający się głos miss Mary, której dryblas-Jankes coś w ucho szepce zawzięcie. Miss Mary spuściła oczy, szarpie nerwowo rękawiczkę, wreszcie wybucha, — wszak mię nie mylą uszy:

— Nie go-doj, Wojtek. Nie go-doj!

Ale on nietylko gada, tak nachylony, że szeptem wprost świdruje jej kasztanowate nausznice, lecz nawet półgłosem nuci:

— ...i my tak będziemy, gdy się pobieżemy!

Rodacy! Czy wypada podejść do nich i przemówić? Nim się zdecydowałem, dryblas porwał wpół dziewczynę, mazurowym zamachem wskoczył z nią w windę i nim jej drzwi zawarto, posłyszałem jeszcze (zahuczane tak, że oscylacja wieży wynosiła pewno 4 i $^3/_4$ cala):

— Sumi gaj, sumi gaj, sumi gałązecka...

Winda zapadła się w jednej minucie o piętr 60. (Byle nie zapomnieli odebrać parasolkę!) Skończyła się wizyta w najwyższym gmachu świata i kończy me widzi-mi-się, nim zdołałem sobie przypomnieć, co mądrego chciałem powiedzieć o „chałupeczce niskiej". Wybaczcie!

Przekora.

Jakiś wiedeńczyk wynalazł szczotkę, sprowadzającą schudnięcie, gdy ktoś nią szoruje swe opasłe ciało. Ten sam rezultat osiągnąć można zwykłą szczotką, szorując nią zamaszyście podłogę.

„New York Evening World".

Najpilniejsze w dziedzinie medycyny jest wynalezienie środka znieczulającego, którego działanie trwałoby aż do zapłacenia honorarjum lekarskiego... inclusive.

„Rochester Times Union".

Przekonawszy się, jak łatwo pożyczać od nas pieniądze, narody europejskie zaniechają może w przyszłości zwyczaju bicia się o nie między sobą.

„Columbia Record".

CZYTELNICTWO PODCZAS OSTATNIEJ WOJNY

Chodzi tu o rozwój czytelnictwa w armji, głównie zaś w wojsku amerykańskiem i angielskiem. Niezmiernie ciekawych szczegółów dostarcza w tym względzie praca Teodora Wesleya Kocha p. t. „Książki podczas wojny". W niespełna dwa miesiące po wypowiedzeniu się Stanów Zjednoczonych przeciw Niemcom Związek Bibljotek Amerykańskich uchwalił na swym dorocznym zjeździe w Louisville zorganizowanie bibljotek w obozach instrukcyjnych. Po pierwszem już odwołaniu się Związku do ofiarności publicznej wpłynęło do jego kasy na ten cel 1,700,000 dolarów, jednocześnie zaś nadesłano mu przeszło dwieście tysięcy książek. Składki na bibljoteki żołnierskie zbierane były przez całą wojnę i przy poparciu różnych instytucyj prywatnych, jak naprzykład fundacji imienia Carnegie'go, która obdarzyła każdy z trzydziestu dwóch obozów instrukcyjnych sumą dziesięciu tysięcy dolarów na zakup książek; zaopatrywanie w nie armji amerykańskiej przybrało iście imponujące rozmiary. W sześć miesięcy po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny posiadano już ogółem w obozach 350.000 tomów i oczekiwano nadejścia nabytych już dla nich 220,000 tomów.

Z chwilą, gdy wojska zaczynały być wyprawiane do Francji, rozpoczynało się również ekspedjowanie do niej książek. Przy każdym transporcie wojska wolno ich wysyłać 100.000 tomów. Skierowywane do centralnego biura Y. M. C. A. w Paryżu, książki rozsyłane były stamtąd do poszczególnych odcinków frontu, przyczem uwzględniany jest w możliwie najszerszym zakresie charakter zapotrzebowań. We flocie i szpitalach istnieją organizacje analogiczne.

Co się tyczy Anglji, pierwszą jej troską było zaopatrzenie w książki szpitali. Książki napływały obficie ze wszystkich stron, a między innemi od wielkich wydawców, odwoływano się bowiem do ofiarności publicznej o nie raczej niż o pieniądze. O ogromnym rozwoju czytelnictwa wśród wojska angielskiego świadczy fakt, że tygodniowo zapotrzebowanie na książki wynosiło 75.000 tomów. Nie zapomniano też o jeńcach. Do połowy 1917 r. zdążono już zaopatrzyć w książki dwieście obozów jeńców wojennych angielskich w Niemczech.

Nie rozporządzamy w tej chwili danemi, dotyczącemi armji polskiej. Wiemy tylko, iż przed trzema laty powstała Czytelnia im. ks. Skorupki, któda krząta się koło urządzania bibljotek w pułkach, ale rozporządzając skromnemi środkami, dotąd szerszej działalności nie rozwinęła.

Czytelnia im. ks. Skorupki zasługuje na poparcie najszerszych kół, więc dla ich informacji dodajemy, iż wszelkie ofiary w książkach kierować należy: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 36, w siedzibie Katolickiego Związku Polek, z wyraźnem zaznaczeniem: dla Czytelni im. ks. Skorupki.

Maharadża

(Dalszy ciąg ze str. 5)

trze na krzesło przed lustrem. Nie miała sił zapalić światła. I jak to bywa tylko przed śmiercią, mózg jej zaczął pracować z niesłychaną szybkością, rozwijając przed nią dokładnie i wiernie, niby w zawrotnym filmie, jej całe życie, aż zatrzymał się na ostatnim obrazie ciemnego pokoju z błyszczącą taflą lustra, na której grały zabłąkane promienie dalekich świateł. Wówczas wzdrygnęła się cała i oprzytomniała. Zapaliła światło. Pożarna plama na jej ręce paliła się niby łuna. Wydało jej się, że już czuje ból i lekkie pieczenie. Wyrastająca z mroków tej koszmarowej nocy rzeczywistość popchnęła maszynę mózgu do dalszej pracy. Pierwotny instynkt samozachowania przemówił potężnie, głosem silniejszym ponad wszystkie inne. Co robić, co robić? Dziwne, że ani na jedną chwilę nie poczuła wściekłości, nienawiści, obrzydzenia do tego człowieka, który obmyślił jej tak wyrafinowaną zemstę. Co więcej, stopniowo doszła do tego, że przestała to wszystko, co się stało dzisiejszej nocy, uważać za zemstę z jego strony. Uniosła się wtedy przy rozstaniu. Palnęła głupstwo. Ona, co tak kocha swą powierzchowność, słaba, mała istota, dla której życie wszystkiem było, czyż stać ją na wykonanie podobnie szumnej zapowiedzi? Być wyklętą, usuniętą od świata, zeszpeconą, umierać w męce... — ona?...

Wstrząsnął nią suchy szloch. Poco paliła mosty za sobą? Dlaczego wówczas tak dziecinnie traktowała życie. Kazik ją nauczył. Mocny, potężny człowiek. Mężczyzna — który się nie zawaha przed niczem. Tak. Taki człowiek, mimo całej potworności tego, co uczynił, może imponować. Bo wszak uczynił tylko to, co mu bezsensownie podpowiedziała sama. Gorzko, boleśnie roześmiała się wewnętrznie na błysk obudzonej dumy: „A jednak nie pojadę do niego... Nie ugnę się..." O, jakże zazdrościła w tej chwili innym kobietom, bardziej silnym, a mniej pustym. Zrozumiała, co jej czynić należy. Jak on ją znał! Dla niej wyboru nie było. Zrozumiała.

Spojrzała ponownie na krwawe piętno na ręce. I teraz zatargał nią znowu tylko jedyny lęk: czy uleczy — czy tylko potrafi rzeczywiście uleczyć?... W nowym wysiłku zerwała się z krzesła. Przez okna przesiewał się blady, wylękniony i zmęczony jak ona sama ranek. Pierwszy tramwaj zaskowyczał za oknem. Czas już! Czas...

* * *

Otworzył jej sam drzwi z miłym, przyjacielskim uśmiechem. Nie był zdziwiony, przeciwnie — wyraźnie oczekiwał jej. Wziął jej rękę i gorąco pocałował. „Biedactwo" — powiedział do niej z czułością — „wymęczyło się bardzo przez te parę godzin. Co?... No, chodźmy, chodźmy prędzej leczyć się i kończyć z tem"...

Poprowadził ją do ich łazienki. Nie było na nim śladu nocnej maskarady, co więcej, zauważyła, iż na ręce jego nie było śladu wczorajszego strasznego wrzodu. Obie ręce były jednakowo białe, wypieszczone, jak dawniej. W prześlicznej nowej pyżamie promieniał szczęściem, weselem, jednak bez odcienia jakiejkolwiek wyższości czy triumfu. W łazience ujrzała przygotowane na stoliku jakieś flaszki, czysty ręcznik i zapalony przyrząd gazowy do nagrzewania wody. Troskliwie zdjął z niej futro.

— Czy... to... będzie bardzo boleć? — spytała drżącym głosem.

Kąciki jego ust drgnęły skrywanym uśmiechem.

— Ani troszeczkę — odparł, otwierając automat gazowy. Po chwili nalał gorącej wody do szklanki i dolał do niej jakichś płynów z flaszeczek. Umoczył w szklance ręcznik i spokojnie zaczął zmywać czerwoną plamę z jej ręki. Na ręczniku pozostawały czerwone smugi. Była to — farba. Zapach amonjaku i spirytusu rozszedł się dookoła.

— Jesteś już zdrowa, Renko — rzekł, patrząc na nią radośnie — teraz już nic ci więcej nie grozi.

Zrozumiała wszystko do końca.

Więc?... Ależ tak, tak. Nauczył ją poznać siebie samą.

— A teraz, jeśli chcesz — mówił dalej poważnie — możesz wracać do siebie i wszcząć rozwód. Zostałaś z kapryśnej jedynaczki, zepsutego dziecka szczęścia, pasowana przeze mnie na człowieka, — a jako dojrzały człowiek wybieraj sama, co masz czynić dalej.

Zrobiło jej się nagle tak dziwnie lekko, że aż niemal słabo. Jakgdyby z grobu, w którym ją żywcem zamknięto, wyrwała się nagle na wiosenne słońce. Jakaś bujna, opętańcza radość napełniła jej wnętrze ogromem szczęścia. Spieczone całonocną gorączką usta nie mogły złapać oddechu.

— Kazik mój... Kazik... — wyszeptała, wyciągając ręce — nie, nie... nie chcę wra...

Porwał ją w ramiona. Nie dał skończyć słowa, zamykając usta pocałunkiem. Obojgu świat się zakręcił w pijanym tańcu spadających słońc...

Prosił ją, by poprawiła potargane włosy i umyła buzię i ręce. Tymczasem sam po chwili stanął przed nią ubrany jak na bal, we fraku. Wprowadził ją pod rękę do jadalnego. W powodzi kwiatów, zieleni i światła tonął zastawiony stół. Czego tam nie było!

— Maharadża prosi panią do uczty — wspaniałym gestem wskazał jej miejsce.

Śmiali się oboje, jak rozbawione dzieci. Dopiero poczuła, jak jest głodna.

— Mój ty — szeptała z czułością — wszystko przewidziałeś...

Tę kolację czy też śniadanie pani Rena pamiętać będzie do końca życia.

— A Indje? — spytała w trakcie jedzenia.

— Podróżowałem po nich w Zakopanem — przyznał się jej szczerze.

Gdy przy deserze pękł korek szampana, ktoś zadzwonił. Kazimierz poszedł otworzyć. Na zdziwione pytanie pani Reny odparł spokojnie:

— To też przewidziane...

Po chwili usłyszała z przedpokoju wesoły głos Stasia:

— Czy jego królewska wysokość Maharadża Dakaru w domu?... — i odpowiedź męża:

— Maharadżostwo są w domu oboje.

Wśród kaskad perlistego śmiechu pili oboje perlisty szampan, potem kawę i likiery. Pani Rena tak jak tego ranka nigdy się jeszcze nie bawiła w swem życiu. Wraz z pierwszemi promieniami jaskrawego słońca, co rozdarło mgły, do ich mieszkania wróciło szczęście.

Gdy pani Rena zaczynała kaprysić, Kazimierz wychodził do swego gabinetu i powracał w dobrze jej znanym turbanie na głowie i z obrzydliwym wrzodem, zrobionym do złudzenia wiernie z kauczuku na ręce. Pani Rena patrzyła i uspokajała się natychmiast.

ŻEBY DZIECI LEPIEJ ROSŁY

Badania, przeprowadzone w laboratorjum Stowarzyszenia Przemysłowców Farbiarskich w Ameryce pod kierunkiem dr. H. Gardner'a, doprowadziły go do wniosku, że młode zwierzęta, a więc prawdopodobnie i dzieci, rozwijają się i rosną znacznie szybciej w pokojach o ścianach pomalowanych na jasne, wesołe kolory, aniżeli w pomieszczeniach pomalowanych ciemnemi barwami.

Doświadczenia przeprowadzone były z prosiętami. Zwierzęta te umieszczano w klatkach wymalowanych wewnątrz na rozmaite kolory i ważono je co pewien czas przez czterdzieści dni. W końcu tego okresu czasu prosięta, trzymane w klatkach wymalowanych na biało lub na jasne kolory, wyrosły i rozwinęły się szybko, gdy tymczasem prosięta, znajdujące się w klatkach pomalowanych na czarną lub ciemną barwę — skarłowaciały. Prosiętom, hodowanym w klatce bladoniebieskej, przybyło na wadze około 31%, w białej—29%, a w jasno-brunatnej 20%. Przyrost wagi prosiąt w klatce ciemno-zielonej wynosił tylko 8%, w czarnej — około 4%, a nieszczęsne stworzenia, umieszczone w tych więzieniach pomalowanych na kolor ciemno-czerwony—wykazały wzrost wagi mniejszy od 2%! Jak widać więc, im krótszą jest długość fali otrzymywanego światła, tem większem jest rozwijanie się i rośnięcie zwierzęcia.

Wyniki te zgadzają się w zupełności z ostatniemi badaniami tak zwanych witamin, przeprowadzanemi między innymi przez dr. A. Hess i dr. H. Steenbock w Ameryce, które wykazały, że światło słoneczne i promienie ultrafioletowe mogą być stosowane zamiast witamin, jako środek zapobiegający angielskiej chorobie (rachitis). Białe lub jasno-barwne powierzchnie odbijają większą część padającego na nie światła, gdy tymczasem czarne lub ciemne pochłaniają jego większość.

Malowanie ścian i sufitów w mieszkaniach, szkołach i pracowniach na kolor biały lub jasny poparte jest więc odtąd teorją naukową, posiadającą tak doniosłe znaczenie dla życia i rozwoju dzieci.

PRZYWÓZ I WYWÓZ KULTURY DUCHOWEJ

Trudny jest nasz obrót handlowy ze Stanami Zjednoczonemi. Tysiączne okoliczności są przyczyną tego. Kto wie, ile jeszcze czasu upłynie, ile się jeszcze rządów u nas zmieni, zanim otworzymy kanały bezpośrednie, które połączą nasze wspólne rynki? Tymczasem kapitał amerykański pełni u nas rolę służby wywiadowczej i od jego orzeczenia zależeć będzie, czy zdołamy na gruncie handlowym, jako równy z równym, zawrzeć stałe i trwałe stosunki.

Jest jednak po za handlem, przemysłem i finansami ogromna dziedzina życia ludzkiego, w której mamy ręce zupełnie rozwiązane, bowiem żadne trudności ekonomiczne nie stoją tu na przeszkodzie: jest nią dziedzina wymiany wartości kulturalnych pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonemi.

Na tem polu import i eksport mogą i powinny przyjąć tak wielkie rozmiary, iż żaden aparat statystyczny nie byłby w możności notować ich rozwoju, jednak bilans kulturalny Państwa naszego wykazałby po pewnym czasie tak świetne rezultaty, jakich w wymianie czysto handlowej nigdybyśmy osiągnąć nie potrafili.

Z największą przeto radością stwierdzamy, że w kierunku nawiązania stosunków kulturalnych z Ameryką jesteśmy na najlepszej drodze. Wprawdzie czynimy dopiero pierwsze kroki, ale na pewnym i właściwym gruncie.

Dowiadujemy się właśnie, że grono osób, które kształciły się w uczelniach amerykańskich, a obecnie pracują w kraju, przystępują do stworzenia organizacji p. n. „Koło byłych studentów Polaków w Stanach Zjednoczonych". Organizacja ta ma na celu: a) ułatwienie wyjazdu do Stanów tym studentom, którzy się studjami w Ameryce interesują; b) utrzymywanie łączności pomiędzy studentami, powracającymi ze swych studjów do kraju, a Ameryką; c) stała łączność pomiędzy tymi studentami dla ewentualnej pomocy wzajemnej w szerzeniu idej amerykańskich, dla Polski korzystnych; d) staranie się o stypendja oraz wynajdywanie ich źródeł dla studentów, wyjeżdżających do uczelni amerykańskich.

Inicjatorzy powołania do życia tej organizacji obliczają, że takich studentów jest już w kraju naszym koło dwudziestu osób. Jest to liczba, jak na początek, dość znaczna, chociaż znikomo mała w porównaniu z grupami studentów, kształcących się w różnych państwach europejskich. Jest ona także niewystarczająca, by skutecznie i wydajnie poprowadzić szeroką akcję społeczną na rzecz osiągnięcia swych celów. Przeto z radością witamy fakt, że inicjatorzy ci zwrócili się już do najstarszej placówki naszej, do Towarzystwa Polsko-Amerykańskiego, mającego w zasadzie te same cele, t. j. pogłębienie stosunków kulturalnych między Ameryką a Polską.

Jeżeli chodzi o wymianę między Polską i Ameryką dóbr czysto kulturalnych, z całą stanowczością podkreślić tu musimy, że najtrwalszy i najrealniejszy fundament pod tę działalność położył na terenie Stanów Zjednoczonych prof. Stefan Mierzwa. Dokonał on wielkiego czynu dla przyszłości Państwa naszego. Gdyśmy kilka tygodni temu zapytali prof. Mierzwę, czy nie uważałby za wskazane utworzenia na terenie Polski pewnej ekspozytury Polsko-Ameryk. Komitetu Stypendjalnego, otrzymaliśmy odpowiedź, iż ekspozytura taka jest bardzo pożądaną, gdyż „miałoby to niemały wpływ moralny tutaj w Ameryce".

Wymiana kultur między Polską i Ameryką znajdzie najlepszy wyraz w ekspozyturze Kom. Styp.

TREŚĆ NUMERU CZWARTEGO

Okładkę wykonał artysta-malarz *Nowina-Przybylski.*

WARUNKI PRENUMERATY:

Krajowa:		Zagraniczna:	
Roczna	zł. 27.—	Roczna.	dol. 6.00
Półroczna	„ 14.—	Półroczna. . . .	„ 3.20
Kwartalna. . . .	„ 7.50	Kwartalna . . .	„ 1.70
Numer pojedyńczy .	zł. 2.50	Numer pojedyńczy . .	0.60

Redakcja ma zaszczyt oznajmić, iż wszelkie rękopisy, odpowiadające programowi pisma, będą przez nią z należną uwagą rozpatrywane oraz kwalifikowane. Redakcja zwraca autorom te tylko rękopisy, przy których będzie załączona koperta zaadresowana i opłacona znaczkami pocztowemi.

Warszawa, Nowy-Świat № 72/74, Pałac Staszyca. — Tel. № 26-62. — Konto P. K. O. № 7,136.

ŻĄDAJCIE WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH.

Wydawca STANISŁAW ARCT. Wice-Prezes Amer. Pol. Izby Handl.-Przem. w Polsce. Redaktor ALEKSANDER LACZYSŁAW

DRUK. M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41